

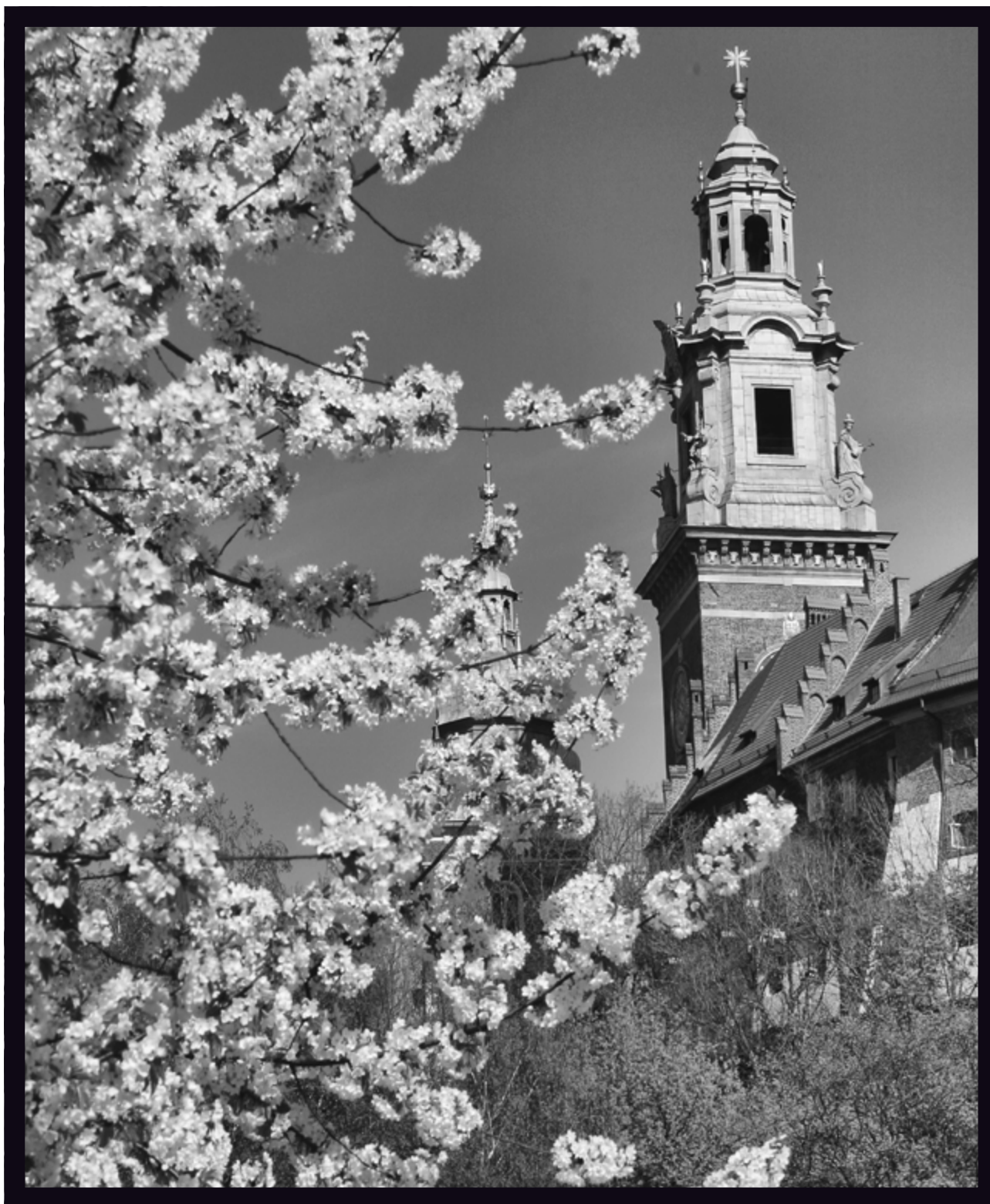
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

# KRAKÓW

[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

Nr 05 (198) Maj 2021

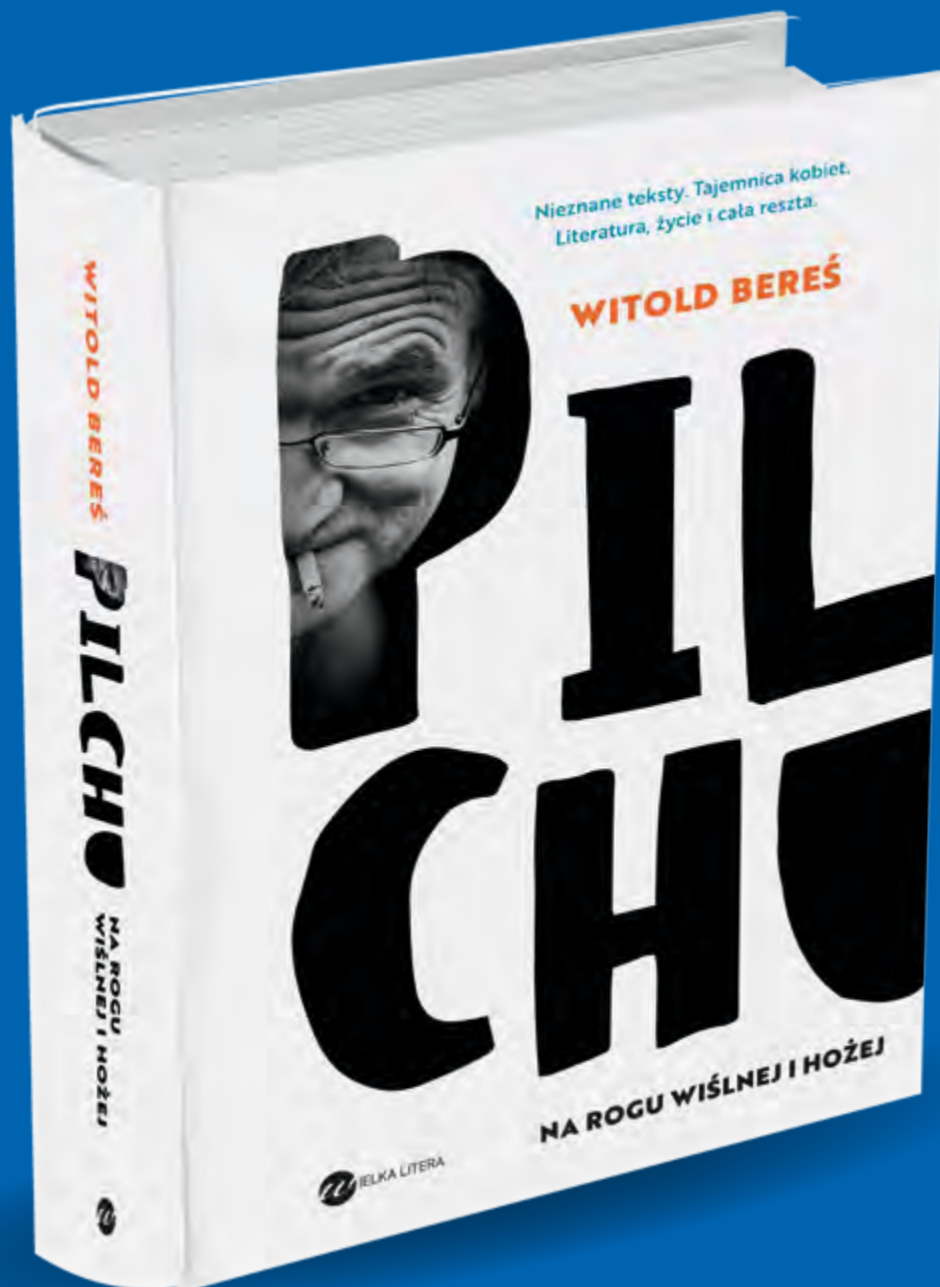


9 771733 045101 05

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

# PILCHU. NA ROGU WIŚLNEJ I HOŻEJ

NOWA KSIĄŻKA WITOLDA BERESIA



O PIĘKNIE I OBOJĘTNOŚCI ŚWIATA. O UROKACH I PORĄŻKACH ŻYCIA.  
O LITERATURZE I KOBIECIACH.

POZNAJ SZORSTKĄ WRAŻLIWOŚĆ JERZEGO PILCHA.  
PRZYSIĄDŹ SIĘ DO TEGO STOLIKA...

PATRONAT

 **Kraków**



PREZYDENT MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

**KRAKÓW**  
MIESIĘCZNIK  
[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

 **KRAKÓW**  
MIASTO LITERATURY  
UNESCO

 **WAREXPO**





Stanisław Wyspiański, *Plenty o świcie*, 1894, olej na płótnie, 101 x 201,5, własność prywatna / Wikimedia Commons

# Szkoła dyskrecji Adama Zagajewskiego

Tekst: Marta Wyka

**Kraków, w różnych jego wcieleniach, Adam Zagajewski widział empatycznie. Nie wypominał mu, jak Paryżowi, wad imperialnych. Miasto go akceptowało, więc i on otwierał się ku jego budowlom, historii, szlakom, mieszkaniom i cmentarzom.**

Z antologii *Polskiego eseju literackiego* (wydanej w serii Biblioteki Narodowej) dowiadujemy się, iż eseistycznego dyskursu możemy poszukiwać wszędzie: w felietonie, artykule, tekście naukowym, dzienniku, liście, powieści. Bez wątplenia esej wzmacnia każdą formę pisaną. Antologia, na którą się powołuję, zaczyna się od Norwida, kończy zaś na Wojciechu Karpińskim i Jarosławie Marku Rymkiewiczu. Adama Zagajewskiego w niej nie ma, nie ma też Jana Błońskiego i wielu innych – jak mi nie mam – ważnych eseistów. Ale nie piszę tego w formie zarzutu. Ten wybór uświadomił mi, iż w świecie eseistycznym Adama Zagajewskiego i ja mogę wybierać. Te-

maty, pomysły, które cenię szczególnie, które mają swoje ciągi dalsze, które coś zapowiadają, aby urwać wątek i po latach do niego powrócić. Eseistyka Adama Zagajewskiego jest rozciągnięta w czasie, łączy się i rozstaje na przemian z jego wierszami, odpowiada nostalgiiom poety. Nie jest programowa, choć krąg tematów podlega ciekawym ograniczeniom.

Co czytał, co widział, co pamiętał Adam Zagajewski?

Najpierw (a może zawsze) swoich mentorów i nauczycieli. Był to świat zróżnicowany, czasem tajemniczy dla młodego człowieka przybyłego po nauki z Gliwic do Krakowa, ale wyposażonego już w pamięć innego jesz-

cze miasta – Lwowa. Profesor Leszczyński (zawsze w zielonym płaszczu) uczył historii filozofii, u docent Gierulanki pisał Zagajewski pracę magisterską. Byli to mentorzy

Eseistyka Adama Zagajewskiego jest rozciągnięta w czasie, łączy się i rozstaje na przemian z jego wierszami, odpowiada nostalgiiom poety. Nie jest programowa, choć krąg tematów podlega ciekawym ograniczeniom.

wycofani przez ustrój, ocenzeni, źle widziani. Potem dołącza do nich Roman Ingarden, wielbiony przez studentów. I wreszcie Władysław Stróżewski, a zatem estetyka „dobra, piękna i prawdziwa”. Powracają oni na kartach eseistycznych książek Zagajewskiego jako ważne postaci edukacyjnego szlaku, jaki przebył.

Pamięć eseistyczna obejmuje również rodzinę: nie tylko matkę i ojca (którym poświęcił wiersze), ale kuzynów, ciotki, dalsze pokrewnie linie powinowactw, zapomniane

W czasach Adama Zagajewskiego istniała wspólnota lektury. Porozumienie nawiązywało się z pomocą książek, ulubionych pisarzy, wybranych poetów. Ta więź wydaje się dziś coraz słabsza, chwilowe fascynacje skutecznie ją osłabiają, a także drwią z tych porozumień.

mieszkania i niepotrzebne już przedmioty, o które ich właściciele tylko się potykają. Zagajewski, o czym dość rzadko się pisze, obserwowal czujnie świat wysadzonych z siodła – nazywano ich bezetami, czyli ziemianami bez ziemi. Portrety tych rodzin, oczekujących na powrót do dawnych, lepszych miejsc, wciąż w pogotowiu, w skromnym życiu codziennym, to rozdział eseistyczny Zagajewskiego jakoś pokonany przez jego poezję. Myślę, że niesłusznie.

Lwów był nie tylko marzeniem. Bo słynna fraza poetycka „Lwów jest wszędzie” kryje również, jakby na zapleczu, wygnanie, smutek, niemożność, niespełnione oczekiwanie. Esej jest opowieścią o tym stanie – wiersz jego sublimacją.

Początek to nauczyciele. Od nich rozpoczyna się droga ku mistrzom wielu sztuk, choć z filozofami Zagajewski rozmawia zawsze. Opisuje obrazy, fascynują go przede wszystkim te w ciemnej tonacji. Malarska wesołość, czyli awangarda, go nie interesuje. Kiedyś – czyli w czasach debiutanckich – było inaczej. Napisał przecież Zagajewski jeden z najciekawszych esejów o Tadeuszu Peiperze i zmieniającej się za jego przyczyną „skórze świata”.

Poetyka wzniosłości, którą kontestowali młodzi poeci, utrwałała się poprzez różnicowane kulturowe zachwyty i natchnienia. A zatem muzea, galerie sztuki, romańskie i gotyckie świątynie, penetrowanie szlaków turystycznych, które rychło stawały się szlakami kulturowymi. Poeta w podróżach nie porusza się jednak w „płynnej rzeczywistości”. On ją raczej unieruchamia, choć zawsze jest wrażliwy na sygnały, zmienne przecież, która ta rzeczywistość ku niemu wysyła. Styl wysoki jest zakorzeniony w eseistycznym opisie i w tym połączeniu możemy zobaczyć warsztat poety i linie, które łączą te dwa światy: liryczny i eseistyczny.

Zagajewski napisał w roku 1983 powieść *Cienka kreska*. Wspominał ją raczej niechętnie, uznając za próbę prozatorską nieudaną. Swoje portrety i autoportrety przeniósł do innych gatunków. Jej bohater, Henryk Oset, wygłasza apologię rzeczywistości, będącej jakby biblijnym początkiem artystycznej kreacji. To rzeczywistość ma być na początku.

„Stare kobiety znów rozmawiały pod moim oknem o tym, jak drożeją pantofle domowe, jak szaleńczo idą w górę ceny pantofli, jak się wspinają (...). Niech ta rzeczywistość istnieje, niech przeżyje noc (...). Niech ta kreska istnieje, ta nagła nasza kreska, z której rodzą się inne. Ta niewidzialna kreska, niech istnieje”. (Warto przypomnieć, iż książkę ilustrował Jacek Gaj, mistrz graficznej cienkiej kreski).

To metaforyczny opis schodzenia w głąb świadomości. Sam twórca też nie zna jego skutków i efektów. Z tego jednego obrazu codzienności powstaną *Dwa miasta*, potem wizerunki miast będą liczniejsze, ale w puli

tych najważniejszych Zagajewski zgromadził Lwów, Gliwice, Kraków, Paryż.

Spójrzmy na geografię Krakowa, na ten uczuciowy bedeker. Miasto, w różnych jego wcieleniach, Zagajewski widzi empatycznie, nie wypomina mu, jak Paryżowi, wad imperialnych, miasto go akceptuje, więc i on otwiera się ku jego budowlom, historii, szlakom, mieszkaniom i cmentarzom. Trochę podobnie jest u Miłosza w *Zaczynając od moich ulic*. Nie o analogię jednak chodzi. Zagajewski to miejski *flâneur*, jako człowiek dojrzały znalazł się w Krakowie, powinowactwa rodzinne, choć i w tym mieście istniejące, pozostały w pamięci, ale to nie one uruchomiły jego wędrówki.

Karmelicka (kamienice Talowskiego), Długa (bardzo smutna), Stolarska, pogranicze starego miasta i dzielnicy Kazimierz, aleja Waszyngtona, ku kopcowi, i Planty, codzienne przechadzki. Wątek „galicyjski” łączy te opisy (Jarosław Iwaszkiewicz, na przykład, „nienawidził Galicji”), Zagajewski włącza ją do swojego przewodnika. Ten miejski wątek ma też aspekt nostalgiczny. Poruszający *flâneurzy* z dawnego świata tak na nas działają – wędrówki Baudelaire’a elektryzują pamięć, a były przede wszystkim osobistym doświadczeniem poety.

W czasach Adama Zagajewskiego istniała wspólnota lektury, porozumienie nawiązywało się z pomocą książek, ulubionych pisarzy, wybranych poetów. Ta więź wydaje się dziś coraz słabsza, chwilowe fascynacje z wolna, ale skutecznie ją osłabiają, a także drwią z tych porozumień.

Kogo czytaliśmy, kogo on czytał? Tomasz Manna, aby dyskutować z innymi o sporze Settembriniego z Naphtą. Kawafisa, aby poznać barbarzyńców. Alberta Camus – nie Sartre’a. Apollinaire’a i *Prześliczną rudowłosą*. Simone Weil, którą odkrył dla tego pokolenia Czesław Miłosz. Józefa Czapskiego – znanego wtedy z urwkowych zapisków i świadka „nie ludzkiej ziemi”. Emila Ciorana i Rumunów (Zagajewski przetłumaczył *Dziennik Mircei Eliadego*). Poetów amerykańskich z lat kontrkultury. Osipa Mandelsztama w przekładach Ryszarda Przybylskiego...

Biografie książek, ludzi, miast i ulic są bułduncem esejów Adama Zagajewskiego. W jednym z wierszy zachwyił się *Polskim Słownikiem Biograficznym*, na który przypadkiem trafił w bibliotece w Houston. Można powie-

dzieć, iż – podobnie jak ów słownik – nie wyznaczał granic swojej eseistyce. To, co zapisać zdążył, jest obrazem naszej epoki przykuwającym umysł jak żaden inny. Ale, zapytany

**W jednym z wierszy Zagajewski zachwyił się *Polskim Słownikiem Biograficznym*, na który przypadkiem trafił w bibliotece w Houston. Podobnie jak ów słownik, nie wyznaczał granic swojej eseistyce.**

w trakcie wywiadu, kto go ukształtował, odpowiedział: muzyka Gustawa Mahlera. Jak mi wolno rozumieć to wyznanie autobiograficzne? „Byłem wtedy zaciętym mahlerzystą” – czytamy w *Lekkiej przesadzie*. Jeżeli ta namiętność z latami nieco się umiarkowała, podziw dla Mahlera pozostał. To będzie, jak myślę, ważny punkt zaczepienia dla przyszłych biografów. Ileż bowiem możliwości interpretacyjnych skierowanym wprost ku twórczości Zagajewskiego tkwi w zdaniu: „To, że można tak żyć, w połączeniu tego, co niepołączalne, w największym smutku i w ekstazy radości, i prawie się nie zatrzymywać w przejściach między nimi, w ciemnych korytarzach pomiędzy przejściami symfonii, zdumiewało mnie”. Ten nostalgiczny głos nasila się w ostatnich książkach i wierszach.

Adam Zagajewski, zgodnie z rytmem czasu biologicznego i kulturowego zmienia się. Jest „młody Zagajewski”, który pisze ostre recenzje z książek. I jest „starszy Zagajewski” komentujący, trochę w duchu Waltera Benjamina, artystów jako wytwórców sztuki. I jest też Zagajewski sceptyczny, który rozpoczął tom esejów *Lekka przesada* frazą: „I tak wszystkiego nie opowiem. Przecież nic się nie dzieje. Jestem zresztą przedstawicielem wschodnioeuropejskiej szkoły dyskrecji...”

I tak już zostanie.



**Marta Wyka** – urodziła się w 1938 roku w Krakowie. Jest historykiem literatury i krytykiem, założycielką Katedry Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ.

**TEMAT MIESIĄCA:**

**Szkoła dyskrecji Adama Zagajewskiego**

Marta Wyka **s. 1**

*Eseistyka Adama Zagajewskiego jest rozciągnięta w czasie, łączy się i rozstaje na przemian z jego wierszami, odpowiada nostalgii poety. Nie jest programowa, choć krąg tematów podlega ciekawym ograniczeniom.*

**Wiersze zawsze wracają**

Adam Zagajewski/Elżbieta Wojnarowska **s. 20**

**Tę wodę widzę dokoła** Jarosław Mikołajewski **s. 25**



**POŻEGNANIA**

**Stanisław Dziedzic (1953–2021)** **s. 6**

**List do Stanisława Dyrektora** Witold Bereś **s. 8**

**LUdzie, Miejsca, Wydarzenia**

**Mój Tata, moja miłość (o prof. Walerym Pisarku)** **s. 30**

Dorota Krzywicka-Kaindel **s. 38**

**Czytanie ze skóry** **s. 38**

Prof. Irena Walecka/Magdalena Oberc **s. 48**

**Szlak Pendereckiego** **s. 48**

Anna Woźniakowska **s. 68**

**Piękna przygoda w moim Krakowie** **s. 86, 89**

Edward Juszczyk **s. 90**

**Kronika kulturalna** **s. 91**

**Krakowski łącznik** **s. 92**

**Kraków (Główny)** **s. 92**

**Linia A–B** **s. 92**

**REKOMENDACJE**

**Kwintet Zbigniewa Mikołajki** Witold Bereś **s. 47**

**OBYWATELE KRAKOWA**

**Zaczytani w Nowej Hucie (Jacek Dargiewicz)** **s. 54**

Marta Gruszecka **s. 54**

**PODRÓŻE W DOBRYM TOWARZYSTWIE**

**Sycylia z Iwaskiewiczem** **s. 12**

Magda Huzarska-Szumiec **s. 12**

**OBŁOK LEMA**

**My z niego wszyscy** **s. 26**

Marek Oramus/Paweł Stachnik **s. 26**

**FOTO RETRO**

**Dworzec na placu św. Ducha** **s. 56**

Krzysztof Jakubowski **s. 56**

**HISTORIA**

**Fryderyka Hechla walka z pijaństwem** **s. 58**

Ewa Danowska **s. 61**

**Prasa sprzed stu lat: maj 1921 roku** **s. 61**

Krzysztof Jakubowski **s. 61**

**TEATR**

**Wszystkie twarze Wesela** Paweł Głowacki **s. 65**

**FILM**

**Pochwała kreski** Maria Malatyńska **s. 75**

**Po złoto** Łukasz Maciejewski **s. 78**

**KSIĄŻKI**

**Nasza biblioteka** **s. 84**

**GALERIA „KRAKOWA”**

**Edyta Dufaj** Magda Huzarska-Szumiec **s. 44**

**FELIETON**

**NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5**

**OKIEM BERESIA** Witold Bereś **s. 10**

**Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 11**

**SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **s. 81**

**POZA KRAKOWEM** **s. 82**

Magdalena Miśka-Jackowska **s. 83**

**BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz **s. 96**

**LUBIĘ LUBIĆ** Agnieszka Kosińska **s. 96**

**OKŁADKA**

Fot. Grzegorz Kozakiewicz

# Impact factor

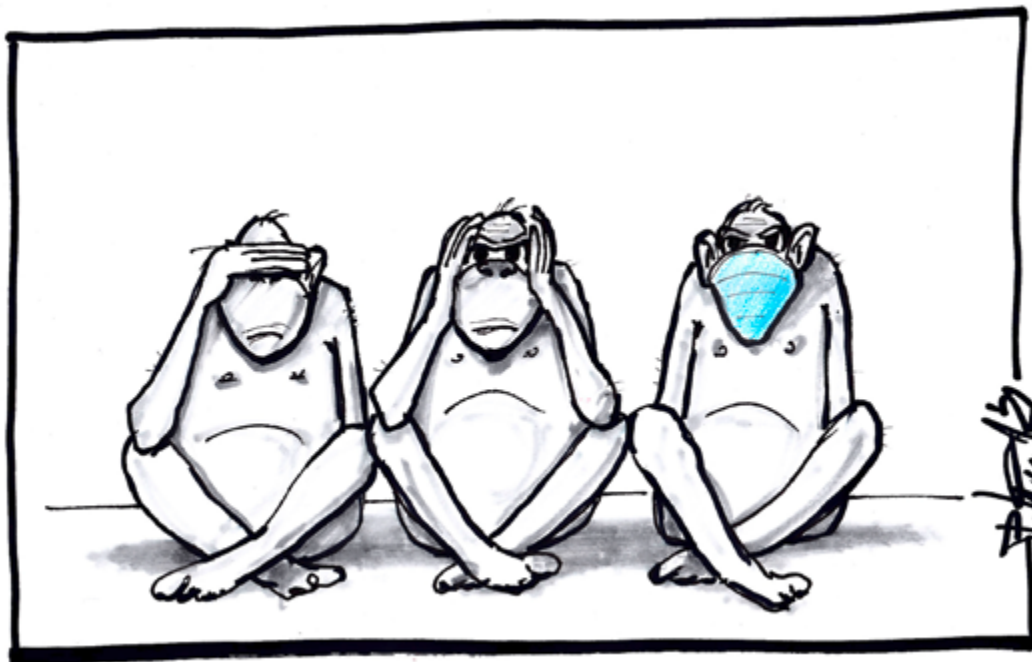
Tekst: Ewa Lipska

Śniło mi się, że zostałam profesorem prezydenckim, drukując swoje naukowe przesłania w pismach z wysokim indeksem cyto-  
wań (*impact factor*): „Przekąski z jaj”, „Mówią

Ćwieki”, „Cele i parcele”... Jawa uświadomiła mi scjentystyczną prawdę, że „szerzenie wiedzy o świecie musi być także naukowo opracowane” (S.J. Lec).



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut



Fot. Jan Zych



8 kwietnia 2021 roku odszedł  
**STANISŁAW DZIEDZIC**

dyrektor Biblioteki Kraków i nasz wydawca.  
Człowiek, który robił – i zrobił – dla kultury wiele.

Człowiek, który zawsze życzył dobrze  
innym i starał się ich wspierać.

Wspierał też nas.

Będzie nam Go bardzo brakowało.

W smutku wielkim  
redakcja miesięcznika „Kraków”

*Encyklopedia Krakowa* (w opracowywaniu)  
Hasło: Stanisław Dziedzic

**Stanisław Dziedzic** (urodzony 13 X 1953 w Dąbrowie k. Rzeszowa), pisarz, publicysta, historyk literatury, kulturoznawca, samorządowiec.

Absolwent filologii polskiej (1978) i dziennikarstwa (1978) na UJ; doktor nauk humanistycznych na UJ (2017); nauczyciel akademicki, pracownik administracji państwowej i samorządowej (1989–2016); jako zastępca dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UMK (1989–1991), zastępca dyrektora Wydziału Spraw Społecznych UW Małopolskiego (1991–\_\_\_), dyrektor tego **wydziału** (\_\_\_–1998), dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK (2004–2016), pełnomocnik Prezydenta Miasta Krakowa ds. organizacji Biblioteki Kraków (2016); wicedyrektor Biura Jubileuszowego 600-lecia Odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego (1998–2000); członek Zarządu i wiceprezes Radia Kraków SA (2000–2004); członek Rady Nadzorczej Telewizji Polskiej SA (1999–2003); od 2001 członek SKOZK (2016 – członek prezydium); inicjator powstania i zarządzający Parkiem Kulturowym Kraków Stare Miasto (\_\_\_–2017), od \_\_\_ członek Rady Muzeum Niepodległości w Warszawie; członek Rady Programowej MAK w Krakowie, od 2017 dyrektor Bi-

lioteki Kraków; założyciel i redaktor naczelny „Rocznika Biblioteki Kraków” (od 2017); inicjator i przewodniczący Kapituły Nagrody Żółtej Cizemki przy BK (od 2017). Autor i współautor kilkudziesięciu książek, m.in. *Ojczyzna myśli mojej. Studia i szkice literackie* (1999), *Święty szlak Almae Matris* (2003), *Kraków to jest wielka rzecz* (2012), *Roman tyk Boży* (2014), *Archipelag pięknych ludzi. Portrety i studia* (2017), *Teatr 38* – współautor Tadeusz Skoczek (2018), *Antynomie ładu i niezgody: krakowskie studia do portretów* (2019); autor kilku tysięcy artykułów naukowych i publicystycznych; opracował i opublikował młodzieńcze wiersze Karola Wojtyły: *Magnificat. Sonety* (1995), *Psalterz – Księga Słowiańska* (1996). Członek zespołu opracowującego literacki dorobek Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Inicjator i koordynator (do 2016) Krakowskich Nocy (Noc Muzeów, Noc Teatrów, Noc Cracovia Sacra, Noc Poezji, Noc Jazzu). Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*, Złotym Medalem Zasłużony dla Archidiecezji Krakowskiej.

(Od redakcji „Krakowa”: hasło opracowywane przez Janusza Palucha, w miejscach wyróżnionych miało być faktycznie uzupełniane przez Stanisława Dziedzica. Stanisław Dziedzic zmarł 8 IV 2021 w Krakowie).

# List do Stanisława Dyrektora

Tekst: Witold Bereś

**Czasami tak do Ciebie właśnie mawiałem – Stanisławie Dyrektorze. Czasami. Lecz nierzadko.**

Raz, że zawsze lubiłem (lubię) kpinę, taką, jak choćby ów cytat z *Kilera 2*. Dwa, gdy chciałem podkreślić dystans do Ciebie, zwłaszcza gdy mnie wkurzyłeś.

Kurczę, a Ty właśnie znowu mnie wkurzyłeś.

Obiecałeś mi niedawno, że w wakacje zrobimy mały *tour* po kompletnie obcych mi Kresach, które dla Ciebie były esencją tradycyjnej polskośći, takiej z krzyżem, ogniem

Jaki jestem wściekły, że nie pokażesz mi  
Lwowa, Krzemieńca i Stanisławowa.

i mieczem (a która, oczywiście, zawsze mnie wkurzała). Ale Twoje opowieści o tych ziemiach były przesiąknięte taką pasją, taką miłością, taką wiedzą wreszcie, że i ja zapragnąłem liźnąć choćby tego miejsca.

Zaplanowaliśmy to kilka tygodni temu, po kolejnej edycji konkursu *PORTRETY*, gdzie nagrodę czytelników dostało *Wilno* i – *de facto* – cały monumentalny cykl książek *Kresowa Atlantyda* prof. Stanisława Niciei.

Ciebie to ucieszyło, bo właśnie *Kresy* i nostalgia. Mnie – bo ogromna liczba głosów, które padły na ten tytuł, uświadomiła mi, że to po prostu wielki rynek czytelniczy dla miesięcznika „Kraków”. Śmiałeś się z tego mojego podejścia.

Miał więc być Krzemieniec – tak ważny dla Ciebie (te twoje opowieści o spotkanej tam przypadkiem na ulicy bohaterce innych opowieści). Miał być Stanisławów (bo od Stanisława – kpiłeś sam z siebie, dystans zaś do siebie to cecha zacna, a nieczęsta; ja natomiast złośliwie dodawałem: – Iwano-Frankowsk, Stanisławie Dyrektorze). No i musiał

być Lwów. Tak, przez całe dorosłe życie latałem między jakimiś wyspami Fidzi a Ekwadorem czy inną Saharą Zachodnią, a nigdy nie byłem trzysta kilometrów od Krakowa, w mieście urodzenia mojej mamy. – A to wstyd – mówiłeś. I znowu mnie wkurzałeś, tym bardziej że miałeś rację.

Więc mieliśmy jechać, a Janusz P. obiecał, że wszystko zaplanuje.

Więc mieliśmy jechać, już przymierzałem pierwsze miesiące jesienne, gdy pandemia opadnie i upań żelżeje, bo przecież Ty zawsze dotrzymywałeś obietnic, a tu nagle taki szpas.

Nie pojedziemy.

Odszedłeś.

Jak więc mam się na Ciebie nie wkurzać?

\*

To profesor Majchrowski, kiedy wymyślił, że mógłbym być redaktorem miesięcznika „Kraków”, poznał mnie z Tobą. A ja najpierw, taki nawyk, wypytałem o Ciebie, kogo się dało. Jedni mówili tak, inni siak. Ale mój przyjaciel Andrzej W., którego głos liczy się dla mnie bardzo, powiedział rzecz znamiennej: – Staszka niektórzy nie traktują poważnie, bo nie dba o swój wizerunek. Że zczesana fryzura, że niebieska koszula... I że w ogóle jest trochę z innej epoki. Zapewniam cię jednak – to jest klasyczny, wspinały krakowski intelektualista, jeden z takich, jakich podziwialiśmy kiedyś wspólnie u zarania wolnej Polski... Porozmawiaj z nim kiedyś o architekturze sakralnej, o literaturze, o Uniwersytecie Jagiellońskim...

\*

Stanisławie, pewnie to zauważyłeś: posłuchałem rady przyjaciela. I, gdy akurat się na Ciebie nie wkurzałem, siadałem w Twoim gabinecie, wchłaniając Twoje opowieści z pogranicza historii sztuki, literatury

i – a co, powiedzmy i to – słuchając krakowskich plotek.

Nie zapomnę długiej barwnej narracji snutej przez Ciebie w gabinecie z udziałem niemalże wszystkich ważnych ludzi Biblioteki Kraków, kiedy to opowiadałeś o włoskich kościołach. Nawet jeśli to była chęć popisania się, jak powiedziała by ktoś małego serca, to jakże chciałbym mieć tę swadę, tę barwność i tę wiedzę.

Byliśmy wszyscy zafascynowani. I znowu mój pomysł taki: – A jedźmy w ramach zadania specjalnego miesięcznika, a co! – na wycieczkę do Florencji czy Rzymu z dyrektorem. Kraków – Italia, związki oczywiste!

Czy to był plan realny?

O, przekonać Cię do niektórych spraw, zwłaszcza tych trudniejszych i niekonwencjonalnych, było tylko ciut łatwiejsze niż wysłanie łązika Perseverance na Marsa. Zawsze wolałeś sprawdzone rozwiązania, prawne szablony i znanych ci ludzi. Do prowadzenia tytułu prasowego przystawało to jak pięść do nosa. Więc się wkurzałem, znowu. Ale Ty nigdy, przenigdy, nawet przesadnie zachowując przyzwoitość wydawcy, nie tępiłeś moich szalonych planów czy choćby prywatnie nie próbowałeś wpływać na pismo. Znowu więc z przyjemnością słuchałem Twych opowieści...

I te rozmowy o dziele, które miało być (które będzie!) Twoim pomnikiem: o *Encyklopedii Krakowa*. Zastanawianie się choćby, jak pokazać łądaków, którzy jednakowoż w historii miasta mają swoje miejsce?

I te rozmowy o innej twej fascynacji – Janie Pawle II. Ty byłeś nim zauroczony, również religijnie, ja, bezbożnik, ceniłem go politycznie i społecznie. Ty kochałeś jego poezję (i pisałeś o tym księgi rozliczne), ja uważałem te wiersze za marniutkie, więc było o czym mówić i o co się spierać.

Tu pojawiała się ta Twoja wielka cecha – pamiętałeś z imienia, nazwiska, a nawet cech osobowych prawie każdą (a może i każdą) osobę, nawet jeśli to był zwykły, leniwy student. A co dopiero, gdy mowa była o osobach dla Ciebie najważniejszych: o profesorach Marii Dłuskiej, Franciszku Ziejce, Tadeuszu Ulewiczu.

Trafu trzeba, że byli to Twoi bezpośredni nauczyciele, a moi dalsi mistrzowie. Więc znowu nad kawą snuliśmy opowieści o Uniwersytecie i Gołębniku.

Jak mi smutno, że cię nie ma, Staszku.

\*

No i te nasze zabawne podgryzania.

Najpierw mój kompromitujący (cóż z tego, że powszechny?) nawyk językowy, ignorujący różnicowanie rodzajowe i wybierający formę półtovej, odnosząc ją także do liczebników rodzaju męskiego. „Półtovej roku”.

Uch, jak pasjami lubiłeś, ze zjadliwie błyszczącym okiem, publicznie zwracać mi uwagę na ten błąd.

I Twoja wpadka, gdy rzekłeś, że coś tam to autentyczny fakt, którą równie chętnie natychmiast głośno i publicznie wykpiłem: – Stanisławie Dyrektorze, ty jesteś dziennikarz, ale chyba tylko z wykształcenia, co? Widziałeś kiedyś fakt nieautentyczny?

Uch, jak się zmieszałeś.

Było to z półtora roku temu.

Czy obaj się czegoś od siebie nauczyliśmy?

\*

Jakie to wkurzające, że ludzie odchodzą dziś tak szybko, bez pożegnań. Przecież jeszcze trzy tygodnie przed przegraną walką z covidem oddzwaniałeś do mnie ze szpitala, tłumacząc, że wirus niestraszny, że będzie dobrze i za chwilę wypijemy kawę.

Jak zły jest Los, ślepy Los (nie, nie mów mi nic o woli Boga, Stanisławie Dyrektorze), pozwalający na to, że bezosobowa Zaraza niszczy wszystko i wszystkich.

Jak paskudne jest państwo, które dopuściło do takiej zapaści, że służba zdrowia jest zarżnięta, a lekarzom sił brakuje.

Jak nieludzka jest władza, która manipuluje pandemią w tym samym czasie, gdy ludzie w szpitalach, tam gdzie w naturalny sposób oczekuje się pomocy, umierają na potęgę.

Jaki jestem wściekły, że nie pokażesz mi Lwowa, Krzemieńca i Stanisławowa.

Jakże chciałbym znowu wypić kawę z Tobą w Twoim gabinecie.

Jak mi smutno, że cię nie ma, Staszku.



**Witold Bereś** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

# Smutny czas

Tekst: Witold Beres

**Z komórki usunąłem kolejne pięć nazwisk. Zło pędzi przez Polskę jak wściekłe psy spuszczone ze smyczy. Kto wie, co gorszego jeszcze się zdarzy, nim ten numer trafi do kiosków?**

P

raństwo się pruje jak stare prześcieradło, obywatele dziczeją, popadając w przerażenie i depresję, odchodzą przyjaciele, bliscy, tysiące nieznajomych... Trudno wykrzesać w sobie nadzieję i wskazywać drogę na przyszłość.

Prosimy was zatem o wybaczenie, Drodzy Czytelnicy. W tym numerze zanurzamy się w literatu-

W tym numerze zanurzamy się w literaturę, historię, wspomnienia i nieśmiertelne podróże po mapie z książką właśnie pod pachą. Wierzmy nadal bowiem, że zasadne jest retoryczne pytanie Miłosza: „Czymże jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi?”

rę, historię, wspomnienia i nieśmiertelne podróże po mapie z książką właśnie pod pachą.

Wierzmy nadal bowiem mocno, że zasadne jest retoryczne pytanie Miłosza: „Czymże jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi?”

\*

Adama Zagajewskiego esej *Solidarność i samotność* to jedna ze stu ważnych dla mnie książek. Choć ten tekst z połowy lat 80. ubiegłego wieku ukazał się wtedy w samizdacie, by uniknąć cenzury, traktował bardziej o samotności niż o polityce i solidarności – tym bardziej tej pisanej wielką literą. I to już wtedy urzekło. Uzmysłowił mi, że tak naprawdę nigdy nie odnajdę miejsca poza Polską. A że wydawało się, iż innej Polski niż gnijący PRL nie zaznam, tym samotność odczuwałem coraz mocniej.

(Szczęśliwie dożyłem Polski wolnej ni z tego, ni z owego, tak jak ni z tego, ni z owego 25 lat później dożyłem powrotu PRL w innej formie...).

Lecz prócz tego eseju był tom poetycki *Jechać do Lwowa* tegoż autora. Też w połowie lat 80. tamtego stulecia sięgnąłem po niego i też od razu był olśnieniem, choć poezja to nie jest mocna strona mojej wrażliwości.

Któregoś razu, gdy czas był piękny, a Polska już wolna, przeczytałem Mamie wiersz, właściwie fragment, bez żadnej szczególnej intencji, może co najwyżej, by na wspólną podróż do Lwowa ją namówić.

Jechać do Lwowa. Z którego dworca jechać do Lwowa, jeżeli nie we śnie, o świcie, gdy rosa na walizkach i właśnie rodzą się ekspresy i torpedy. Nagle wyjechać do Lwowa, w środku nocy, w dzień, we wrześniu lub w marcu. Jeżeli Lwów istnieje, pod pokrowcami granic i nie tylko w moim

nowym paszporcie, jeżeli proporce drzew jesiony i topole wciąż oddychają głośno jak Indianie a strumienie bełkocą w swoim ciemnym esperanto a zaskrońce jak miękkie znak w języku rosyjskim znikają wśród traw. Spakować się i wyjechać, zupełnie bez pożegnania, w południe, zniknąć tak jak mdlały panny. I łopiany, zielona armia łopianów, a pod nimi, pod parasolami weneckiej kawiarni, ślimaki rozmawiają o wieczności...”

Nie dokończyłem ze sławną pointą „Lwów jest wszędzie”. Nie dodałem magicznej dedykacji „Rodzicom”. Musiałem przestać i przytulić Mamę.

Pląkała.

Urodziła się 4 grudnia 1938 roku we Lwowie, przyjechała do nowej Polski w roku 1945 jesienią i już nigdy miasta swego dzieciństwa nie ujrzała.

I nie chciała go ujrzeć.

Ale poprosiła, abym ten tomik jej zostawił...

Tak, Adam Zagajewski miał szczególną moc.

W magicznej księgarni Austeria spotykaliśmy się – między innymi z nim – w poniedziałkowe popołudnia. „Zostaliśmy obdarowani Jego obecnością, Jego głosem, Jego uśmiechem, Jego słowami, Jego mądrością, Jego przyjaźnią. Myśleliśmy naiwnie, że przed nami jeszcze daleka droga, tyle planów, tyle wierszy. Trudno nam sobie wyobrazić nasze poniedziałki bez Adama. Trudno uwierzyć, że już Go nie ma wśród nas”.

\*

W tym numerze, poza odwołaniami do Zagajewskiego, polecam dwa teksty.

Wspomnienia z przedwojennego Krakowa pisane przez poznaniaka Edwarda Juszczyka, który tu studiował (barwnie!) przed wojną. Tekst nadesłał jego syn, wybitny specjalista w leczeniu chorób zakaźnych prof. Jacek Juszczyk – i bardzo mu za to dziękujemy.

No i niezwykłą podróż Magdy Huzarskiej-Szumiec pod ramię z Jarosławem Iwaszkiewiczem – to, co oboje znaleźli na Sycylii w czasach tak trudnych do podróży i radowania się pięknem, daje nam pewność, że gdy to wszystko się kurna, skończy, nero d'avola garncami pic' będziemy.

Więc dziś słowo, poezja, podróże, także w czasie i w naszej wyobraźni.

Lepsze przyjdzie później.



**Witold Beres** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

# Wizja obywatela Bodnara

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Zasługi Adama Bodnara w walce z obecną władzą o prawa obywatelskie są znane wszystkim, cokolwiek zainteresowanym rodzimym życiem publicznym. Ma on jednak i inne zasługi – stworzył własny model pracy ombudsmana.**

Bój o zachowanie roli i powagi Trybunału Konstytucyjnego, batalia o niezależność sądów i niezawisłość sędziów, walka o poszanowanie konstytucyjnego prawa do zgromadzeń i obrona szykanowanych przez policję uczestników akcji protestacyjnych, sprzeciw wobec dyskryminacji i naruszania godności osób LGBT – czasy i władza są, jakie są, więc Adam Bodnar musiał zająć się tymi sprawami, jeśli chciał uczciwie traktować sprawowany urząd. A także poważnie traktować siebie i swoich mistrzów w prawniczym fachu – choćby Wiktora Osiatyńskiego. Siłą rzeczy ta sfera jego aktywności najczęściej trafiała do mediów, a więc i z nią rzecznik jest w potocznym odbiorze kojarzony. Wizerunek ten wzmocniła zresztą sama władza, czyniąc z Adama Bodnara jednego ze swych największych przeciwników, a ostatnio wroga nr 1. Skądinąd rzeczywiście był groźnym przeciwnikiem: bezlitośnie reagował na wszelkie, nawet najdrobniejsze autorytarne zakusy i na dodatek robił to z równie bezlitosnym prawniczym profesjonalizmem.

Właśnie podejmowanie wszystkich, nawet pozornie błahych przypadków naruszania praw obywatelskich – i to niekoniecznie tylko politycznych! – jest najważniejszym wyróżnikiem pojmowania roli ombudsmana przez Bodnara (wcześniej w podobnym duchu działała prof. Ewa Łętowska, kiedy tworzyła ten urząd jeszcze za PRL). Symbolem tego podejścia stało się podróżowanie Bodnara po kraju i idące w setki spotkania z ludźmi – z rozmaitych kręgów i miejsc, także tak zwanej prowincji. Dawały one rzecznikowi inną perspektywę postrzegania przez rodaków prawa, ich hierarchii potrzeb i wartości, a równocześnie były szansą na prowadzenie edukacji od, by tak rzec, podstaw.

Misję edukacyjną – bo ona była kolejnym rysem rzecznikowania Bodnara – sprawował on zresztą także wobec posłów i innych polityków. Dowodem inna niż dotąd forma dorocznych sprawozdań składanych sejmowi: w miejsce suchego akademicko-urzędniczego wyliczenia parlamentarzysty dostawali nasyconą przykładami opowieść o naruszeniach praw obywatelskich – wszelkiego charakteru, punkt po punkcie.

Miał wreszcie Bodnar długofalową strategię pracy ombudsmanów w Polsce i stojących przed nimi zadań. Ogłosił ją przed rokiem podczas III Kongresu Praw Obywatelskich. Zwracał uwagę, że mechanizm zarządzania polskim państwem nie uwzględnia obowiązku zapewnienia obywatelom bezpiecznej przyszłości. Mówił: „Stoimy na progu ogromnych wyzwań cywilizacyjnych. Od nas zależy, jak do nich podejmiemy oraz czy stworzymy strategię dalszego rozwoju naszego kraju oraz kontynentu. Bo polityka to odpowiedzialność”. Tymczasem w Polsce szuka

się najwyżej rozwiązań, które „mają uchronić nasz dobrostan »tu i teraz«. Na zasadzie: „»jakoś to będzie«, »po nas choćby potop« albo »niech się martwią następcy«”.

W imieniu obywateli przypominał politykom – jako tym, którzy odpowiadają za zarządzanie państwem – że ich zadania są „nie w studio TV, nie w kolejnej kampanii wyborczej, ale w perspektywie najbliższych 15–20 lat”. Przypominał, że ich praca to zapewnienie ludziom i państwu bezpieczeństwa. A temu zagraża dziś wiele bardzo poważnych problemów: „Kryzys klimatyczny, który nie jest odległym problemem oceanów i zagranicznych mówców ONZ,

**Władza uczyniła z Adama Bodnara jednego ze swych największych przeciwników, a ostatnio wroga nr 1. Rzeczywiście był groźnym przeciwnikiem: bezlitośnie reagował na wszelkie autorytarne zakusy i robił to na dodatek z równie bezlitosnym prawniczym profesjonalizmem.**

ale już dziś przekłada się na zdrowie naszych dzieci, naszą przyrodę, naszą długość życia. Nieubłagana demografia, która już wkrótce postawi miliony Polaków przed wyzwaniem samotnej starości lub opieki nad starszymi rodzicami”.

I grzmiął: „Mamy prawo do czystego powietrza. Mamy prawo do godności na starość. Mamy prawo do ochrony zdrowia. Mamy prawo do edukacji. To nie są prawa właściwe dla elektoratu jednej czy drugiej partii. Tu nie ma podziałów, kłótni. To prawa, które mamy wszyscy. I są ważniejsze niż codzienne spory. Wszyscy, niezależnie od poglądów, oddychamy dziś fatalnym powietrzem. Wszystkich nas czeka starość. Wszystkim nam zależy na dobrej edukacji naszych dzieci i wnuków. Wszyscy razem musimy się zmobilizować i coś z tym zrobić”.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

# Sycylia z Iwaszkiewiczem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: © Wikimedia Commons

**Siedząc w fotelu, wyruszą właśnie w podróż na moją Sycylię. I to z samym panem Jarosławem.**

Tego poranka postanowiłam wstać z łóżka w dobrym humorze. Na przekór wszystkiemu i wszystkim, w obronie własnego zdrowia psychicznego. Zamknęłam szczelnie okna, by nie słyszeć pędzących na sygnale przez miasto karetek, odpięłam z paska startowego w laptopie wszystkie portale informacyjne przynoszące wiadomości o coraz większej liczbie zakażeń. Przestałam nawet sprawdzać, która szczepionka jest lepsza, a która gorsza, i co mają na ten temat do powiedzenia dyżurni wirusolodzy. Dokonawszy wszystkich tych czynności, zdecydowałam z całą stanowczością, że właśnie teraz jadę na Sycylię. Bez robienia covidowych testów, bez zdobywania zezwoleń na wyjazd służbowy czy zamykania się na kwarantannie po przylocie na miejsce.

Człowiek ma tę bowiem cudowną zdolność, że może przenosić się w każdej chwili w miejscu i w czasie. Pomagają w tym książki, filmy, muzyka, a przede wszystkim wyobrażenia, której nawet niebo nie może wyznaczyć granic. Wiedział o tym doskonale Jarosław Iwaszkiewicz, kiedy podczas okupacji siedział zamknięty w swoim pokoju w Stawiskach, a po głowie chodziły mu najciemniejsze myśli. Wtedy to sięgnął po „działające jak haszysz, jak kieliszek wódki – upajające wspomnienia z Sycylii”. Dzięki nim powstała *Książka o Sycylii*, z którą pod pachą podróżowałam niegdyś po wyspie, wdychając jej zapachy i syjąc oczy jedynymi w swoim rodzaju kolorami.

\*

Moja miłość do Włoch zaczęła się jeszcze na studiach. Groźny profesor Józef Opalski jakoś dziwnie łagodniał, gdy zajęcia dotyczyły sztuki wywodzącej się z jego ukochanego

kraju. Trzeba było widzieć wyraz twarzy Żuka, kiedy puszczał *Arlekina, sługę dwóch panów* w reżyserii Giorgio Strehlera i opowiadał o commedii dell'arte. Albo gdy z tajemniczą miną wyciągał z siatki (tak, nosił je w siatkach, tylko tam się mieściły) analogowe płyty i książki, dzięki którym można było przenieść się do tak dalekiego dla nas wtedy świata. Jednym z tych zbójceckich tomów były *Podróże do Włoch* Jarosława Iwaszkiewicza, gdzie znajdowały się rozdziały poświęcone Sycylii. Od tego czasu nie wyobrażam sobie, że mogłabym wylądować bez nich na lotnisku pod skałą w Palermo. Będą mi towarzyszyły także teraz, kiedy siedząc w fotelu, wyruszą w podróż na moją Sycylię. Tylko dlaczego nie pójść na całość i nie pojechać tam z panem Jarosławem? W końcu nie ogranicza mnie limit biletów ani inne przyziemne rzeczy. Bezcześnie zapraszam go więc na pokład samolotu, który zaraz startuje.

## Palermo: między bułką ze śledzioną a teatrem śmierci

No tak, ale jeżeli ma się za towarzysza podróży tak eleganckiego dżentelmena jak autor *Brzeziny*, to czy nie lepiej byłoby przyplłynąć na wyspę statkiem, choćby nocnym rejssem z Neapolu. Wyjść o świcie na pokład i wpatrywać się w wyłaniające się z mroku osobliwe kształty Monte Pellegrino i Monte Griffone, wpaść w zachwyt na widok różowiejących w promieniach wschodzącego słońca kopuł kościołów i klasztorów. Wiem, że pisarz nie lubił Neapolu. Nigdy nie mógł się do niego przekonać, choćby z powodu deszczu, jakim za każdym razem witało go miasto. Ale, o dziwo, przyjął moją propozycję. Postawił tylko

## Jarosław Mikołajewski, poeta, pisarz i tłumacz z języka włoskiego

Zapytany, gdzie chciałbym się teraz znaleźć, bez wahania odpowiadałam – w Syrakuzach. Samo miasto to dość paskudne miejsce, nie ma tam nic ciekawego oprócz parku archeologicznego i muzeum z interesującymi rzeźbami, które opisywał Iwaszkiewicz. Ale w pewnym momencie to okropieństwo się kończy i zaczyna się wyspa Ortygia, która jest bardzo specyficzna i dziwna. Na samym jej końcu spotyka się ze sobą wybrzeże południowe i północne. To są dwa różne światy, jakbyśmy jedną nogą stanęli na półkuli północnej, a drugą na południowej. Dzieli je trzyminutowy spacer, pod-

czas którego całkowicie zmienia się krajobraz. To jest taka soczewka świata. Kiedy patrzy się na północ, widzi się surową naturę, zacienione morze z ogromnymi falami, które pięknie klaszczą o mury zamku. Wystarczy spojrzeć na północ, a pojawia się krajobraz, który widział Iwaszkiewicz z hotelu, w którym czekał na ukochanego Józia. Tu morze jest łagodne, słoneczne. Łatwo sobie wyobrazić, że właśnie w tym miejscu stał Archimedes i spalał lustrem obce, wrogie okręty. Tę północ i południe łączy jedna stała rzecz. To jest nadzwyczajna biel morskiej piany. W końcu niedaleko stąd wyłoniła się z niej Afrodyta. Nigdzie indziej nie widziałem tak białego grzebieńcia fal.



Magda Szumiec pije kawę z Jarosławem Iwaszkiewiczem w kawiarni na plaży w Rometta nieopodal Messyny. Zdjęcie: Piotr Uss Wąsowicz i © WikimediaCommons, opr. LeoDesign

jeden warunek – do Syrakuz też dotrzemy drogą morską. Chyba się trochę domyślałam, dlaczego mu na tym zależało, ale o tym porozmawiamy już na miejscu.

Na razie daliśmy się porwać gwarowi miasta, które atakuje przybyszów dźwiękiem trąbiących zewsząd klaksonów aut i skuterów.

Łyk espresso w ciemnym barze pozwala zapomnieć o zmęczeniu. Odnoszę wrażenie, że pan Jarosław, odkąd dotknął stopą lądu, odzyskał werwę, pozbył się melancholii, która towarzyszyła kołysaniu fal. Wbrew moim obawom, iż nie zdążę nacieszyć się atmosferą miasta i od razu powędrujemy do kościołów i mu-

### Salvatore Esposito, sławista związany z Włoskim Instytutem Kultury w Krakowie

Mam takie prywatne powiedzenie: „Zostawcie mnie tak, dojdę”. Używam go wtedy, kiedy znajduję się w miejscu, w którym doznaję takich uczuć, takiej pełni przeżyć, że chcę być tam sam. Takiego przeżycia dostarcza mi na pewno antyczny teatr w Taorminie, z nieprawdopodobnym widokiem na morze. Ale gdybym miał w tym momencie wybierać, gdzie chciałbym się znaleźć, byłyby to jednak Syrakuzy. W tym skolonizowanym niegdyś przez Greków mieście nawarstwia się cała kultura, która leży u podłoża naszej cywilizacji. Wchodzi się do Duomo i człowiek

dębiej na widok tamtejszych kolumn greckich, które tak bardzo potrafią zaskoczyć, że zastanawiasz się, czy na pewno jesteś w kościele katolickim. Zresztą zaskoczeń w Syrakuzach nie brakuje. Wystarczy przejść się wąskimi uliczkami Ortygii, by natknąć się na warsztaty, gdzie od wieków wykonywane są fantastyczne sycylijskie marionetki. Do dziś żyje tam kilka konkurujących ze sobą rodzin, które trudnią się tym rzemiosłem. Mogliśmy się o tym przekonać przed laty, kiedy udało się nam sprowadzić do Krakowa jeden z takich teatrów. Kiedy pokazaliśmy go na scenie Groteski, daję słowo, że nie tylko dziecięca, ale też dorosła publiczność oszalała.



Wyspa Ortygia i Syrakuzy

zeów, zarządził, że najpierw idziemy na targ, o którym tak pisał: „Targ w Palermo jest chyba przedsiönkiem targu w Damaszku czy w Bagdadzie. Ruch i krzyk. Hałas stoi nad ową wąską Piazza Garraffello, gdzie leżą stosami ryby, jarzyny i owoce. O byle drobiazg każdy targuje się jak o życie, sery cuchną, ryby dodają ostrego zapachu do mdłych wyziewów przywieźdłych jarzyn. Tu jest centrum handlu, tu można dostać wszystkiego w obfitości”.

Nie mam problemu z zapachami, wciągam narkotyk naturalną woń *frutti di mare*,

nie mogę oderwać wzroku od rozłożonej na straganie langusty i włochatych jeżowców dzielących plastikowy pojemnik z małżami, kuszą mnie macki ośmiornicy rozpychającej się wśród krewetek o wyłupiastych oczach, mam ochotę dotknąć podwieszzonego miecznika, który chyba uciekł z płótna któregoś z barokowych mistrzów. A wszystko to w *entourage*’u walących się, pomalowanych graffiti kamienic, które nasi urzędnicy dawno kazaliby wyburzyć ze względu na realną groźbę katastrofy budowlanej. Pan Jarosław wzdryga się

### Wojciech Ornat, właściciel wydawnictwa Austeria

Kiedy myślę o Sycylii, od razu stają mi przed oczami Syrakuzy. Mógłbym oczywiście podać mnóstwo powodów, dla których tak się dzieje. Mógłbym mówić o ich niepowtarzalnym pięknie, o zabytkach, o dziełach sztuki. Ale mnie w tym mieście tak naprawdę interesuje coś innego. Dostrzegam w nim podobieństwo do Krakowa, a szczególnie do Kazimierza, z którym wiele łączy Giudecca – tamtejszą dzielnicę żydowską. Wy-

starczy przejść się po jej uliczkach, by zorientować się, że w tym kościele była kiedyś synagoga, a w tamtym rytualna łaźnia, choć to wszystko jest bardzo słabo oznaczone albo w ogóle. Mimo to od razu wyczułem tam energię, coś podpowiedziało mi, że to miejsce tożsamościowo idealnie pasuje do naszego wydawnictwa. Dlatego postanowiliśmy, gdy tylko pandemia się skończy, otworzyć tam księgarnię Austerii i rozpocząć działalność podobną do tej, jaką prowadzimy w Krakowie.





George Loring Brown, *Forum Italico i Monte Pellegrino w Palermo*, olej 1856, Boston, Museum of Fine Arts

na widok mątwy, której ramię, leżące w koszyku przekupnia w zakrwawionym fartuchu, przypomina mu zdechłego węża. Kiedy jednak wyobrazi sobie, jak będzie ono smakować usmażone na świeżej oliwie, postanawia nie komentować mało estetycznego widoku.

Ciekawa jestem, co powie, kiedy wieczorem zabiorę go na Piazza Caracciolo, gdzie w dzień rozkwita jeden ze słynniejszych bazarów, a który w nocy zmienia się w wielką imprezownię. Wino leje się tu z kija i nikt nie ma problemu z tym, z jakiej apelacji ono pochodzi. Za to jak świetnie smakuje ze specjalnością tego miejsca, czyli bułką przełożoną śledzioną, powinni się przekonać nawet ci, którzy nie jadają mięsa, nie mówiąc o podrobach. Nie wiem, czy pisarz da się namówić na skosztowanie tego przysmaku, kiedy zobaczy nonszalancko nakładane przez tego samego sprzedawcę do plastikowych miseczek flaki czy skwierczące obok na tłuszczu resztki mięs, których rzeźnikom nie udało się w dzień sprzedać. Ale gdy tego nie zrobi, będzie żałował do końca wiekuistego życia.

Liczę na ciekawość świata pana Jarosława, której nigdy mu nie brakowało, choć na przeszkodzie może stanąć nam muzyka.

Na Piazza Caracciolo słucha się ostrych bitów, a ja zamierzam przyprowadzić go tam prosto z Teatro Massimo, gdzie chcemy zobaczyć najnowszą inscenizację *Króla Rogera* Karola Szymanowskiego, do którego libretto napisał wspólnie z kompozytorem mój towarzysz podróży. Pamiętam, jak przed paru laty siedziałam naprzeciwko opery, wpatrując się w kobiety w wieczorowych sukniach, na wysokich obcasach, które podtrzymywane przez nie mniej eleganckich panów pokonywały długie schody prowadzące do przybytku sztuki. Ależ im wtedy zazdrościłam! Przede wszystkim nie miałam ze sobą żadnej pasującej do tego miejsca sukienki, zresztą o dostaniu biletów w dniu spektaklu nie było co marzyć.

Teraz, w specjalnie kupionej na tę okazję kreacji, siedzę z panem Jarosławem w tej samej kawiarni i sączę chłodne prosecco, wsłuchując się w jego opowieść o tak ważnym dla niego i jego przyjaciela utworze, który – jak poinformował mnie, mocząc usta w kieliszku – jest efektem niezwyklej fascynacji twórcy dzieła Sycylią, „wyrzajem wielkich przemyśleń, a słoneczne zakończenie likwidacją nie tylko całej epoki w życiu Szymanowskiego, ale i całej epoki naszej kultury”. Kolejny łyk

przyniósł opowieść o niezwykłym wykonaniu utworu przez tutejszych artystów, prowadzonych batutą Mieczysława Mierzejewskiego, który „oddał wszystkie subtelności partytury z doskonałością, jaką rzadko się słyszy, nawet we Włoszech”. Wspomnienie ówczesnego zachwytu sprawiło, że bąbelki ulotniły się z kieliszka. Trzeba było zamówić jeszcze po jednym prosecco, bym mogła zrozumieć dość zawile dzieje króla Rogera, których muzyczną interpretację mieliśmy zaraz usłyszeć.

Zanim usiedliśmy na widowni Teatro Massimo, musiałam obiecać, że z samego rana pójdziemy do Cattedrale di Palermo, gdzie znajduje się grób władcy Sycylii. Katedra robi rzeczywiście niesamowite wrażenie, choćby przez prawdziwy koktajl stylów, poczynając od normańskiego, poprzez dodawane w kolejnych wiekach elementy barokowe, gotyckie, renesansowe, no i, a jakżeby inaczej, mauretańskie. Trochę się niecierpliwie, oglądając monumentalne grobowce, bo przecież w pobliżu są zdecydowanie bardziej ekscytujące nekropolie. Chyba niezbyt grzecznie przerywam pisarzowi kontemplacyjną zadumę i ciągnę go za rękę w stronę katakumb klasztoru Kapucynów. Bez zobaczenia zmumifikowanych zwłok wizyty w Palermo nie uznałabym za udaną.

Takiego teatru śmierci nie spotka się chyba nigdzie indziej na świecie. Schodząc krętymi schodami, trafiamy na labirynt korytarzy, na ścianach których wiszą ludzkie ciała. Tylko niektóre przypominają kościotrupy. Reszta na twarzach ma przynajmniej częściowo zachowane mięśnie, włosy, a nawet skrawki skóry, które zwisają z wysuszonych policzków. Robią one równie makabryczne wrażenie jak puste oczodoły i nadgryzione zębem czasu stroje, w które przed wiekami ubrano zwłoki. Nasz wzrok przyciągają regularne rysy kobiecej twarzy, której harmonię psuje opadająca szczęka. Niegdyś pewnie owa dama na wiadomość o śmiertelnej chorobie postanowiła wydać majątek, by ją odpowiednio zabalsamowano i umieszczono w krypcie kapucynów, gdzie zatęchłe powietrze nie pozwala się ciałom rozłożyć i pożegnać do końca z tym najpiękniejszym ze światów.

Kiedy opuszczamy katakumby, pan Jarosław ma minę, która wskazuje tylko na jedno. Musimy natychmiast gdzieś usiąść i się napić. By dojść do siebie, nie wystarczy jednak popularny tu, całkiem zresztą niezły szczerp nero d'avola. Bez czegoś mocniejszego się nie obejdzie. Proponuję, byśmy poszli za radą Pawła Smoleńskiego, który – wedle napisanej z Jarosławem Mikołajewskim książki *Czerwony śnieg na Etnie* – depresję, jaką wzbudzała w nim Katania, leczył, i to chyba skutecznie, kieliszkiem averny. Trunkiem może niezbyt wyrafinowanym, bo kolorem przypominającym brudną ścierkę, ale za to skutecznym na choroby duszy.



Pomogło, przynajmniej na chwilę. Wykorzystaliśmy ją, spiesząc do położonej na obrzeżach Palermo katedry w Monreale. Już w drzwiach prowadzących do nawy głównej zastygłam niczym zmieniona w słup soli żona Lota. Na widok misternie kładzionych złotych mozaik, które pokrywają powierzchnię sześciu tysięcy metrów kwadratowych, odebrało mi głos. Pisarz szepnął mi do ucha,



Sycylia była w XVII wieku częścią Królestwa Neapolu. Tu, na mapie Nicolasa Visschera (1649–1702), będącej kopią ze starszego *Atlasu Włoch* Giovanniego Antonia Maginiego (1555–1617).

że to normalne u człowieka, który przybywa tu po raz pierwszy. „Obfitość i piękno mozaik przytłacza ogromem i mimo woli człowiek ucieka z tej świątyni, jak z jakiegoś gwarne-go miejsca, aby poszukać ciszy. Powraca po-tem wielokrotnie – w ciągu całego życia – do tych ścian jak do tomów zawierających ty-sięczne baśnie Szeherazady i ogląda bez koń-ca owe drabiny Jakubowe, pozłociste anioły

z poplątanymi skrzydłami, fantastyczne sny, sarny i palmy, nad którymi panuje owa zde-formowana twarz Pantokratora, Wszech-dzierżyciela”.

**Cefalu: łagodny Pantokrator i czysta radość życia**

Podchodzę do niej, choć im jestem bliżej, budzi we mnie coraz większe przerażenie. To nie jest

twarz wybaczonego Boga, u którego chciałoby się szukać ratunku. To Chrystus o bizantyjskich oczach, patrzący z góry. Pan życia i śmierci. Jakże inny niż łagodny, dobrotliwy Pantokrator, którego oblicze można podziwiać w absydzie katedry w Cefalu. Proszę pana Jarosława, byśmy choć na chwilę tam wpadli. Uwielbiam tę leżącą pod ogromną skałą, nadmorską miejscowość, z którą mam same miłe wspomnienia. Przed kilkunastu laty jeździłam z osobistym mężem po Sycylii, zbierając inspiracje do przedstawienia, które małżonek przygotowywał w Teatrze Słowackiego w Krakowie. Spektakl *Malavita. Ballada o mafii* składał się z pochodzących z przełomu wieków, tradycyjnych piosenek mafijnych. Przemierzając położone w głębi lądu wsie i miasteczka, co chwilę spotykaliśmy ludzi, których ponure, zacięte twarze mogły świadczyć o tym, że słowo *omerta* (zmowa milczenia), nie jest im znane jedynie z filmu *Ojciec chrzestny*.

Po obowiązkowej wizycie w Corleone postanowiliśmy odpocząć i wykąpać się w ciepłym jeszcze morzu. I tak trafiliśmy, już po sezonie, do Cefalu. Mały, położony przy plaży hotelik i odbijające się od tafli wody promienie słońca sprawiły, że na chwilę zapomnieliśmy o mrocznych, mafijnych klimatach. Trudno było nie wpaść w pogodny nastrój na widok mężczyzny idącego niespiesznym krokiem promenadą i na cały głos śpiewającego *O sole mio*. Tak wygląda radość życia w czystej postaci, która nam się też udzieliła.

Tym bardziej że ostatnia czynna w mieście trattoria serwowała najlepszą zupę rybną, jaką jadłam w życiu. Tu też po raz pierwszy zmierzyłam się z homarem, który nie tylko nieziemsko smakował, ale tak samo kosztował. Ale co tam, kto by się tym przejmował, nawet gdy do ceny kolacji trzeba było doliczyć koszt śnieżnobiałej do tej pory koszuli, która nie przetrwała moich rozpaczliwych zmagania ze szczypcami skorupiaka. Nie ułtwiła ich również butelka zimnego, białego wina, pochodzącego z jednej z najlepszych winnic ulokowanych na zboczach Etny. Ten napój bogów ma taką właściwość, że chce się po nim śpiewać na całe gardło, nie zważając na to, że padający ze skały cień położył się już dawno na domach zasypiającego miasteczka.

### **Syrakuzy: miasto kochanków i zapachu cytryny**

Zdradziłam ten sekret panu Jarosławowi, kiedy delektowaliśmy się szczepem *catarratto*,

wypatrując morskiej przeprawy do Syrakuz. Pisarz wyznał mi, co oczywiście jest tajemnicą poliszynela, że marzył mu się ten rejs, by przekonać się, co czuł Józio Rajnfeld, kiedy wpływał do Ortygii, najstarszej części Syrakuz. Józio był wielką miłością pisarza. Iwaszkiewicz czekał na niego w staroświeckim Hotelu des Etrangers dość długo, bo pogoda nie była sprzyjająca i statek z Trypolisu nie mógł dobić do brzegu. Ten rodzaj niecierpliwości, który znany jest tylko kochankom, pan Jarosław pohamowywał piórem, właśnie tu stawiając kropkę po ostatnim zdaniu *Panien z Wilka*.

Opowiadał mi o tym, gdy niespiesznym krokiem szliśmy w stronę Duomo, katedry, której barokowa fasada nie zwiastuje niczego zaskakującego. Bardzo by się mylił jednak ten, kto z tego powodu chciałby ominąć kościół. Widok, który ukazuje się wędrowcowi, gdy przekroczy jego próg, jest jedyny w swoim rodzaju. Oczom ukazuje się nawa, przez którą prowadzą kolumny doryckie, przypominające niegdysiejszą wielkość Syrakuz. „Ta mieszanina chrześcijańskiej świątyni ze znakomicie pokazaną i dobrze zachowaną architekturą dawnej Grecji stanowi niezwykle unicum, zadziwiający konglomerat” – mówił pan Jarosław, gdy usiedliśmy na kieliszeczek słodkiej marsali przy stolikach nobliwej kawiarni na Piazza Duomo.

Już tu kiedyś byłam. Siedziałam z mężem chyba przy tym samym stoliku, kiedy podszedł do nas młody, przystojny kelner. Wyglądał jak ktoś, kto przeniósł się w czasie prosto z *Zaklętych rewirów* Henryka Worcella. Czerwień jego służbowego uniformu podkreślała nie-nagannie wyprasowana, przewieszona przez ramię biała serweta. Z obojętną miną przyjął zamówienie. A my wybuchliśmy niepo-hamowanym śmiechem, bo przyszło nam do głowy to samo skojarzenie. Byliśmy świeżo po lekturze *Książki o Sycylii* i pomyśleliśmy, że gdyby owego kelnera zobaczył Iwaszkiewicz, to może nie dłużyłby mu się tak czas oczekiwania na Józia. Ale tej historii na wszelki wypadek pisarzowi nie opowiedziałam, tym bardziej że zauważyłam, iż skończył marsalę i wyraźnie miał ochotę na dalszy spacer.

Poszliśmy w stronę Fontanny Aretuzy. Pan Jarosław cierpliwie znosił moje okrzyki zachwytu na widok uroczych, obłędnie pachnących sklepików, których główny i jedyny asortyment stanowią cytryny, sprzedawane tu w każdej postaci. Dał się namówić nawet na kieliszeczek *limoncello*, choć z wrodzoną

---

### **Najważniejsze książki, z którymi warto wybrać się na Sycylię**

Jarosław Iwaszkiewicz, *Książka o Sycylii*, Austeria

Joanna Olkiewicz, *Sycylia w kalejdoskopie historii i legendy*, Austeria

Federico De Roberto, *Wicekrólowie*, Austeria

Giuseppe Tomasi di Lampedusa, *Gepard*, Czuły Barbarzyńca

Jarosław Mikołajewski i Paweł Smoleński, *Czerwony śnieg na Etnie*, Czarne

Peter Robb, *Sycylijski mrok*, Czarne



Zachód słońca w Piazza Armerina, uroczej miejscowości w centrum wyspy, fot. Stefano Li Moli

przekorą przekonywał mnie, że tutejszy likier z migdałów bije je na głowę. Podobnie jak wszystkie inne fontanny bije na głowę poświęcone Aretuzie źródło, do którego w końcu udało się nam dotrzeć. Miejsce to znane było już od starożytności. Według mitologii nimfa Aretuza uciekając przed bogiem rzeki Alfejosem, schroniła się w Syrakuzach, a tam bogini Diana zamieniła ją w bijące do dziś źródło wody.

Pan Jarosław, wpatrując się w pływające między papirusami kaczkę, znowu przypomniał sobie swoje rozmowy z Karolem Szymanowskim, który właśnie tu doznał natchnienia. Przyniosło ono pierwszy z *Mitów skrzypcowych* (op. 34). Zasłuchaliśmy się w unoszącą się nad taflą wody muzykę, wiedząc, że niedługo przyjdzie nam się pożegnać. Nasz czas się kończył. Musieliśmy wracać, mimo że nie odwiedziliśmy jeszcze tylu miejsc, nie delektowaliśmy się jeszcze tyloma smakami, nie dopowiedzieliśmy tylu opowieści. Trudno, opuszczamy wyspę, na której mogliśmy się choć na chwilę schronić przed strachami przynoszonymi przez każ-

dy kolejny dzień. Pan Jarosław obiecał, a wie, co mówi, bo tam na górze mają zdecydowanie wiarygodniejsze niż w TVP wiadomości, że niedługo zrzucimy z siebie pandemiczny gorset i wrócimy do miejsc, które kochamy.

(Cytaty wykorzystane w tekście pochodzą z *Książki o Sycylii* Jarosława Iwaszkiewicza, która ukazała się nakładem wydawnictwa Austeria)



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka *Marki Radia Kraków*. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Wiersze zawsze wracają

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Adam Zagajewski: Co to znaczy być poetą? Oczywiście to niekoniecznie znaczy podróżować, bo można nie podróżować, ale na pewno nie jest to taka praca, że codziennie siedzi się przy biurku od dziewiętej rano. Są takie okresy, gdy wręcz nie unikam odświeżenia czy odpoczynku od pisania. Zwykle, kiedy skończę jakąś książkę lub jakiś cykl wierszy, to nawet sobie zabraniam pisania przez jakiś czas. Aby się to coś wewnątrz mnie odnowiło, bo tam cały czas jakaś praca trwa.**

Od autorki. *Niedawno ukazał się zbiór moich wywiadów Światoodczucie, zawierający między innymi zapis jednej z rozmów przeprowadzonych przeze mnie z Adamem Zagajewskim. Powyższy tekst jest zapisem jeszcze jednego wywiadu, który nagrałam z nim przed laty. Ponieważ przygotowuję tom drugi Światoodczucia, wysłałam panu Adamowi ten materiał do autoryzacji. Obiecał, że to zrobi. Życie tragicznie zweryfikowało naszą umowę. Mimo że*

Nie pisze się wierszy dla siebie.  
Samemu nie jest się odbiorcą własnego wiersza, za dobrze się go zna.

*zapis rozmowy nie został jednak autoryzowany, polecam ją Państwu uwadze dla wspomnień, a zapewne i wzruszenia.*

**Elżbieta Wojnarowska: Czy poezja może być sposobem na życie? Czym właściwie jest? Czym jest dla Pana?**

Adam Zagajewski: Sposobem na życie tylko o tyle, że spora część mojego czasu, moich godzin jest poezji poświęcona. Ale generalnie sposobem na życie nie jest, bo życie ma swoje własne prawa. Wyraźnie odczuwam to, gdy są takie okresy, gdy jestem bardziej poetą niż życiowcem, powiedzmy. A potem są okresy, gdy jestem bardziej życiowcem, kiedy bardziej mnie coś dręczy albo cieszy – wtedy nie tyle zapominam o poezji, ile się od niej odsuwam.

Nie znoszę egzaltacji, więc dla mnie to jest też takie nastawienie, żeby się nie poddawać egzaltacji. O, on jest poetą! I od razu chmura nad głową. Nie, ja lubię trzeźwość, życie raczej spokojne.

**Czy łatwo się Panu przechodzi z tego Ja-twórcy do Ja-rzeczywistego?**

Z Ja-twórcy do Ja-rzeczywistego bardzo łatwo, a odwrotnie trudniej. Bo to Ja piszące, wyobrażające sobie, jest rzadsze, w czasowości naszego życia nie pojawia się codziennie. Czasem marzę, żeby już wróciło, a jeszcze nie wraca.

**Mówi się, że poeta to ktoś, kto pisze wiersze. Dobry poeta to ktoś, kto pisze dobre wiersze, a zły to taki, który pisze złe. Ale taki młody człowiek czasem nie jest w stanie odróżnić, czy pisze dobrze czy źle. Kiedy u Pana pojawiła się ta samoświadomość?**

Właściwie to jeszcze się dotąd nie pojawiła (śmiech). Znam uczucie takiego młodego człowieka. Wciąż mam takie momenty, kiedy coś piszę, a zwykle piszę z entuzjazmem, bo taka jest natura pisania, że często nie wiem, czy to naprawdę jest dobre. Jednak w dużym stopniu polegam na moich czytelnikach. Moja żona czasem mi mówi: Wiesz, może to ci się udało tak do końca... (śmiech). Ale ponieważ mam trochę czytelników, to mi dodaje otuchy, że moje pisanie znajduje oddźwięk. Bo tak przecież jest, że nie pisze się wierszy dla siebie. Samemu nie jest się odbiorcą własnego wiersza, za dobrze się go zna.

**Poddaje się Pan ocenie innych chętnie czy raczej z niepokojem?**

**Adam Zagajewski** urodził się 21 czerwca 1945 roku we Lwowie, ale w tym samym roku, w akcji wysiedlania Polaków z tego miasta, jego rodzina przeniosła się do Gliwic. Poeta, eseista, prozaik. W czasach komunizmu aktywny w opozycji demokratycznej, między innymi sygnatariusz Listu 59 (protestu przeciwko zmianom w Konstytucji PRL), od 1976 roku objęty zapisem cenzury. W latach 1982–2002 na emigracji, od 1983 roku redak-

tor „Zeszytów Literackich”. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1975), Międzynarodowej Nagrody Neustadt w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Księżnej Asturii (2017). W latach 1973–1983 członek Związku Literatów Polskich, od roku 1979 członek Polskiego Pen Clubu, a od 2006 roku Polskiej Akademii Umiejętności.

Zmarł 21 marca 2021 roku w Krakowie.



Z obawą. Zresztą mam od najwcześniejszych lat pisania takie fundamentalne doświadczenie, że każdy wiersz napotyka na dziesięć różnych reakcji. Ktoś mówi: To jest okropne!, a ktoś mówi: To jest wspaniałe! Poeta stale żyje w niepewności. Nigdy nie znajdzie stu-procentowego potwierdzenia tego, co robi. Zawsze będą malkontenci. Zawsze będą też tacy, którzy w ogóle nie reagują na poezję. Ale są tacy, co, owszem, reagują na poezję, ale nie

## Pisanie to jedyna rzecz, która mi się nigdy nie znudziła.

na moją, tylko na kolegi, którego ja uważam za grafomana, i mówią: Jaki to świetny poeta! (śmiech). Muszę wtedy przełknąć dumę, obojętne, kto to jest, i wyjść z pokoju, bo nic innego mi nie pozostaje. Ale z drugiej strony, mam swoich czytelników i w przekładach moje wiersze się podobają w kilku krajach – i to mnie oczywiście bardzo wzmacnia. Dodaje mi otuchy i siły nawet, ale to nie wystarcza, ta niepewność zawsze wraca.

\*

**Jest Pan poetą znanym i uznanym, o niekwestionowanym dorobku, ale może wróćmy do początków, bo nie od razu był Pan poetą. Jaki był Pana dom rodzinny? Kim byli Pana rodzice?**

Urodziłem się we Lwowie, w ostatnim czasie, kiedy to było możliwe, bo w czerwcu 1945 roku. Moja rodzina była rodziną inteligentką. Właśnie inteligentką, a nie intelektualną. Mój ojciec, który umarł w podeszłym wieku, był inżynierem. Mama studiowała prawo, ale jak to było w tym pokoleniu, nie pracowała. W domu były książki, ale poezji niewiele. Z niej królował Gałczyński, bo w latach 50. XX wieku był on bardzo czytany. I nie było muzyki wcale. To był dom kulturalnego inżyniera, który lubił czytać, moja mama też czytała, ale w sensie twórczym nie było tu żadnych koneksji artystycznych.

## Moje wiersze to raczej proza obrazów, a nie refleksji.

**Jak przebiegało Pana dzieciństwo?**

Byłem dzieckiem spokojnym. Jestem typowym introwertykiem, już jako dziecko zapewne byłem taki. Siedziałem w domu i czytałem Sienkiewicza, Juliusza Verne'a i różne inne książki. Wiele lat później zaprzyjaźniłem się z Wojciechem Pszoniakiem, który był

moim sąsiadem, mieszkaliśmy w tym samym domu w Gliwicach. I on, przeciwnie, był ekstrawertykiem, szalał na podwórku, był takim wodzem pokoleniowym. Jest ode mnie trzy lata starszy, ale wtedy wydawał się dużo starszy. Ale nie o to mi chodzi, że był ekstrawertykiem, tylko o to, że potem się okazało, iż jest wielkim artystą. Ja od początku chowałem się w domu, czytałem, marzyłem, zabawy na podwórku nie bardzo mnie ciągnęły. **Miał Pan jakieś hobby, pasje? Sport na przykład?**

Sport nie, choć bardzo lubię pływać, ale nie wyczynowo. Pływanie jest moją wielką namiętnością, nie w żadnych basenach, tylko w jakimś odrobinę cieplejszym morzu. Kiedy byłem chłopcem, wypróbowałem wszystkie hobby (śmiech). Byłem filatelistą, robiłem zdjęcia i różne inne rzeczy, ale każda ta rzecz mnie nudziła. Pisanie to jedyna rzecz, która mi się nigdy nie znudziła.

**Ale kiedy to się zaczęło? Kiedy zaczął Pan pisać wiersze?**

Zacząłem pisać dosyć późno, bo z tego, co czytałem o innych, to moi koledzy, mniej lub bardziej sławni, zaczęli nawet w wieku ośmiu lat (śmiech). Ja, gdy sobie teraz tak rekonstruję, to kiedy miałem 11 czy 12 lat faktycznie zdecydowałem, że będę pisarzem. Ale to była decyzja zupełnie abstrakcyjna, bo niczego nie pisałem – nie robiłem niczego, poza tym że byłem moim księżkowym. Biegałem do biblioteki, przynosiłem coraz to nowe tomy i pożerałem je błyskawicznie, tak jak się w tym wieku czyta. Ale nic nie pisałem. Nawet nie robiłem żadnych notatek. Są cudowne dzieci, które piszą pierwszą powieść albo sztukę, mając 14 lat, a ja nie. Tylko czytałem i mówiłem, że będę pisarzem – ale jeszcze teraz nie, tylko potem.

**Czyli nie poetą?**

Nie. Wtedy miałem być prozaikiem.

**I co się potem zmieniło?**

No, nie udało mi się (śmiech).

**Ale próbował Pan z czasem pisać jakieś prozy?**

Nawet opublikowałem dwie i pół powieści (śmiech). Ale o tym nie mówmy, to są grzechy młodości. Dopiero mając dwadzieścia parę lat, zrozumiałem – choć pisałem wiersze wcześniej, mając 19 lat – ale dopiero po dwudziestce zrozumiałem, że nie będę nowym Tomaszem Mannem, bo w wierszu się lepiej wypowiadam. Tak jak biegacz musi sobie wcześniej odpowiedzieć na pytanie, czy będzie biegał na 100 albo 200 metrów czy raczej będzie długodystansowcem, tak ja potrzebowałem trochę lat, żeby stwierdzić, że nie będę maratończykiem, tylko sprinterem.



**Miał Pan wówczas jakiegoś nauczyciela, mentora, czy też Pan sam zabrał się do pisania?**

Moimi mentorami byli za każdym razem poeci, których czytałem. Herbert, Różewicz, Miłosz – później poznałem, także Rilke. Bo już w liceum czytałem *Elegie duinejskie* – jak tacy ambitniejsi uczniowie liceum, co nie czytają, a wręcz gardzą książkami dla młodzieży.

**Jak się Pan czuł w liceum?**

To było liceum pod dyktando Mariana Rymera w Gliwicach. Wtedy nie było podziału na humanistyczne i inne. Nie było to najgorsze liceum, ale też nie najlepsze. Naszym wychowawcą był polonista. Był stary, dużo od nas starszy, nie miał kontaktu z nami. Nikt go właściwie nie lubił. To był dramat człowieka inteligentnego, szanującego literaturę, który albo nie miał powołania, albo talentu nauczycielskiego. Czuło się, że uwielbia Marię Dąbrowską, jednak poezja go chyba mniej pasjonowała. W jakimś sensie był człowiekiem na właściwym miejscu, były takie rzeczy w literaturze, które kochał, ale był tak sztywny wewnętrznie, że nikogo nie przekonał.

**Nie odkrył Pana w klasie? Nie zauważył między uczniami?**

Nie. Przeciwnie. Mój ojciec był profesorem Politechniki Śląskiej i w takim małym mieście wszyscy o tym wiedzieli. Tymczasem po maturze, gdy już były wręczane dyplomy, mój polonista powiedział do mnie: Adamie, jestem przekonany, że będziesz świetnym inżynierem (śmiech). A ja już wtedy byłem przekonany, że na pewno nie będę inżynierem. To było w momencie, gdy już stoczyłem wielką walkę z rodzicami, którzy oczywiście chcieli, żebym poszedł na tę Politechnikę.

**Rodzice też nie odkryli w Panu innych talentów?**

Nie mieli co odkrywać, bo starannie ukrywałem moje predyspozycje (śmiech). To był tylko mój świat wewnętrzny, który wtedy w żaden sposób się jeszcze nie manifestował. A w takim mieście jak Gliwice, zwłaszcza wtedy, było oczywiste, że syn profesora politechniki powinien iść na politechnikę. Zostanie inżynierem i może w przyszłości profesorem politechniki. Dla mnie to był dramat.

**Ale postawił Pan na swoim. Myślał Pan o filologii polskiej?**

Nie, nie chciałem iść na filologię polską, bo mierzyl mnie właśnie ten zapach nauczycielski. Chodziło mi o to, żeby studiować jakąkolwiek humanistykę w Krakowie. Bo wiedziałem, że to jest miasto, w którym jest teatr, filharmonia, muzea. To było miasto dla mnie, nie Gliwice.

**Wybrał Pan sobie Kraków?**

Tak. Zdawałem na psychologię. A potem trochę żałowałem, bo nic mi się na tej psychologii nie podobało. Ale nie miało to znaczenia, bo osiągnąłem cel – studiowałem w Krakowie. To było inne życie. Zapisałem się też na filozofię, więc jestem podwójnym magistrem. Ale nigdy nie rozpocząłem doktoratu (śmiech). Potem przez parę lat uczyłem podstaw filozofii na AGH, co było nieciekawą pracą, na szczęście szybko z tym zerwałem. I zacząłem takie partyzanckie życie literackie.

**Mówi się, że polonistyka niszczy osobowość twórczą młodych ludzi.**

Nie wiem. Myślę, że jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, to polonistyka tego nie niszczy. Tak jak w Ameryce, gdzie są programy twórczego pisania, ale jak ktoś ma talent, to go ten talent ochroni.

**A można nauczyć pisania?**

Oczywiście nie. Można powiększyć świadomość kultury literackiej, ale tylko tyle. Zresz-

**Nie jestem filozofem, który pisze wiersze.  
Mam zupełnie inny typ umysłu.**

ta jest takie założenie w tych programach twórczego pisania, że ktoś, kto tam przychodzi, już coś pisze, już coś robi.

**Niektórzy w Polsce są przeciwni takiemu nauczaniu.**

W Stanach uczyłem twórczego pisania przez 18 lat. A w Europie jakoś to w ogóle nie jest potrzebne. Stany są krajem, kontynentem, gdzie młodzi ludzie są bardzo samotni. Te programy mają bardziej znaczenie socjologiczne. Integrują. Dają uczestnikom poczucie, że są w pewnym środowisku pisarskim. W Europie jest inaczej. Nawet w Polsce – wystarczy przyjechać do Krakowa, żeby odkryć rówieśników, którzy mają te same marzenia. Ale jak ktoś jest w Stanach z takiej okolicy, gdzie tylko kukurydza rośnie i nie ma nic więcej, to nie ma sposobu, żeby znaleźć przyjaciół o podobnym sposobie myślenia. A programy twórczego pisania automatycznie tworzą środowisko.

\*

**Określa się Pana jako przedstawiciela poezji filozoficznej. Zgadza się Pan z tym?**

Nie bardzo wiem, co to znaczy. Może w pewnym sensie tak. Ale na pewno nie jestem filozofem, który pisze wiersze. Znam wielu filozofów i wiem, że mam zupełnie inny typ umysłu, nie filozoficzny. Studiowałem filozofię, czytam trochę filozofii, ale nie mam ani temperamentu filozoficznego, ani właśnie tego typu umysłu-

wości. Mam umysł bardzo konkretny, bardziej dociera do mnie obraz niż myśl. Gdyby rzucić okiem na moje wiersze, to jest to proza obrazów, a nie refleksji. A jeśli już jest trochę refleksji, zwłaszcza w dłuższych wierszach, to jest to zupełnie innego typu refleksja. Jestem dziko zakochany w konkretności, co się nie poddaje formule abstrakcyjnej.

**Mówi się, że poeta powinien być papierkiem lakmusowym swoich czasów. Czy Pan uważa, że poeta powinien odzwierciedlać swój stosunek do zjawisk świata w sensie politycznym i społecznym, na wzór romantyczny, czy tylko zagłębiać się w swoje ja i tylko z tego punktu widzenia kreować rzeczywistość na użytek innych?**

Trudne pytanie. Po pierwsze, jest kwestia wieku. Młodzi poeci są jakby powołani do tego, żeby się buntować. A jak się buntować, to przeciwko temu, co jest widzialne, czyli pewnej sytuacji politycznej czy społecznej, oceniać, odrzucać, krytykować. Z biegiem lat, a w moim

## Trudno sobie wyobrazić cykl sonetów o Jarosławie Kaczyńskim.

przypadku tak jest, to się zmienia. Ten fenomen buntu staje się coraz mniej interesujący, a coraz bardziej ciekawa jest kontemplacja świata – bez odrzucania go, tylko w pewnym sensie przyjęcie świata takiego jaki jest. Gdy byłem bardzo młody, pisałem wiersze polityczno-krytyczne wobec komunizmu i to mnie pasjonowało. Ale gdy dożyliśmy innych czasów, mamy setki dziennikarzy, którzy robią to, co dawniej robili poeci. Podstawowa funkcja krytyczna w społeczeństwie jest wypełniana przez dziennikarzy właśnie. Trudno sobie przecież wyobrazić cykl sonetów o Jarosławie Kaczyńskim (śmiech).

**Do Pana wierszy powstała muzyka: *Dyptryk Polski i Łąki Burgundii* Sebastiana Krajewskiego na sopran i zespół instrumentów dawnych w 2006 roku oraz Krzysztofa Meyera *Sinfonia da requiem* na chór i orkiestrę symfoniczną w 2010 roku. A w 2015 roku Włodek Pawlik napisał muzykę do *Mów spokojniej*. Jak Pan odbiera swoje słowo wyśpiewane? Ma dla Pana nową jakość? Mówiąc szczerze, utworu Krajewskiego nigdy nie słyszałem. Natomiast symfonię słyszałem i podobała mi się bardzo, tak. Słyszałem raz, bo to było tylko jedno wykonanie. Była też piosenka Skaldów z moimi słowami, ale nie pamiętam tytułu.**

**Podobno nie zwraca Pan uwagi na przyrodę, nie inspirowała ona Pana.**

Nie, to nieprawda. Zdarzają się nawet recenzenci, którzy widzą mnie jako poetę Natury. Ale zauważyłem, że pasjonuje mnie natura w mieście. Na wsi jest jej jakby za dużo, traci wyrazistość. Natomiast gdy się jest na Plantach, to się ją dostrzega. Jest to piękne miejsce w Krakowie – Planty to taki park, który wchodzi w Stare Miasto. Co chwilę mamy kontrast między starymi ceglami, murem i świeżą zielenią. To mnie zawsze zachwyca, ta natura walcząca z miastem.

**Wygląda Pan na osobę emocjonalną. Jaki właściwie jest Adam Zagajewski?**

A skąd mogę wiedzieć... (śmiech). Cóż, z emocjami jest tak, że jest ich dużo negatywnych, trudnych, i to mnie wcale nie cieszy Oczywiście, jestem emocjonalny, chociaż ukrywam to pod maską takiego spokojnego cynika.

**A czy te emocje są dla Pana twórcze? Wyzwalają w Panu pisanie? Czy raczej odcinają?**

Niektóre są twórcze, tak. Mam taką teorię, trochę zapomnianą, że emocje wewnątrz sztuki nie są dokładnie tym samym co w świecie rzeczywistym. Ja, na przykład, bardzo dużo słucham muzyki, i niekiedy, w dobrych okresach, kiedy reaguję na muzykę, mam żywe emocje i często z nich niemal bezpośrednio powstają jakieś wiersze. Ale inne emocje, życiowe, niekoniecznie przykre, ale i pozytywne, z większym trudem się przekładają na twórczość. Zawsze mam takie poczucie podwójności. Żyję życiem, które jest bogate, ma dużo radości, ale i trosk, jest czymś, co nas, a na pewno mnie, zajmuje na długi czas. I wtedy zapominam o tym, że także jestem poetą. A potem wraca poezja jako nastrój, jako aktywność literacka i wtedy trochę zapominam o życiu. To jest albo-albo, albo jestem po stronie życia, albo po stronie pisania.

**To chyba trudne – takie balansowane pomiędzy?**

Dla mnie to jest naturalne. Choć to może nie najlepsze słowo. W każdym razie coś, co dobrze znam i nie mam nic przeciwko temu. Nie to, że lubię, bo byłoby za mocno powiedziane, ale godzę się, bo tak to ze mną jest, że albo jedno, albo drugie, takie momenty przejścia raz w jedną, raz w drugą stronę.



**Elżbieta Wojnarowska** – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

# Tę wodę widzę dokoła

Jarosław Mikołajewski

*Adamowi Zagajewskiemu*

nie ścigają się już łódki mojego myślenia

stateczne statki wypływają z rei  
kiedy jest ich kolej i kiedy nie mają  
żadnego przed sobą i żadnego z boku

potrafią czekać za wesołą czeredą  
tych którym spieszy się do horyzontów

one już wiedzą że za szarą linią  
jest inna linia a jedna przenika  
drugą potem trzecią i tę ostateczną

to jest godzina spokojnego czekania

zaraz będzie chwila mewy a za chwilę  
godzina słońca i wzburzonych cieni

jedyne czego już nigdy nie będzie  
to chwila postoju nawet w porcie przyjaznym

przyjazne już tylko jest morze gdy wokół  
nie ma nawet imion pięknych kontynentów



**Jarosław Mikołajewski** – poeta, eseista, autor książek dla dzieci oraz tłumacz (m.in. Dantego, Petrarcki, Pasoliniego i Primo Leviego). W latach 2006–2012 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Rzymie. *Terremoto*, jego reportaż z Nursji,

niewielkiego miasteczka zniszczonego przez trzęsienie ziemi jesienią 2016 roku, był nominowany do Nagrody Nike.

# My z niego wszyscy

Rozmawiał Paweł Stachnik Zdjęcie: Dominika Oramus

**Marek Oramus:** Mnie, moim kolegom i czytelnikom Lem nie tylko pokazał fantastykę naukową w nowoczesnej pod względem tematycznym formie, ale wręczył nam, by tak powiedzieć, przepustki do tej wielkiej krainy, słabo znanej w Polsce i jeszcze słabiej eksplorowanej. Dzięki Lemowi wchodziliśmy tam bez kompleksów, przystępowaliśmy do lektur zachodnich autorów bez trwogi i nawet potrafiliśmy wytknąć im to i owo. A wszystko dlatego, że przed nami przeszedł Lem i jak czołg przeorał to poletko wzdłuż, wszerz i w poprzek, tak że niejednokrotnie nie było co zbierać.

**Paweł Stachnik:** Swego czasu napisałeś cykl tekstów *Drugie czytanie Lema*. Dziś zapytam więc: jak jego książki przetrwały próbę czasu?

Marek Oramus: Jakoś przetrwały. Parę lat temu uczestniczyłem w wielkim seminarium poświęconym Lemowi we Wrocławiu. Sekretarz pisarza Wojciech Zemek podał tam podczas dyskusji, że w ciągu ostatniej dekady sprzedano milion egzemplarzy książek Lema. Milion! To oznacza sto tysięcy rocznie. Oczywiście na ten rezultat składało się wiele tytułów, ale fakt pozostawał faktem: Lem nadal cieszył się wzięciem czytelników pomimo nasycenia rynku jego książkami. To imponujący rezultat i wielu żyjących pisarzy pozazdrościłoby mu takiego zainteresowania.

Osobną kwestią pozostaje, jak zestarzało się to, co jest w książkach, czyli fabuły, bohate-

Jednakże nie są to wady, które by dyskwalifikowały te powieści. Mówi się, że utwory SF nie tyle pokazują przyszłość, ile ludzkie wyobrażenia o przyszłości w epoce, kiedy konkretne dzieła powstawały. Tego się trzymajmy i w przypadku Lema. Pozostają fabuły, bohaterowie, sprawy, o które oni walczyli, pojedyncze smakowite pomysły Lema... To wszystko przecież nie przepadło. Dlatego dziś wciąż czytamy *Trylogię księżycową* Żuławskiego? Przecież wiadomo doskonale, że na odwrotnej stronie Księżyca nie ma lasów, jezior, ziem ornych, nie istnieją straszliwi szernowie – nikomu to jakoś nie przeszkadza. Książki powstają i zastygają w konkretną formę, a jeśli spełniają nadal funkcję artystyczną, estetyczną czy rozrywkową, nie widzę powodu, byśmy się ich wyrzekali.

**Podkreślasz, że Stanisław Lem w pojedynkę, nie korzystając z żadnego wsparcia krytyki ani kolegów po piórze, zasypał przepaść dzielącą nas od fantastyki światowej. I to w kraju bez wielkiej tradycji tego rodzaju pisania, zacofanym naukowo i technicznie. Jak dużo więc polska literatura zawdzięcza Mistrzowi?**

Jako autor SF znalazłem się wśród tych, którym dane było korzystać z dobrodziejstwa tej pracy Lema. Mnie, moim kolegom i czytelnikom Lem nie tylko pokazał fantastykę naukową w nowoczesnej pod względem tematycznym formie, ale wręczył nam, by tak powiedzieć, przepustki do tej wielkiej krainy, słabo znanej w Polsce i jeszcze słabiej eksplorowanej. Dzięki Lemowi wchodziliśmy tam bez kompleksów, przystępowaliśmy do lektur zachodnich autorów bez trwogi i nawet potrafiliśmy wytknąć im to i owo. A wszystko dlatego, że przed nami przeszedł Lem i jak czołg przeorał to poletko wzdłuż, wszerz i w poprzek, tak że niejednokrotnie nie było co zbierać. Kto po Lemie podejmie się opiewania kontaktów nieudanych, chromych, zwiniętych – Lem był tu prawdziwym mistrzem świata. To fantastyka.

Ale polska literatura już bez przymiotnika „fantastyczna” też ma powody do wdzięczności wobec Lema. Lem ukazał jej walory SF pisanej na wysokim poziomie, wymusił uwagę poważnych krytyków i skłonił ich do przyznania,

Nie ma polskiego autora *science fiction*, który ustawiałby się wobec Lema obojętnie. Jedni obwołują go swoim prekursorem, ojcem, wujem, przewodnikiem i gwiazdą zaranną, inni pisali przeciwko niemu, pod prąd.

rowie, scenografia itp. Tu bywa różnie. Pewne rzeczy były nie do zniesienia już za życia Lema i sam autor na to wskazywał. Oczywiście na pierwszy rzut idą czerwone utopie komunistyczne, jak o nich mawiał, czyli *Obłok Magellana*, *Astronauta*, wiele wczesnych opowiadań. Kompletnie archaiczna pozostaje sfera informatyczna, która w wielu utworach sprawną się do „mózgów elektronowych” wielkości średniego wieżowca. W takich powieściach jak *Powrót z gwiazd* czy *Niezwykły ciężony* nie istnieje elektroniczna rejestracja danych, wielkie atlasy gwiazdne są obecne wyłącznie na papierze, a gromadzenie wyników pomiarów wymaga udziału człowieka, bo nie zostało zautomatyzowane. Tu Lemowi ewidentnie zabrakło wyobraźni, a może wiedzy o tym, jak wyglądał stan techniki w owym czasie.



**Marek Oramus** urodził się w 1952 roku w Sieprawiu pod Krakowem. Jest pisarzem science fiction, dziennikarzem, publicystą, popularyzatorem nauki. Ukończył energetykę jądrową na Politechnice Śląskiej. Wieloletni kierownik działu publicystyki w miesięczniku „Nowa Fantastyka”. Autor powieści *Sen-*

*ni zwycięzcy*, *Arsenał*, *Dzień drogi do Meorii*, *Święto śmiechu*, zbiorów opowiadań *Hieny cementarne*, *Rewolucja z dostawą na miejsce*. Wydał także książki *Bogowie Lema*, *Na niebie i ziemi*. *Największe tajemnice Wszechświata objaśniają czołowi polscy naukowcy*, *Wszechświat jako nadmiar*.

że na tym trzeba się znać. Wielu, na przykład Jan Błoński, deklarowało, że nie ma na Lema „uchwyty”. Także autorzy głównego nurtu czytali Lema i pozostawali pod jego wpływem, co widać w ich twórczości. Gdy czytałem *Małą apokalipsę* Konwickiego, byłem zdumiony, ile tam zawołań „astronomicznych”, ile inkrustacji odwołujących się do nieba gwiazdzistego, a przy tym ile pomysłów szczegółowych, jak polska flaga w dobie zacieśnionej przyjaźni z ZSRR: trochę białego u góry i dużo czerwonego na dole. Nie byłoby tego bez wpływu Lema, jego *Cyberiady*, *Bajek robotów* i gotowych wzorów, które tam pokazał.

**Napisałeś kiedyś, że całe pokolenie polskich pisarzy SF wyrosło i tworzyło w jego cieniu.** Nie znam ani jednego polskiego autora SF, który ustawiałby się wobec Lema obojętnie. Jedni obwołują go swoim prekursorem, ojcem, wujem, przewodnikiem i gwiazdą zaranną, inni pisali przeciwko niemu, pod prąd. W pewnym momencie, gdzieś w latach 80. ubiegłego wieku, obowiązywało hasło „my z niego wszyscy”. Lema wypadało

Umiejętności prognozowania nie da się wykształcić ani ująć w algorytmy, to po prostu dar Boży. Kiedy człowiek zajmuje się długo jakąś dziedziną, rozwiązania i odpowiedzi pojawiają mu się w głowie niejako same. Do tego dochodzi statystyka: kto często formułuje prognozy, ten i częściej trafia, pod warunkiem że jest to obudowane odpowiednim przygotowaniem. Lem posiadał tę umiejętność w najwyższym stopniu.

znać na wrywki i zastanawiać się nieustannie, co by powiedział na nasze pisanie, jak ono się ma do zawieszanej przezeń poprzeczki. Oczywiście nie mówił nic, bo go to nie interesowało, nie utrzymywał żadnych kontaktów z tak zwanym fandomem, a to, co czytał, bezlitośnie dezawuował. Rzadko coś wzbudzało jego uznanie. Podobał mu się na przykład *Limes inferior* Janusza A. Zajdla, o którym wyraził się z najwyższym uznaniem.

**Czy odejście Lema od pisania beletrystyki było decyzją słuszną? Pozbawił przecież w ten sposób czytelników szansy na obcowanie ze swoimi nowymi dziełami, a i literatura polska stała się przez to uboższa.**

Tak postanowił i tego się już nie zmieni. Trochę pozował na znudzonego wymyślanie i pisaniem kolejnych fabuł, ale w wywiadzie wyznał mi, że obawiał się utraty formy literackiej. Nie chciał na starość pisać dla samego pisania. Sam widział, że zaczyna trochę gonić w piętękę. O swojej ostatniej powieści *Fiasko* powiedział mi, że syn Tomasz ocenił

ją jako powtórkę *Astronautów*. Oczywiście z inną techniką, trochę innym problemem, ale dużo elementów się powtarzało. Być może to był dla niego sygnał ostrzegawczy. Skupił się na publicystyce i pisał ją jeszcze przez prawie 20 lat, ale wbrew zapewnieniom hagiografów o jej wysokiej jakości nie zawsze tak było. Im bliżej roku 2006, czyli roku jego śmierci, tym więcej powtórzeń, samoanaliz, narzekania, jak to jest niedoceniony... Czytałem jego niedokończoną powieść *Skocony kryminał*, odnalezioną w papierach. Oczywiście, gdyby ją dokończył, na pewno ktoś by się zdecydował na wydanie dla samej magii nazwiska. Ale Lem by tego nie chciał, ogromnie dbał o prestiż i wysoki poziom produkcji. I tak nam zostanie w pamięci: jako artysta, po którym niewiele zostało słabizny literackiej.

**W połowie lat 80. Lem chciał, żebyś to ty był jego partnerem w kolejnym tomie rozmów planowanym przez Wydawnictwo Literackie. Tematem miała być nauka i jej perspektywy. Lem wybrał ciebie, bo zajmowałeś się z jednej strony fantastyką, a z drugiej dziennikarstwem naukowym.**

Myślę, że była to zasługa mojej książki krytycznej *Wyposażenie osobiste* oraz wywiadu do „Playboya”, któryśmy – ten wywiad – wtedy zrobili. Książkę wysłałem mu do Wiednia. Lem istotnie dostrzegł u mnie pewne kompetencje w dziedzinie nauk ścisłych, które jeno pozorowali otaczający go humaniści. Ale w rozmowie był partnerem niesłuchanie trudnym: za nic nie chciał trzymać się ustalonej linii przewodniej, właściwie nie odpowiadał na temat, nieustannie szedł w rozbudowane dygresje. Gdy obejrzałem materiał z pierwszej sesji, ogarnęło mnie przerażenie. Coś z tego poskładałem, ale podczas następnej sesji pokazałem mu rezultaty i powiedziałem, że jeśli nadal mamy pracować tą metodą, musimy kupić rower i wynająć salę gimnastyczną. Rowerem by się jeździło po sali i układało fragmenty na kupki, żeby stworzyć jakąś całość. Pamiętajmy, że było to w czasach przedkomputerowych, komputery znakomicie ułatwiły takie montowanie. Na takie *dictum* Lem przeprosił, że nie jest w formie, i zakończył nasze przedsięwzięcie. Myślę, że sam nie był wtedy jeszcze do niego gotowy. Potem okazało się, że poszukiwał partnera do rozmów o tym, co mu się udało przepowiedzieć w *Summie technologiae*, z której był bardzo dumny do końca życia. Skąd brała się umiejętność trafnego przewidywania kierunków rozwoju nauki i techniki? W książkach SF mamy na pęczki rozmaitych wynalazków i rozwiązań technicznych, ale to Lem jako pierwszy opisał e-booki i audiobooki, internet, druk 3D i wirtualną rzeczywistość.

**Skąd bierzesz to przekonanie? Owszem, wirtualna rzeczywistość jest pokazana w *Summie...*, ale internet? Druk 3D?**

Jest szkoła, która uważa za prekursorskie wobec internetu opowiadanie o zbójcy Gębonie

z *Cyberiady*, który był łasy na wszelką informację i w końcu zginął pod zwałami papieru – jej nośnika. Moim zdaniem jednak opowiadanie to dotyczy zjawiska bardziej ogólnego, czyli kolapsu informacyjnego. Cywilizacja bez ustanku produkuje informację zbędną, błahą, służącą jeno ekscytacji – i w końcu ginie pod jej zwałami. Mamy z tym do czynienia w naszej epoce, a internet jest jedynie wyraźnym przykładem medium, w którym taki proces zachodzi i codziennie jest do obserwowania.

Skąd się bierze taka umiejętność prognozowania? Moim zdaniem nie da się jej wykształcić ani ująć w algorytmy, to po prostu dar Boży. Jedni mają go w większym stopniu, inni w mniejszym, jeszcze inni w ogóle. Kiedy człowiek zajmuje się długo jakąś dziedziną, stopniowo dochodzi do wiedzy jakby intuicyjnej, rozwiązania i odpowiedzi pojawiają mu się w głowie niejako same. Do tego dochodzi statystyka: kto często formułuje różne prognozy, ten i częściej trafia, pod warunkiem że jest to obudowane odpowiednim przygotowaniem. Lem posiadał tę umiejętność w najwyższym stopniu, w całej historii literatury widzę jedynie kilka nazwisk, które byłyby zdolne z nim konkurować: Wells, Verne, Belamy... Z futurologów wręcz nie widzę nikogo takiego.

**Twoja książka o pisarzu nosi tytuł *Bogowie Lema*. Jaki właściwy był jego stosunek do wiary, Boga, transcendencji?**

Negatywny. „Na istnienie żadnego Boga nie mogę dać zgody”, perorował buńczucznie, tak jakby Bóg wymagał jego przyzwolenia. Przedstawiał siebie jako agnostyka, lecz myślę, że był ateistą. Ale Bóg niepokoił go jako temat, jednak nie od strony metafizycznej. W Bogu fascynowały Lema atrybuty zewnętrzne, takie jak wszechmoc, wszechwiedza, doskonałość. Wyobrażał więc sobie Boga w sposób uproszczony, jako taki gigantyczny komputer, który może zrealizować wszystko, co tylko pomyśli. W latach 80. i 90. jego pogląd na Boga i religię zaczął się zmieniać, przyznawał na przykład, że religia bywa pożyteczna w kieżnaniu ciemnych stron człowieka. Ale gdy go publicznie spytałem o te kwestie, zajął swoje zwykłe ortodoksyjne stanowisko.

**W 2000 roku opublikowałaś w „Nowej Fantastyce” opowiadanie *Miejsce na Ziemi*, będące rozwinięciem wątków powieści Lema *Powrót z gwiazd*. Jaka była reakcja pisarza? Zachciało mi się dyskutować z niektórymi wątkami i rozwiązaniami z *Powrotu z gwiazd*, powieści, która po dziś dzień wywiera na mnie wielkie wrażenie. Napisałem więc *Miejsce na Ziemi*, pokazałem w redakcji, gdzie z miejsca skierowano je do druku. Po wydrukowaniu zapakowałem do koperty i wysłałem Lemowi. Jakież było moje zdziwienie, kiedy otrzymałem list, że tego typu wykorzystanie elementów jego twórczości jest niestosowne, bo żadnej zgody na to mi nie**

Bóg niepokoił Lema jako temat, jednak nie od strony metafizycznej. W Bogu fascynowały go atrybuty zewnętrzne, takie jak wszechmoc, wszechwiedza, doskonałość. Wyobrażał więc sobie Boga w sposób uproszczony, jako taki gigantyczny komputer, który może zrealizować wszystko, co tylko pomyśli.

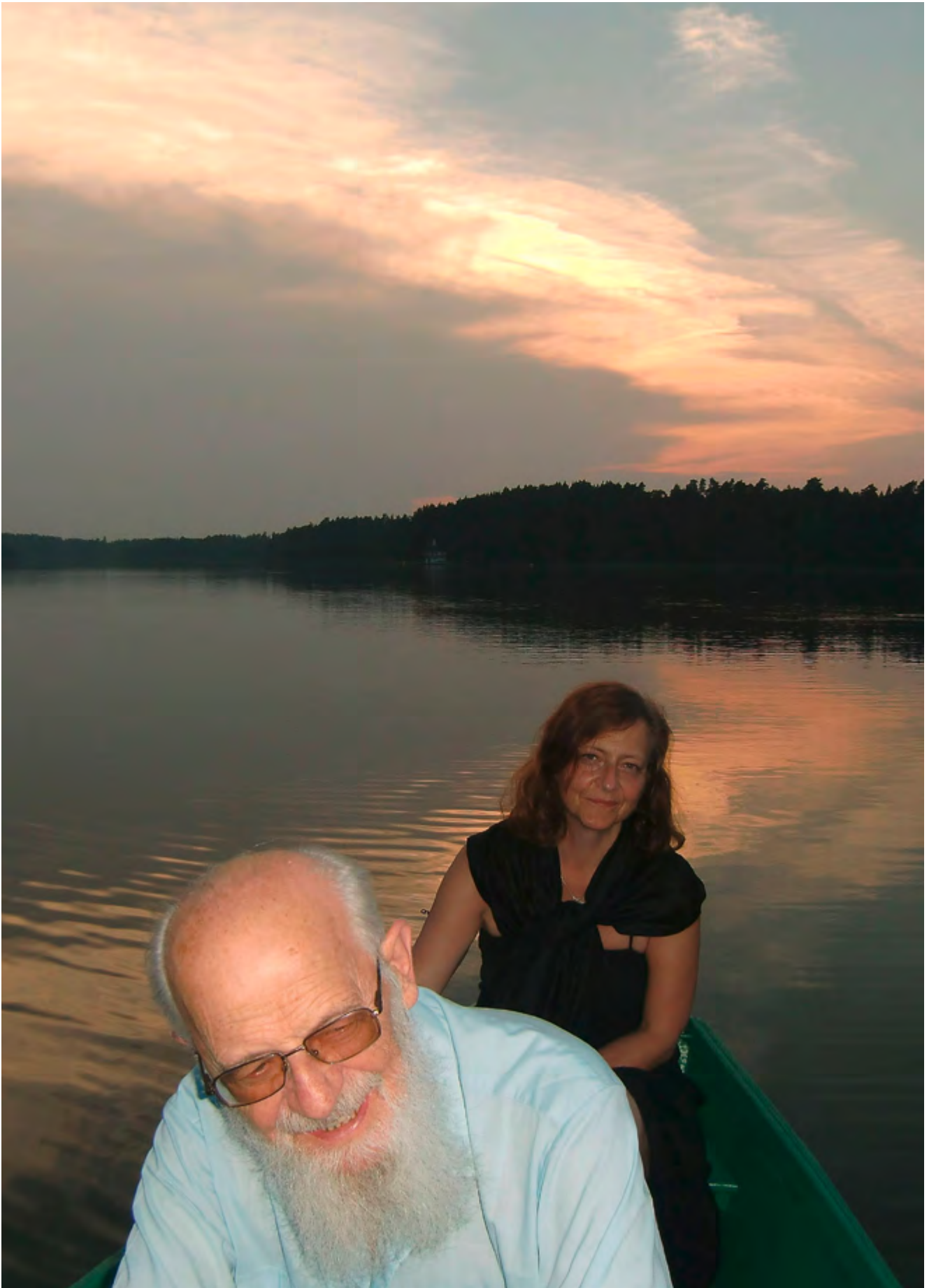
udzielał. Istotnie, miał rację, ale i ja – chcąc dyskusji artystycznej – nie mogłem się obejść bez Hala Bregga i sytuacji zarysowanej w *Powrocie*... Działo się to, przypominam, w epoce, kiedy klasykom dopisywano całe powieści w formie dalszych ciągów itp. Napisałem, że moje opowiadanie nie blokuje mu własnej kontynuacji tej powieści, ale przypomniałem też, że wcześniej wykluczył taką możliwość na piśmie. Z czasem uzyskałem odpuszczenie win. Kto ciekaw szczegółów, niech sięgnie do *Bogów Lema*, gdzie w aneksie zamieściłem dokumentację na ten temat.

**Historia twoich relacji z Lemem to temat na osobną rozmowę. Pisarz darzył cię sympatią, która – jak to często u niego bywało – łatwo zmieniała się w niechęć...**

Wchodzenie w konflikty z dawnymi przyjaciółmi czy współpracownikami często się Lemowi zdarzało. Przywołam tylko nazwisko Franza Rottensteina, z którym Lem walczył ramię w ramię o lepszą fantastykę, który jako agent sprzedał mu ileś tam milionów książek, a potem został przezeń pozwany przed sąd w Wiedniu. Lem przegrał ten proces i oczywiście z dawnej przyjaźni nic nie zostało. W moim przypadku doszło do czegoś, czego do dziś nie rozumiem. W kamienicy przy krakowskim Rynku świętowano 80. urodziny Lema. Poszedłem tam, wręczono mi kawałek tortu na talerzyku i gdy się zbliżyłem do Lema, który jak zwykle podpisywał masę książek, jakiś diabeł podkusił mnie, żeby powiedzieć: – Panie Stanisławie, czy można prosić o autograf na torcie? Na to mistrz nie podnosząc głowy, odrzekł: – A z tym panem nie chcę mieć nic wspólnego. Lem lubił żartować z bliźnich, ale żarty pod swoim adresem znosił słabo. Na takie *dictum* odwróciłem się, talerzyk z tortem wręczyłem jakiejś zachwyconej emerytce i opuściłem zgromadzenie. Rzecz jasna tym samym nasza znajomość została zakończona i nie było już okazji, żeby ją wznowić.



**Paweł Stachnik** – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Krakowskiej”, „Sowińcu” i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fantastyki i dobrego piwa.



Walery Pisarek z córką Dorotą w Posejnelach



# Mój Tata, moja miłość

Tekst: Dorota Krzywicka-Kaindel Zdjęcia: archiwum domowe autorki

Walery Pisarek 31 maja tego roku kończyłby 90 lat... Urodził się bowiem 31 maja 1931 roku. Był jednym z najwybitniejszych uczonych zajmujących się językiem, najwyższym autorytetem dla pokoleń językoznawców i dziennikarzy, nestorem prasoznawstwa, twórcą polskiego medioznawstwa. Profesor zwyczajny, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Jana Pawła II. Pierwszy przewodniczący Rady Języka Polskiego, inicjator uchwalenia Ustawy o języku polskim, przewodniczący jury i autor wielu tekstów do odbywającego się Ogólnopolskiego Dyktanda. Członek międzynarodowych językoznawczych gremiów naukowych i eksperckich. Odznaczony Komandorskim, Oficerskim i Kawalerskim Krzyżem Orderu Polonia Restituta. Uhonorowany tytułem doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i Uniwersytetu im. Jana Kochanowskiego w Kielcach.

O takich odejściach zwykło się mawiać „piękna śmierć”. Tata zmarł bowiem nieomal w blasku reflektorów w katowickim Centrum Kultury, gdzie 5 listopada 2017 roku jako honorowy przewodniczący Rady Języka Polskiego miał wygłosić laudację dla Jacka Bocheńskiego, głównego laureata przyznawanego dorocznie przez Radę tytułu Ambasador Polszczyzny. Zasłabł w garderobie, tuż przed wyjściem na scenę.

Mimo długich wysiłków lekarzy pogotowia ratunkowego nie udało się go uratować. Kiedy nazajutrz odbierałam z niewypowiedziane obskurnego komisariatu w Katowicach Jego rzeczy, musiałam pokwitować, że odbieram między innymi, jak podyktował mi policjant, „cztery strony zapisanego papieru w formacie A4”. To była, jak później stwierdziłam, owa laudacja.

Załatwiałam te formalności, a w głowie kołatało mi wspomnienie ceremonii nadania Ojcu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach sześć lat wcześniej. Byłam tam wtedy. Tata wygłosił odczyt o odmianach regionalnych polszczyzny. Opowiadał o swoich językowych zdumieniach i rozbawieniach. Najpierw o dzieciństwie spędzonym na Lubelszczyźnie i zaśpiewie tamtejszej polszczyzny, „jakby kto łyżką kaszę głęբoko z garnka wyciągał”; potem o pierwszych krokach w Krakowie i melodii mowy podwawelskiej, która jest jak powiewająca na wietrze chorągiewka: „zaczyna się od drzewca, lekko zaznaczonego akcentu inicjalnego, a potem się rozwija melodia zrazu wyrazista, potem słabnąca, która ciągnie się, ale się nie kończy, jakby zniknęła nagle”. Gdy mówił o kolejnym spotkaniu z regionalną polszczyzną, padło zdumiewające zdanie: „Smakowanie śląszczyzny zacząłem na początku lat 50. jako górnik”. Nie rozwi-

nał tematu, nie wyjaśnił, jak to się stało, że ledwie dwudziestoletni student polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego został górnikiem na Śląsku. A byłoby o czym opowiadać,

„Naukę skutecznego używania języka należy rozpoczynać od nauki milczenia. Kto się nie nauczył milczeć, nie powinien w ogóle zabierać głosu, bo prędzej czy później napyta biedy sobie albo innym”.

gdyż Tata pracował w kopalni Jawiszowice-Brzeszcze jako więzień polityczny. Po przełomie 1989 i upadku PRL Tata nie robił tajemnicy (bo wcześniej, to owszem) z tego, że w czasach stalinowskich był dwukrotnie więziony. Ale też niepytany, nie opowiadał o tym.

\*

Pierwszy raz oskarżono go i skazano za próbę obalenia ustroju w 1946 roku. Piętnastoletni Walery należał wówczas do tajnej organizacji Nauka-Ojczyzna-Wiara. Podczas śledztwa był torturowany, poniżany i bity drewnianą pałką po gołym ciele. Spędził sześć miesięcy w jednym z najcięższych więzień w ówczesnej Polsce, w baszcie zamku w Lublinie. Nie było tam ani pryczy, ani sienników. Więźniowie stłoczeni w kilkudziesięciu chłopca spali na gołym kamieniu. Przez pozbawione szyb okna baszty padał śnieg i hulał wiatr. Dzięki staraniom adwokatów, ale przede wszystkim wskutek amnestii, wiosną 1947 roku wyszedł na wolność i wrócił do nauki.

Po maturze zdał na polonistykę na UJ, zakochał się w mojej mamie, jak twierdził, zaraz na egzaminach wstępnych wyłuskał z tłumy młodych ludzi tę „najpiękniejszą w klasie”.

Ale nim doszło do ślubnego happy endu, upłynęły lata. Zaraz bowiem na pierwszym roku studiów mój Ojciec założył wraz z kolegami podziemną organizację Helena. Chłopcy wpadli. 5 listopada 1951 roku został aresztowany. Osadzono go najpierw w więzieniu na Montelupich. Po rozprawie, na której usłyszał oskarżenie, że „licząc na nieuchronność wybuchu trzeciej wojny światowej i zmianę ustroju



Walery Pisarek z córką Dorotą

w Polce Ludowej, postanowił zorganizować nielegalną organizację”, z wyrokiem sześciu lat pozbawienia wolności osadzono go w lochach zamku w Nowym Wiśniczu. W sierpniu 1952 roku przewieziono go do obozu pracy w Jawiszowicach-Brzeszczach, gdzie więźniowie mieszkali w barakach byłego podoboju KL Auschwitz. Spali na piętrowych pryczach po trzech: mordercy, zbrodniarze wojenni, pospoliccy kryminaliści i więźniowie polityczni. Mój Ojciec, wówczas dwudziestojednoletni, zgłosił się do pracy w kopalni, licząc na skrócenie kary. Pracował „na przodku”, czyli – jak opowiadał z przejęciem mnie, już dorosłej – „moja stopa stawała w miejscu, gdzie jeszcze nigdy nie było żadnego człowieka”. Upoetyczniał w ten sposób ten straszny czas i piekielny znój dwunastogodzinnego dnia pracy – półnago (głęboko pod ziemią

panuje ponad czterdziestostopniowa temperatura), na kolanach lub czołgając się na czworakach na froncie wyrobiska. To właśnie był ten czas, dwa i pół roku, o którym 60 lat później, uczczony doktoratem *honoris causa*, powie, że „smakował śląszczynę jako górnik”.

\*

Z tych więziennych, w sumie trzech i pół lat zachowała się paczuszka listów związanych zwykłym sznurkiem. To głównie korespondencja więźnia z matką. Większość skreślona ołówkiem na niewielkich skrawkach papieru. Z tego, co pisał, wynika, że liczba wysyłanych listów była reglamentowana do dwóch w miesiącu. Co charakterystyczne, mimo swej zwięzłości, mimo powtarzalności zwrotu „nie martwcie się o mnie”, młody więzień starał się rozbawić adresatkę. Już w pierwszym liście do matki pisanim z Montelupich 15 lutego 1952 (cztery miesiące po aresztowaniu) napisał: „Dziękuję ci za paczkę z ciepłymi ineksprymablami, które od dwóch tygodni ogrzewają mi wspaniale niepolityczne części ciała. Zasiłam najserdeczniejsze całusy (ale oczywiście nie w niepolityczne części ciała)”.

Po wyroku (dostał sześć lat) przeniesiono go do Wiśnicza, skąd pisał: „Wiśnicz to zaiste uroczy zakątek ziemi krakowskiej. Ocenisz sama, jak przyjedziesz do mnie na widzenie. Czuję się oczywiście doskonale i z każdym dniem lepiej, a dziś to już tak dobrze jak pojutrze”.

Ale na przykład tuż przed Gwiazdką 1953 roku nie umiał ukryć smutku: „Tak bardzo mi było Mamuśko przykro na ostatnim widzeniu przy rozstaniu, że niewiele brakowało, a sam bym się rozpłakał”. Widocznie jednak zorientował się, że matka czytając te słowa, się zmartwi, więc dodał: „Chryпка przeszła mi prawie zupełnie, a to, co pozostało, dodaje tylko męskości brzmieniu mego głosu. (...) Proszę bardzo i zaklinam na wszystko, byś czasem nie zechciała odwiedzać mnie w czasie świąt. (...) Wierzę, że mnie posłuchasz i upieczesz na święta jak dawniej pyszne ciasto ze wspaniałym zakalcem”.

Listy do ukochanej Krystyny, która po odzyskaniu wolności została jego żoną i moją mamą, się nie zachowały. Ale z lektury jej listów można się zorientować, że wobec niej pozwalał sobie na większą szczerość, na nieukrywanie cierpienia i zwątpienia.

„1 IX 1952. Najmilszy, kochany! Mylicie się, Ty i Dante. Nie masz miłszego smutku jak przypominanie sobie chwili szczęśliwych w nieszczęściu. Pomyśl tylko! Dla mnie dzisiaj i teraz, zawsze, wszystko jest złym smutkiem i oczekiwaniem. Staję jakoś tak obok mijających dni i patrzę, jak wszystko, wszystko *Panta rei*. To wydaje się może na pozór niezgodne z zasadami dialektyki, ale przecież w Krakowie, na Szewskiej wisi już od kilkudziesięciu dni zepsuty zegar i też patrzy na ruch i sam nie idzie, a na pewno zostanie naprawiony. Będzie wtedy już później niż 10.45 tego dnia, kiedy stanął. (...) Chciałabym, żebyś uwierzył, że za-

wsze jest najlepiej tak, jak jest, i że nie ma słodszego smutku od przypominania sobie chwil szczęśliwych. Niedługo już rocznica naszego rozstania. Ile ich jeszcze będzie? Chciałabym, żebyś nauczył się patrzeć na wszystko tak, jak stojący zegar, i pomyślał właśnie tak, a nie inaczej: jak ten czas leci, jak leci!”

Kiedy Tatę wreszcie wypuszczono z więzienia, nie pozwolono mu pójść na studia. Wróg

się pobrali), pisał do Mamy: „Bytom, 13.10.55, Ukochanie Moje Złotowłose! (...) Podobno człowiek chory nigdy nie potrafi całkiem uwierzyć w nieodwracalność swojej śmierci. Z rozpaczliwą nadzieją tonącego chwytta się najdrobniejszych ździebełek ratunkowych szans. Ja też dziś jeszcze nie mogę uwierzyć w tę swoją dwuletnią śmierć”.

Na szczęście udało się go wyreklamować,



Walery i Krystyna Pisarkowie, zdjęcie ślubne, 1955

sojalistycznego społeczeństwa dostał powołanie do wojska. Ale Tata powiedział, że on już nie znieśnie drylu, tym razem wojskowego. Umówili się z Mamą, że ona... utnie mu kciuk drzwiami wagonu, do którego będzie wsiadał. Niby niechcący. Przed odjazdem pociągu poszli (rano!) na wódkę do baru Smok na dworcu. Mama wypła setkę na odwagę. Niestety, grzmotnęła w Taty kciuk zbyt słabo, skaleczyła go tylko. Tata pojechał do wojska. Z dworca wysłał liścik do niefortunnej „egzekutorki”: „Ukochana! Trudno kogokolwiek winić. Stało się. Jedziemy prawdopodobnie do Warszawy. Miła! Daruj, choć to nie moja wina. Nie mogę ani słowa. Gorycz. Łzy. Wal. (na dworcu)”.

Ale rekruci nie jechali do Warszawy. Niezszczęsny „Wal.” wrócił na Śląsk, do kopalni Bobrek w Bytomiu. Tydzień po przybyciu tam, a w drugą miesięcznicę ślubu (bo w sierpniu

tak że nie po dwóch latach, lecz po dwóch miesiącach mógł wrócić do Krakowa, aby kontynuować studia.

\*

Pobyty więzienne zahartowały mojego Ojca. Do końca życia był twardzielem, potrafił znieść dojmujący ból, pokonać własną słabość, wyprzeć cierpienie. Jednocześnie wzruszał się „po niewieściemu” nad książką, a nawet melodramatycznym filmem. Do legendy rodzinnej weszła historia o tym, że mama uległa jego zalotom po tym, gdy zobaczyła go płaczącego w bibliotece nad *Beatrice Cenci* Juliusza Słowackiego. Wiele lat później byłem świadkiem następującej sceny: Tata wychodzi z kuchni, gdzie właśnie gotował obiad, oglądając przy tym ulubiony, wielokrotnie widziany przedwojenny film *Miłość ci wszystko wybaczy*. Twarz ma mokrą od łez. – Co się stało? – pyta-



Walery Pisarek z córką Dorotą w Posejnelach

my z mamą. A Ojciec na to: – Niestety, tak jak się obawiałem. Znowu się źle skończyło.

\*

Mój Tata wychował się w rodzinie, w której wszyscy mężczyźni – pradiadkowie, dziadek, brat matki, ojciec – walczyli o wolność, siedzieli w więzieniach, tracili życie podczas powstań, wojen, w zamachach, jako więźniowie polityczni. Miał silne poczucie, że należy być przyzwoitym, niezłomnie wiernym ideałom (nawet za cenę wieloletniej odsiadki i poświęcenia życia). Charakteryzowała go ponadto rycerskość, wewnętrzny nakaz stawiania w obronie słabych i pokrzywdzonych. Od zawsze, od dzieciństwa, ale także jako dojrzała kobieta byłam przekonana, że mój Tata potrafi wszystko i wie wszystko. Chwaliłam się dzieciom na podwórku: „a mój Tata jest taki duży jak to drzewo”, i rzeczywiście tak go zawsze widziałam: jako kogoś, w kim mogę zawsze znaleźć oparcie, schronić przed przeciwnościami losu, kto mnie obroni.

Miałam wtedy chyba siedem, może osiem lat, Tata – niewiele ponad trzydzieści. Byliśmy na zakupach, przy czym Tata wszedł do sklepu sam, pewnie chciał mi oszczędzić kolejkowego tłoku. Czekałam więc na niego na zewnątrz, pogrążona w myśleniu o niebieskich migdałkach, kilkuletnia grzeczna dziewczynka z ko-

kardą we włosach i w jasnym płaszczku. Nagle podszedł do mnie wyrostek i napluł mi na buzię i płaszczyk. Tata wyszedł ze sklepu moment później, tak że mogłam mu, zapłakana, pokazać najpierw plwocinę, a potem oddalającego się szybko sprawcę. Tata rzucił się za nim w pościg. Ja ledwie nadążając, biegłam na skos przez trawnik, żeby widzieć, co się dalej stanie. Dystans między uciekającym a Tatą zmniejszył się. Chłopak, widząc to, wspiął się na dach pobliskiego niewysokiego, ale dość długiego budynku gospodarczego. A mój Tata? Bez chwili wahania wskoczył za nim! Oczywiście, że go schwytał. Minęło od tej pory kilkadziesiąt lat, a ja nadal widzę ten obrazek przed oczami, jak biegną obaj po tym płaskim dachu, jak Ojciec go dopada, łapie za kołnierz, sprowadza do mnie i mówi tylko trzy słowa: „Wytrzymaj, klękaj, przeproś!”. Ilekroć przechodziliśmy potem tamtędy, przez dziesięciolecia, powtarzałam sakramentalne: „Tatusiu, a pamiętasz jak goniłeś tego niedobrego chłopaka tu po tym dachu?”. I patrzyliśmy sobie w oczy porozumiewawczo, a Taty łobuzerski uśmiech znaczył: „Córeczko, ja i dziś bym pogonił każdego, kto ośmieliłby się ciebie skrzywdzić”.

Ta postawa szlachetnej usłużności uratowała kiedyś Ojcu życie: 2 kwietnia 1969 roku miał wrócić po konferencji naukowej w War-

szawie samolotem, który rozbił się pod Zawoją. Przeżył, ponieważ odstąpił bilet swojej dyrektorce Irenie Tetelowskiej, która spieszyła się do Krakowa, do pozostawionego samotnie w domu psa. Tata – dżentelmen był więc zmuszony wrócić nocnym pociągiem (to nie były czasy komórek i jeżdżących na tej trasie co godzinę pociągów). Irena Tetelowska obiecała, że przybywszy do Krakowa, zawiadomi mamę o jego szlachetnym goście i wynikającym z tego późniejszym powrocie. W nocy obudził mnie szloch mamy i babci, które w radiu usłyszały tę straszną wiadomość: wszyscy zginęli. Kiedy nazajutrz o świcie tata wszedł do mieszkania, nie mógł zrozumieć, dlaczego witają go trzy płaczki: moja mama, babcia i ja. Nie wiedział o tragedii, która wydarzyła się kilkanaście godzin wcześniej.

Jego dobroć, umiejętność wsłuchania się w problemy i wątpliwości dosłownie każdego, kto się do niego zgłosił, były niezwykle. Obarczony wieloma odpowiedzialnymi obowiązkami zawodowymi umiał poświęcać czas na sprawy drobne. Odpisywał na maile utytułowanych profesorów i przyjaciół z taką samą sumiennością jak na listy nieznanym mu osób, które dopytywały, jak wymawiać, jak odmieniać i czy miała rację nauczycielka, która postawiła dwóję, bo... Chichotał dobroduszenie i wybacząco, poprawiając dyktanda studentów, a wśród nich takie kwiatki jak „Słowacki z Razu pojechał do Łądynu”. Zżymał się na niechlujność polszczyzny dziennikarzy i polityków. Zdarzało mu się pisać do producentów w sprawie niepoprawnych nazw produktów (na przykład „Połec polska“, w którym nadający tę nazwę w oczywisty pomysł pomylili ten połec z tą połacią). Krzewienie pięknej polszczyzny, dbanie o nią uważał za swoją życiową misję. Z powagą udzielił wywiadu dziennikarce „Gazety Krakowskiej” zatytułowanego *Z kim by się nie ożenił profesor Walery Pisarek*, wytykając dziesięć rażących i niestety popularnych błędów (pierwsza trójka to „wziąć”, „rok dwutysięczny dwudziesty”, „biorę się za robotę”). Obok pracy badawczo-naukowej publikował kolejne pozycje: podręczniki (między innymi *Retorykę dziennikarską*, na której od dziesięcioleci uczą się skutecznie i poprawnie pisać przyszli dziennikarze), i słowniki ortograficzne, wśród nich wydanie kieszonkowe, w przedmowie do którego napisał przed laty, że „jego rozmiary pozwalają na to, by się znalazł na stałe w kieszeni inżyniera, technika i dziennikarza, w torebce sekretarki, w teczce inspektora i w raportówce milicjanta” (w kolejnych wydaniach, po 1989 roku, milicjanta zastąpił policjant). Pisał książki popularnonaukowe (wśród nich *Słowa między ludźmi*). Dał się namówić Krystynie Bochenek na współtworzenie Ogólnopolskiego Dyktanda właśnie po to, żebyśmy mówili oraz pisali poprawnie i pięknie.

Tata lubił przekorę, wiedział, że prowokując, zmusza rozmówcę do zmiany perspek-

Jego patriotyzm wyrażał się w miłości do języka. Uczył, że powinniśmy pielęgnować nasze słownictwo, ale i regionalizmy, bo one sprawiają, że język się mieni odcieniami, że polszczyzna żyje. Dlatego powinniśmy mówić starannie, bogato, pięknie.

tywy, do uważniejszego spojrzenia. Dlatego przywołaną tu książkę *Słowa między ludźmi*, przeznaczoną dla wszystkich, którzy chcą przekonująco, mądrze, poprawnie mówić, zaczął od pochwały milczenia: „Naukę skutecznego używania języka należy rozpocząć od nauki milczenia. Kto się nie nauczył milczeć, nie powinien w ogóle zabierać głosu, bo prędzej czy później napyta biedy sobie albo innym”.

\*

Jego patriotyzm wyrażał się w miłości do języka. Jadąc autem, siedząc nad wodą, spacerując, recytował wiersze: romantyczne ballady, wiersze Gałczyńskiego, Tuwima recytował ze swadą, z przejęciem, wypowiadając frazy z taką atencją, jakby rozkoszował się smakowitymi kaskami. Pouczał mnie, ale pewnie to samo powtarzał swoim studentom, że tekst polskiego hymnu pochodzi z czasów zaborów, kiedy nasza ojczyzna istniała tylko w języku, więc „jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, oznacza po prostu, że jak długo mówimy po polsku, tak długo istnieje nasza ojczyzna. Dlatego właśnie powinniśmy pielęgnować nasze słownictwo, ale i regionalizmy, bo one sprawiają, że język się mieni odcieniami, że polszczyzna żyje. Dlatego powinniśmy mówić starannie. Bezbłędnie. Bogato. Pięknie.

\*

Pięć miesięcy po śmierci przyszedł do mnie we śnie. Przyszedł, spełniając moje życzenie, że bym mogła się z Nim pożegnać. Wiedzieliśmy oboje, że przyszedł na jeden dzień tylko, że jutro umrze. Staliśmy w kuchni w Jego mieszkaniu, bardzo blisko siebie, i patrzyliśmy razem przez okno. Byłam szczęśliwa. Trzymałam go za rękę, głaszcząc ją opuszkami palców. Powiedziałam: „Masz taką szorstką skórę, to od mrozu, posmaruję Ci dłonie kremem do rąk”. Popatrzył na mnie z rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć, że na ten jeden, ostatni dzień życia to nie warto. Obudziłam się.



**Dorota Krzywicka-Kaindel** – krakowianka z pochodzenia, muzykolog i pianistka z wykształcenia, krytyk teatralny, menedżer muzyki klasycznej, nauczyciel fortepianu. W Krakowie pisała między innymi do „Studenta” i „Echa Krakowa”, w Monachium do Radia Wolna Europa i „Teatru”, a w Wiedniu – do „Didaskaliów” i „Ruchu Muzycznego”. Kocha wszystkie koty i niektórych ludzi.

# PORTRETY 2021

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Dopiero co za nami nagrody PORTRETY za rok 2020, a tu już wydawcy zasypują nas doskonałymi książkami, wymarzonymi do PORTRETÓW 2021...**

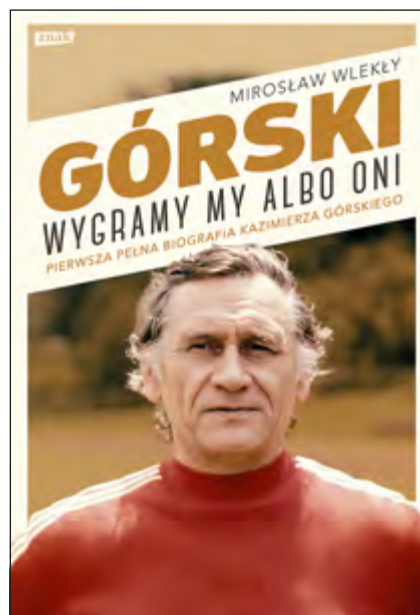
To pod jego wodzą polska drużyna zdobyła w 1972 roku złoto na igrzyskach olimpijskich w Monachium, a dwa lata później zajęła trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Prowadził ją też podczas najbardziej zapewne emocjonujących w dziejach polskiego futbolu meczów na Wembley z Anglią i z RFN w półfinale mundialu. Niektórzy komentatorzy uznawali go wtedy za najlepszego trenera świata.

Jego życie to jednak również nieznaną dotąd historia gry w piłkę w drużynach okupowanego przez Sowiec, a potem Niemców Lwowa (nie chciał o tym rozmawiać – powie tylko „graliśmy, żeby przeżyć”), zaś podczas kariery trenerskiej dziś wyglądające prozaicznie, a wtedy, w czasach PRL-owskiej gospodarki niedoboru, niebotyczne niekiedy problemy z zapewnieniem piłkarzom dobrych butów czy wywalczeniem dla swo-

ich „Orłów” stosownych do sukcesów premii. Nie mówiąc o nieuniknionych kontaktach z władzami partii (symbolem wielki bankiet z I sekretarzem Gierkiem w pałacu w Jabłonnie po powrocie z mundialu latem 1974 roku).

Co najważniejsze – miał niebawym talent do odkrywania zdolnych piłkarzy. To on przecież zwrócił uwagę na Grzegorza Latę i Jana Tomaszewskiego (dał także szansę debiutu w kadrze Zbigniewowi Bońkowi, ale pod wpływem Kazimierzy Deyny i innych starszych zawodników nie zabrał go na igrzyska w Montrealu). Wyróżniało go podejście do samej gry, czego symbolem była zasada: „Im dłużej my przy piłce, tym krócej oni”.

Opowieść o Kazimierzu Górskim to historia polskiej piłki i jej kulisy chlubne i mniej chwalebne. Mirosław Wleki opowiada je ze swadą i znajomością tematu.



Mirosław Wleki, *Górski. Wygramy my albo oni*, Znak, Kraków 2021.

Czy Żyd, który nie wierzy w żydowskiego Boga, bo jest ateistą i komunistą, ale przez całe życie walczy, by Żydzi przetrwali, a w końcu sam osiada w Izraelu i tam umiera, jest dobrym Żydem? (Przypadek Hersza Smolara, przywódcy oporu w getcie w Mińsku, a potem jednego z liderów żydowskiej społeczności w komunistycznej Polsce).

Czy Żyd, który jest liberałem i obywatelem Europy, a za swą ojczyznę uznaje Polskę, choć nigdy nie wyrzekł się swojego pochodzenia, jest dobrym Żydem? (Przypadek Aleksandra Smolara, uczestnika wydarzeń Marca '68 w Warszawie, potem, na emigracji, ambasadora polskiej antykomunistycznej opozycji na Zachodzie, a i cenionego tam politologa, wreszcie, po 1989 roku, doradcy pierwszego niekomunistycznego rządu wolnej Polski i prezesa Fundacji Batorego).

Czy Żyd, który urodził się i wychował we Francji, a pracuje w różnych miejscach świata, i który w szkole zastanawiał się, czy nie zostać katolikiem, zaś jako dorosły ma wątpliwości, czy państwo Izrael zmierza w dobrym kierunku, stosując brutalne metody w konflikcie z Palestyńczykami i ulegając własnym prawicowym oraz religijnym ekstremistom, jest dobrym Żydem? (Przypadek Piotra Smolara, korespondenta dziennika „Le Monde”).

Piotr Smolar próbuje zrekonstruować motywacje i wybory dziadka Hersza i ojca Aleksandra. A także swoje. Efektem jest szkic portretu nie tylko ich, ale skomplikowanych losów pokaźnej grupy polskich Żydów.

Rabin Tamar Elad-Appelbaum mówi najmłodszemu ze Smolarów, że istotą żydowskości jest ciągły dylemat, co to znaczy być Żydem.



Piotr Smolar, *Zły Żyd*, Znak, Kraków 2021.



Edyta Dufaj, *Lungs* (z cyklu *Like a tree*), 2021



**Prof. nadzw. dr hab. med. Irena Walecka**, MBA, kieruje Kliniką Dermatologii CMKP w Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA w Warszawie. Jest specjalistką dermatologii i wenerologii, balneologii i medycyny fizykalnej, od 2011 roku pełni funkcję mazowieckiego konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie dermatologii i wenerologii. Jest również specjalistką w dziedzinie zdrowia publicznego.

Należy do wielu towarzystw naukowych, w tym Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego, European Academy of Dermatology and Venereology, American Academy of Dermatology. Jest wiceprezesem zarządu Polskiego Towarzystwa Lekarzy Medycyny Estetycznej. W 2019 roku głosami pacjentów otrzymała tytuł „Kobiety Medycyny”. Prywatnie uwielbia narciarstwo i żeglarstwo.



# Czytanie ze skóry

Rozmawiała Magdalena Oberc Zdjęcie: archiwum domowe prof. Ireny Waleckiej (za wiedzą i zgodą)

**Prof. Irena Walecka (Klinika Dermatologii CMKP w Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA w Warszawie): Wszystkie nowotwory skóry, jeśli zostaną wcześniej wykryte, są niemal w pełni wyleczalne.**

**Magdalena Oberc: Zbliżają się wakacje, pewnie wiele osób ma nadzieję na ustąpienie pandemii i cieszy się na myśl o plażowaniu. Tyle że promieniowanie słoneczne może być przyczyną nowotworów skóry. Czy czerniak jest wciąż groźny?**

Prof. Irena Walecka: W latach 1980–2010 nastąpił ponad trzykrotny wzrost zachorowalności na ten nowotwór. Obecnie co roku w Polsce wykrywa się około 3600 nowych przypadków. Jest to zdecydowanie najgroźniejszy z nowotworów skóry, a jego związek z ekspozycją na słońce jest niepodważalny. Coraz więcej mówi się o szkodliwych skutkach opalania zarówno słonecznego, jak i w solariach, są organizowane różnorodne akcje profilaktyczne, takie jak Melanoma Day. Lecz nowotwory skóry rozwijają się przez lata, skóra zapamiętuje wszystkie nasze poparzenia słoneczne, nawet te z dzieciństwa czy wczesnej młodości. Liczba chorych na czerniaka z roku na rok będzie prawdopodobnie wzrastać i dlatego tak ważna jest profilaktyka i popularyzacja wiedzy na temat tego groźnego nowotworu.

**... bo wcześniej wykryty jest właściwie wyleczalny?**

W Polsce ludzie nie mają zwyczaju oglądania swojej skóry, choć w ostatnich latach dzięki ogromnej pracy mediów wiele zmieniło się na lepsze. Pacjenci częściej przychodzą z wczesnym czerniakiem, ale zdarzają się także chorzy w zaawansowanym już stadium choroby i wtedy szansa na wyleczenie maleje. **Jaka zmiana na skórze powinna nas zaniepokoić i skłonić do wizyty u dermatologa?** Jeżeli chodzi o czerniaka, to możemy je podzielić na trzy grupy. Pierwsza to zmiany pojawiające się „de novo”. Każda nowa zmiana skórna, nawet jeśli jest mała, ale intensywnie czarna, powinna nas skłonić do wizyty

u dermatologa. Druga grupa zmian to znamiona barwnikowe, które nagle zaczynają rosnąć, zmieniać kolor, kształt – to też powinno nas zaniepokoić. Trzecia grupa to zna-

**Czerniak – nowotwór złośliwy skóry.**

Pojawia się w melanocytach – komórkach wytwarzających barwnik. Powstaje na skutek przemiany komórek fizjologicznych w komórki nowotworowe pod wpływem intensywnej ekspozycji na promieniowanie ultrafioletowe (np. słońce, solarium). W Polsce czerniaki występują względnie rzadko: zapada na nie 5 na 100 tys. mieszkańców, co oznacza, że co roku wykrywa się czerniaka u około 3600 osób. Jednak wykrywany w zaawansowanym stadium ma złe rokowania. Często daje przerzuty do węzłów chłonnych, kości i płuc. Więcej na ten temat na stronie: [www.akademiaczerniaka.pl](http://www.akademiaczerniaka.pl)

miona olbrzymie, z którymi czasami rodzą się dzieci. Zajmują one duży obszar pleców, brzucha czy kończyn i rosną wraz z dzieckiem, stale się powiększając. Kiedyś zalecało się, by takie zmiany u dzieci w całości wyciąć i przeszczepić w to miejsce skórę z innych okolic, co nie zawsze dawało pożądany efekt estetyczny i czasami kończyło się oszpeceniem dziecka, ograniczeniem ruchomości, przykurczami i niepełnosprawnością.

Dziś tego typu znamiona regularnie badamy w wideodermatoskopii i mikroskopii konfokalnej, monitorujemy i dopiero gdy zauważymy ich niekorzystną ewolucję, decydujemy się na interwencję chirurgiczną.

#### **Wystarczy takie znamię zabezpieczać przed słońcem kremami z wysokim filtrem?**

Znamiona należy zabezpieczać przede wszystkim, ale generalnie powinniśmy całą naszą skórę chronić kremami z filtrem. Należy do rasy kaukaskiej, o jasnych fenotypach, a zatem jesteśmy bardziej narażeni na szkodliwe promieniowanie UV. Oznacza to, że zarówno promieniowanie słoneczne, jak i opalanie w solarium może mieć dla naszej skóry dramatyczne skutki. Najbardziej

**Ze skóry możemy bardzo wiele wyczytać: wiek, tryb życia pacjenta, niedobory witamin, nikotynizm, choroby metaboliczne czy nowotworowe. Dobry dermatolog patrzy na pacjenta kompleksowo i holistycznie, a nie tylko na mały wycinek skóry.**

narażone na czerniaka są osoby długo przebywające na słońcu: marynarze, budowlańcy, sportowcy. Ale narażają się też osoby, które wykonują pracę biurową, mają jasną skórę i decydują się na urlop w ciepłych krajach, gdzie opalają się bez żadnych filtrów. Takie intensywne kąpiele słoneczne również podnoszą ryzyko zachorowania. Występowanie czerniaka jest również częściowo uwarunkowane genetycznie, więc jeśli u kogoś w rodzinie zdiagnozowano czerniaka, należy bezwzględnie pamiętać nie tylko o profilaktyce UV, ale także o regularnych kontrolach u dermatologa.

**Ale z drugiej strony opalając się, dostarczamy organizmowi witaminę D3, która jest ważna dla układu odpornościowego. Pojawili się doniesienia, że stosując kremy z wysokim faktorem ochronnym, blokujemy proces wytwarzania witaminy D3, więc może jednak nie powinniśmy się bać opalania?**

Używając na ciało kremu z faktorem 30, a na twarz z faktorem 50 nie zahamujemy zupełnie procesu opalania i tym samym produkcji witaminy D3. Zawsze trochę tej opalenizny

„złapiemy”, a ochronimy się przed oparzeniem słonecznym. W naszej szerokości geograficznej populacyjnie mamy niedobory witaminy D3. Jeśli w badaniu potwierdzi się, że mamy obniżony poziom witaminy D3, powinniśmy przyjmować suplementację. Więc jeśli pani pyta, czy lepiej sobie wyhodować nowotwór czy stosować suplementację witaminy D3, to odpowiedź jest oczywista...

#### **Czy diagnostyka nowotworów skóry jest trudna?**

My, dermatolodzy mamy to szczęście, że nowotwory skóry widać, więc łatwiej nam je wykryć. Hepatolog czy gastrolog musi zlecić wiele badań, by znaleźć rozwijający się nowotwór narządów wewnętrznych – wątroby czy trzustki. W naszej specjalności doświadczony lekarz szybko zauważy zmianę nowotworową. Po 50. roku życia warto co dwa-trzy lata zgłaszać się do dermatologa, który dokładnie obejrzy ciało i za pomocą dermatoskopu zupełnie nieinwazyjnie zbada wszystkie zmiany barwnikowe. W takim badaniu możemy niemal bezbłędnie wykryć zarówno raki (na przykład raka podstawnokomórkowego czy kolczystokomórkowego) będące najczęstszymi nowotworami skóry, jak i czerniaka. Jeśli zmiana występuje na wardze czy powiece, to niestety jej operacyjne usunięcie często wiąże się z okaleczeniem pacjenta i defektem estetycznym. Jednak to czerniak jest najbardziej niebezpiecznym nowotworem, bo dotyka ludzi względnie młodych i ma największą dynamikę wzrostu zachorowań. Czerniak może też występować w miejscach trudno dostępnych: na sromie, owłosionej skórze głowy, błonach śluzowych jamy ustnej czy pod płytką paznokciową i długo rozwijać się niezauważony.

**Trzy lata temu media obiegrała historia modelki, która miała czerniaka umiejscowionego właśnie pod płytką paznokcia. Uznała, że chorobę wywołało regularne wykonywanie manicure hybrydowego, a dokładnie używanie lamp UV do utwardzania lakieru. Czy są jakieś badania naukowe potwierdzające taką zależność?**

Żadna praca oparta na *evidence-based medicine* (EBM) nie potwierdziła jednoznacznie wpływu lampy UV na wzrost zachorowalności na czerniaka. Liczba kobiet wykonujących manicure hybrydowy na całym świecie jest ogromna, a liczba przypadków czerniaka umiejscowionego pod paznokciem jest od lat

na podobnym poziomie. Jednak obecnie odchodzi się od lamp UV i większość salonów kosmetycznych stosuje do utwardzania lakieru lampy LED.

**Dzisiaj dermatologia kojarzy się bardziej z medycyną estetyczną i poprawianiem różnych niedoskonałości urody. Ale przecież historycznie patrząc, ma swoje źródła w wenerologii. Choroby weneryczne stanowiły kiedyś spory problem społeczny. Jak to wygląda dzisiaj?**

Oczywiście nadal występują rzeżączka, kiła czy chlamydia, ale z chorób przenoszonych drogą płciową większym problemem jest dziś HIV. W każdym województwie jest przynajmniej jeden ośrodek wiodący, który prowadzi leczenie pacjentów z chorobami wenerycznymi i wydaje się, że jest to rozwiązanie optymalne. Czuję wewnętrzną opór przed kojarzeniem dermatologii tylko z medycyną estetyczną i ostrzykiwaniem pacjentów botoksem czy podawaniem kwasów, chociaż w trakcie specjalizacji z dermatologii jako jedyni – poza chirurgami plastycznymi – mamy kursy z dermatologii estetycznej i faktycznie merytorycznie jesteśmy najlepiej do tego przygotowani.

**Z czym zatem zgłaszają się do pani pacjenci?**

Są to przede wszystkim pacjenci z przewlekłymi dermatozami – łuszczycą, atopowym zapaleniem skóry (AZS) czy z HS (*hidradenitis suppurativa*). HS to ciężka choroba dermatologiczna – charakteryzuje się bolesnymi, głęboko umiejscowionymi zmianami zapalnymi w okolicach zawierających apokrynowe gruczoły potowe, najczęstsza lokalizacja to pachy, pachwiny, okolica anogenitalna, pośladki. Jest to choroba bardzo przykra dla pacjenta i niezwykle stygmatyzująca. Zazwyczaj zaczyna się w młodym wieku, u osób 20–30 letnich, ale zanim zostanie postawiona prawidłowa diagnoza, mija czasami wiele lat, a zmiany się rozwijają. Dlatego kiedy trafia do mnie załamany pacjent, przede wszystkim potrzebuje rozmowy, zrozumienia, szybkiej diagnozy, a potem skutecznego leczenia.

**Czy problemy dermatologiczne mają wpływ na psychikę pacjentów?**

Niestety, choroby dermatologiczne widać i widzi je nie tylko lekarz, ale także otoczenie chorego. Jest to często przyczyną wstydu i wielu problemów społecznych. Obecnie prędko rozwija się nowa dziedzina: psycho-

dermatologia, badająca między innymi wpływ stresu na zaostrzenie chorób skórnych. Moi pacjenci z powodu choroby często czują się wykluczeni i napiętnowani, wielokrotnie po latach rozczarowań popadają w depresję albo uzależnienia. Dobry lekarz musi więc być także trochę psychologiem. Pierwsze wizyty są trudne, bo pacjent często już nie wierzy, że ktoś może mu pomóc, ale zwykle przeradzają się w solidną, trwałą relację, na której można opierać skuteczne leczenie.

**Początki dermatologii nierozdzielnie łączą się z leczeniem chorób wenerycznych.**

Syfilis leczono w Krakowie już w XVI wieku w szpitalu św. Ducha, jednak dopiero połowie XIX wieku powstał tam pierwszy oddział dermatologiczno-wenerologiczny. W 1871 roku dzięki staraniom

prof. Antoniego Rosnera utworzono w Krakowie klinikę „chorób syfilitycznych i naskórnych”. Wówczas zmiany skórne syfilityków leczono głównie rtęcią, co przynosiło więcej szkody niż pożytku.

Dopiero wynalezienie przez Fleminga penicyliny w 1928 roku stało się prawdziwym przełomem w leczeniu tej uciążliwej choroby.

**Angażuje się Pani w kampanie społeczne propagujące wiedzę o chorobach dermatologicznych, takie jak „Czysta sytuacja” lub „Dzień bez kamuflażu”. Dlaczego to jest tak ważne?**

Cieszę się, że organizacje zrzeszające pacjentów z łuszczycą i nie tylko zapraszają mnie do akcji medialnych. Lato jest szczególnie trudnym okresem dla naszych pacjentów, bo kiedy jest ciepło, nie da się już wszyskciego ukryć pod ubraniem. Ważne, by uświadamić społeczeństwu, że łuszczycą nie jest chorobą zakaźną i nie trzeba się jej bać. Z drugiej strony staramy się dotrzeć do pacjentów z informacją, że łuszczycę można skutecznie leczyć. W Polsce od kilkunastu lat stosujemy

leczenie biologiczne, które daje dobre efekty. Dzisiejsza dermatologia nie jest już tak bezradna jak 20-30 lat temu. Kiedy zaczynałam swoją specjalizację, obecność oddziału dermatologicznego w szpitalu można było rozpoznać po charakterystycznym zapachu dziegciu, na półkach stały wielkie słoje z maściami, a hospitalizacja trwała kilka tygodni. W tej chwili mamy nie tylko nowoczesne narzędzia diagnostyczne – wideodermoskopy czy mikroskopy konfokalne do diagnostyki nowotworów, ale także dysponujemy gamą nowoczesnych, skutecznych leków. Dziś zarówno diagnostyka, jak i leczenie wyglądają zupełnie inaczej.

**Czy to znaczy, że coraz łatwiej można wyleczyć pacjentów z chorób dermatologicznych?**

Nie wszystkie choroby można wyleczyć, ale chorobę można skutecznie kontrolować. Proszę pamiętać, że mamy do czynienia ze specyficzną grupą pacjentów z przewlekłymi dermatozami, którzy nie zawsze stosują się do zaleceń, zwykle mają gorszą kondycję psychiczną i czasami po prostu są już zniechęceni i nie chcą współpracować. Ale staram się ich przekonać, że muszą rzucić palenie, alkohol, zmienić tryb życia, stosować zalecane terapie. Mam pacjenta, którego leczę już wiele lat. Trafił do mnie jako nastolatek, miał nadwagę, często sięgał po alkohol, był negatywnie nastawiony do wszystkiego, w tym do leczenia. Powoli udało mi się zdobyć jego zaufanie, okazało się, że terapia przynosi efekty, zmiany skórne były coraz mniej widoczne, a chłopak odzyskał pewność siebie i radość życia. Dziś jest wysportowanym, silnym mężczyzną, biega w maratonach, niedawno zdał maturę i myśli o tym, by zostać dziennikarzem i pisać o zdrowiu. Byłam świadkiem wielu takich przemian i to daje mi ogromną satysfakcję oraz siłę do dalszego działania.

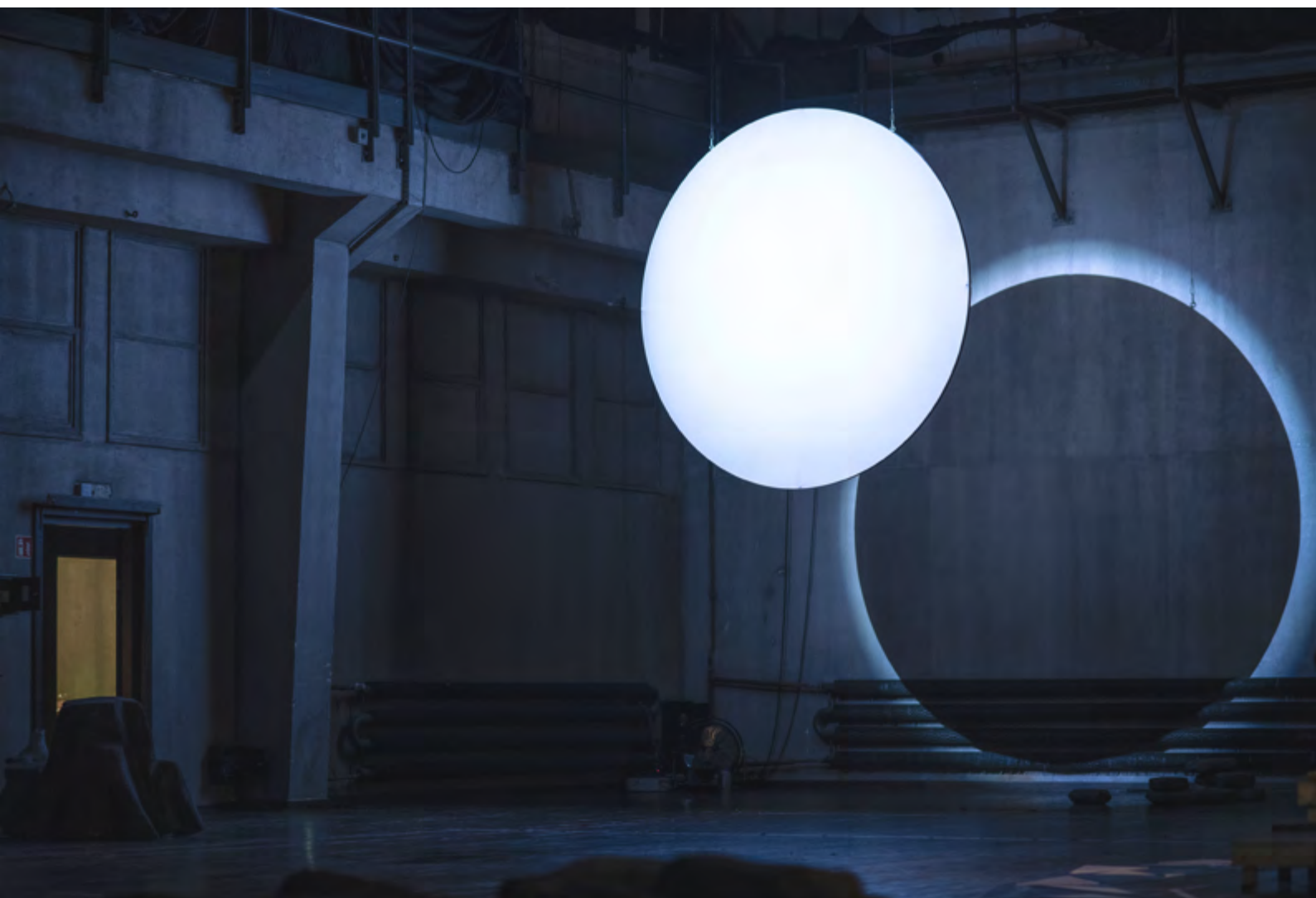
**Leczenie przewlekłych schorzeń dermatologicznych jest procesem żmudnym, skomplikowanym i niekiedy zniechęcającym. Dlaczego wybrała Pani akurat dermatologię?**

Pochodzę z rodziny lekarskiej: moja mama była chirurgiem dziecięcym, ojciec radiologiem, brat radiologiem, a cała pozostała rodzina to prawie sami medycy. Czasem żartowaliśmy, że gdybyśmy się wszyscy zebrali, to moglibyśmy otworzyć szpital wieloprofilowy. To w zasadzie zdeterminowało wybór mojego zawodu. W szkole średniej myśla-

łam o ginekologii, ale ojciec odradzał mi tę specjalizację; mówił: „Będziesz wykończona po ciężkim dyżurze, niewyspana, podporządkowana reżimowi pracy na oddziale zabiegowym – to nie dla kobiety, która uwielbia życie”. Podczas stażu na różnych oddziałach, przekonałam się, że miał rację. Dermatologia okazała się dużo bardziej „kobieca”, a na dodatek szalenie ciekawa. Zawsze byłam niezwykle aktywna – pewnie dzisiaj stwierdzono by u mnie ADHD, zawsze robiłam sto rzeczy na raz. Skończyłam specjalizację z dermatologii i wenerologii, ale to było za mało, więc przysłała mi do głowy balneologia i medycyna fizykalna oraz zdrowie publiczne. Dermatologia jest specjalizacją interdyscyplinarną, w Klinice ściśle współpracujemy ze specjalistami z innych dziedzin medycyny, przede wszystkim z reumatologią, alergologią, pediatrią, ale także transplantologią, i tworzymy zespoły interdyscyplinarne, wdramy nowe programy szkoleniowe oraz specjalne ścieżki diagnostyczne dla pacjentów po, na przykład, transplantacji nerek, trzustki czy serca w ramach diagnostyki zmian skórnych u pacjentów leczonych immunosupresją. Obecnie w ramach CMKP opracowujemy wspólnie z psychologami oraz stowarzyszeniem pacjentów program „Psychodermatologia dla psychologów”. Mamy nadzieję, że absolwenci będą skuteczniej wspierać naszych pacjentów z przewlekłymi dermatozami. Z całym środowiskiem dermatologów wyznaczamy sobie wciąż nowe cele, takie jak umożliwienie pacjentom szerszego dostępu do leczenia biologicznego – zarówno w przypadku pacjentów z AZS, jak i dzieci z ciężką łuszczycą. Dlatego jestem przekonana, że dermatologia jest fascynującą specjalizacją i nie mogłam w życiu wybrać lepiej.



**Magdalena Oberc** – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owicz, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Edyta Dufaj, *Vanda* Antonína Dvořáka w reżyserii Karoliny Sofulak, Festiwal Opera Rara, Teatr Łaźnia Nowa, Kraków 2020



# Siedząc na spróchniałym korzeniu

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: z archiwum prywatnego Edyty Dufaj

**Do Edyty Dufaj przyciągnęłam mnie jej jedna praca pokazywana w Muzeum Manggha. Teraz już wiem, że nawet potwornie samotne drzewo może być najpiękniejszą formą życia.**

Zmierzch. Chłodna linia monochromatycznego muru przecina kadr na pół. Ostre cięcie, geometryczne kształty, a na pierwszym planie drzewo i padające na nie przymglone światło jarzeniówki. Niepokój, samotność, której nie jest w stanie ukoić nieśmiało kielkująca natura. Dziwnych uczuć doznałam, kiedy zobaczyłam pracę Edyty Dufaj w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Przed zdjęciem z cyklu *Like a tree* zatrzymałam się, opuszczając już wystawę *Botaniczne poszukiwania*, przygotowaną przez Annę Król i Sylwii Peter. Oglądając niezwykłej urody ilustracje dawnych mistrzów, przedstawiające kwiaty, rośliny, ptaki, czułam się jakbym chodziła po łące, która dała mi ukojenie, spełnienie, harmonię. Nie pozwoliłam się wybić z tego nastroju nawet wtedy, gdy traślałam na dzieła współczesnych artystów, które dialogują ze swoimi poprzednikami. A tu nagle ta Dufaj i jej obraz.

Bo początkowo byłam przekonana, że to właśnie jest obraz, a nie zdjęcie. – Cieszę się, że tak o nim pomyślałaś. Moje fotografie mają korzenie w malarstwie. Kiedy chodziłam do Liceum Plastycznego w Krośnie, bardzo dużo malowałam – mówi Edyta, gdy siadamy na spróchniałym konarze drzewa w lasku, który jakimś cudem przetrwał w środku zabudowanego blokami i apartamentowcami Białego Prądnika. To odpowiednia sceneria do naszej rozmowy, która toczy się będzie wokół natury.

Edyta nie jest wojującą ekolożką. Ale stara się być odpowiedzialna w stosunku do środowiska, które nas otacza, co wyraźnie widać w jej pracach. Choć *Like a tree* powstało w 2012 roku, kiedy nie mówiło się jeszcze o ociepleniu klimatu, ona podskórnie czuła, że robimy krzywdę naszemu otoczeniu. – Jestem zła na ludzi, jestem zła na siebie za to, do czego doprowadziliśmy. Staram się jednak ograniczać pewne rzeczy, które mogą zatrzymać degradację środowiska. Nie jem mięsa, nie podróżuję samolotami, nie kupuję plastiku. Unikam nadmiaru, staram się posiadać jak najmniej rzeczy.

Ten minimalizm też widać w twórczości artystki. Czystość formy jest dla niej równie ważna jak nastrój, który oddają jej fotografie i światło, będące przecież kwintesencją dzieł malarskich. Edytę jednak nie tyle inspirują obrazy mistrzów pędzla, ile literatura. – Moje obecne myślenie ukształtowały książki Olgi Tokarczuk, jej wrażliwość w stosunku do świata. Ale to nie jest tak, że coś przeczytam i idę zrobić na ten temat zdjęcie. Literatura podświadomie tkwi w mojej głowie i przekłada się na moje obrazy.

Takie jak choćby te z cyklu *Stokrotki*. Ów tytuł z przymrużeniem oka odnosi się do całkiem poważ-

negu tematu, jaki podjęła w tej serii zdjęć. Większość kadru zajmuje tu nieskazitelna przestrzeń nieba, a z dołu, niczym polne kwiaty wyrastają fragmenty budynków, głowy latarni i dymiących kominów. Zastępują one drzewa, które zniknęły z zabudowanego przez człowieka otoczenia. Ale nie z kadrów Edyty, która zawsze będzie uważać je za najpiękniejszą formę życia. Nawet kiedy przybiorą kształt płuc, jak na pandemicznym, skąpanym we mgle i smogu zdjęciu *Lungs*.

Zanim ono powstało, musiało narodzić się w głowie Edyty. Należy ona do tego typu fotografek, które robią zdjęcie, kiedy uznają, że kadr jest właśnie taki, jaki ją interesuje. Nie ma w zwyczaju robić setek ujęć, by wybrać z nich najlepsze. Nawet wtedy, kiedy fotografuje wydarzenia kulturalne. Jej zdjęcia nie są w żaden sposób pozowane, ale i tak każde jest przemyślaną kompozycją, choć przecież wciska migawkę na gorąco w trakcie koncertów, przedstawień, spotkań... – Kiedy jestem zapraszana do pracy przy wydarzeniach kulturalnych, na początku zaznaczam, że nie będzie to czysta dokumentacja, a identyfikacja zdjęciowa. Proszę o zaufanie. Myślę, że to procentuje.

Zaufał jej Festiwal Kultury Żydowskiej, Krakowskie Biuro Festiwalowe, Capella Cracoviensis, Off Camera czy Fundacja Olgi Tokarczuk. Efekty tego możemy obejrzeć w limitowanym albumie zatytułowanym po prostu *Dufaj*, którego mecenasami są adwokat Marcin Imiołek i przedsiębiorca Wojciech Dobrzański. Widać w nim wyraźnie, na czym polega podejście Edyty do kultury. Rymuje mi się ono z jej czułym stosunkiem do samotnych drzew, stojących pod stworzonym przez człowieka murem. Można oglądać je w Muzeum Manggha niemal do końca sierpnia.

\*

Edyta Dufaj, rocznik w 1988. Jest absolwentką Wydziału Grafiki krakowskiej ASP. Dyplom uzyskała w Pracowni Fotografii I pod kierunkiem dr hab. Agaty Pankiewicz. Swoje prace prezentowała między innymi w Nowym Jorku, Lille, Monachium, Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Toruniu.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

## Odpowiada Edyta Dufaj

**Kim chciałaś zostać, gdy byłaś małą dziewczynką?**

Jeśli o tym myślałam, to zastanawiałam się jedynie, czy będę mogła wiązać swoją przyszłość tylko z zajęciami czy zawodami „kobiecyymi”.

**Kim chciałabyś być, gdybyś nie była tym, kim jesteś?**

Drzewem lub ptakiem.

**Jak się zachowujesz na widok idącego ulicą kominiarza?**

Uśmiecham się.

**Czy czarny kot przyniósł ci kiedyś pecha?**

Wolę psy, ale czarne koty są piękne.

**Jakie cechy najbardziej cenisz u mężczyzn? Jakie cechy najbardziej cenisz u kobiet?**

Czy te dwa pytania nie mogłyby zawierać się w jednym, dotyczącym po prostu człowieka? Taka jest moja odpowiedź.

**Jaki widzisz pejzaż, gdy zamykasz oczy?**

Pejzaż szumu lasu o zmierzchu.

**Czy istnieje podróż, którą chciałabyś powtórzyć?**

Można wybrać się w to samo miejsce, ale czy da się powtórzyć podróż? Nawet podróż w tę samą książkę jest zwykle inna.

**Czy jest kraj, do którego nigdy nie chciałabyś wrócić?**

Po co się uprzedzać?

**Jakie miejsce w Krakowie uważasz za swoje własne?**

Nie chciałabym uważać miejsc za swoją własność.

**Kiedy chcesz odpocząć po całym dniu, gdzie kierujesz pierwsze kroki?**

Do domu.

**Jak powinien wyglądać twój wieczór po ciężkim dniu?**

Wygląda właśnie tak, jak chcę, aby wyglądał, a nie jak powinien.

**Jakie dźwięki kochasz?**

Lasu. Ciszy. Muzyki.

**Jakich dźwięków nienawidzisz?**

Nie lubię hałasu maszyn i tych, które wytwarzamy wokół siebie jako ludzie. Człowiek jest bardzo głośny.

**Jeśli Niebo istnieje, co chciałabyś usłyszeć, docierając do jego bram?**

Chciałabym w ogóle coś usłyszeć i spotkać tam nas.

**Jeśli Piekło istnieje, kogo byś tam chciała spotkać?**

To zbyt trudne pytanie.

**Jak określiłabyś obecny stan swojego umysłu?**

Bardziej spokój niż chaos.



# Trzeba iść

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Fundacja Świat ma Sens



„Zbigniew Mikołajko ma umysł przekorny: jednocześnie kusi go diabeł i anioł, gotyk i barok, a może diabeł i anioł (jak i gotyk, i barok) są tą samą przemianą postacią Demona, który rozbija młotem czasu wszystko, co jest pozornie nam bliskie, tworząc z tego paskudne artefakty rzeczywistości pozbawione światła transcendencji. Panuje w nas i poza nami Noc niewiedzy, ciemnej materii i czarnej dziury” – pisze krytyk literacki Kazimierz Brakoniecki w posłowie do tego tomiku.

Nie będę ukrywał – w moim życiu profesor Mikołajko jest kimś wyjątkowym. Filozof i historyk religii, eseista (już pisywał na nasze zaproszenie do „Krakowa”), wykładowca akademicki, pasjonat powieści sensacyjnej, człowiek, który barwnie i od ręki potrafi oświetlić pytającemu człowiekowi najmroczniejsze zakamarki kultury. Jego dwutomowe dzieło *We władzy wisielca* (opis figury wisielca w kulturze Zachodu i „wiszenia” naszej egzystencji) to podstawa tekstów etnologicznych. *Żywoty świętych poprawione* to fundament wiedzy dla tych, którzy mierzą się z problematyką polskiej religijności. A są jeszcze jego fascynujące rozmowy z Dorotą Kowalską (*Jak błądzić skutecznie*) i eseje *Między zbawieniem a Smoleńskiem. Studia i szkice o katolicyzmie polskim ostatnich lat* czy *Prowincje ciemności*.

Nie miałem jednak najmniejszego pojęcia, że profesor i poeta jest. I to jakim!

Tomik ów niewielki (tylko pięć wierszy i książeczka niezwykle szlachetnie wydana) to rozpięcie między strachem doświadczonego człowieka doświadczonej cywilizacji Zachodu a brutalizmem codzienności. (Byłżeby to jeszcze jeden model owego modelu „wisielca”?).

Wydaje się, że smutek, smutek dominuje w tej poezji. Smutek, lęk, ból.

Błady księżyc odbija się w wodzie ciemnej i ciężkiej jak posoka pradawnych zwierząt.

Moja łódka ściga go niezdarnie i ciężko, bez skutku.

I nigdzie, nigdzie nie słyhać słowika,  
a tylko śmiertka swą pustkę odmyka,

a tylko ciemność przechodzi nade mną,  
a tylko drzewa snują piosenkę daremną.

Nie ma więc wybaczenia, nie ma zmiłowania,  
tu nad mroczną otchłanią, jakby bez dna.  
(*Inna północ*)

A przecież jednak zawsze gdzieś pojawia się nadzieja:

Więc nie ma co pamiętać,  
trzeba iść i iść,  
nie bacząc wcale, że robaki czynią swą znojną pracę  
i zwierzyzna wychodzi na żer, patrzy  
ognistym wzrokiem.

Tak, trzeba iść i iść,  
bo zaraz świt skrwawi niebo nad lasem, nad wodą.  
I mój cień pojawi się z nagłą na piasku jak zmora.  
(*Miasto nad wodami*)

Tak, czytając ten cichy tom, ma się wrażenie nie tyle wolnego przesuwania się za profesorem, w jego cieniu, ile wyprowadzania nas przez doświadczonego, mądrego i wrażliwego człowieka na jasną, zrozumiałą dla nas leśną polanę.

Polanę pełną słońca, choć wokół wilgoć, choroba i mrok...

Zbigniew Mikołajko, *Kwintet* (ilustracje: Marta Filipiak, posłowie: Kazimierz Brakoniecki), projekt wydawniczy: Łukasz Owczarzak, Fundacja Czarny Karzeł, Bydgoszcz 2019.

# Szlak Pendereckiego

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz oraz archiwum Filharmonii Krakowskiej

**Przed pięćdziesięcioma pięcioma laty pierwszy raz zabrzmiała *Pasja według św. Łukasza* Krzysztofa Pendereckiego. Przed pół wiekiem odbyło się prawykonanie *Jutrzni*. Pierwsze polskie prezentacje obu dzieł uważanych za szczytowe osiągnięcia twórcze wielkiego kompozytora odbyły się w Krakowie.**

Nie pomnę, kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z muzyką Krzysztofa Pendereckiego. Może to były *Emanacje*, może *Anaklasis*, a może *Tren*? Przed sześćdziesięcioma laty Andrzej Markowski, niestroniący od muzycznych nowinek ówczesny szef artystyczny Filharmonii Krakowskiej, z chęcią prezentował każdy nowy utwór młodego twórcy, który w 1959 roku spektakularnym potrójnym zwycięstwem w konkursie zorganizowanym dla młodych twórców przez Związek Kompozytorów Polskich zwrócił na siebie uwagę muzycznego świata. Dobrze jednak pamiętam moje zaskoczenie, jakie wywołała słuchana muzyka – kolorem, niecodziennym wykorzystywaniem możliwości instrumentów, sięganiem

najważniejsze. Wyraźne nawiązanie melodyczne do chorału gregoriańskiego, nowatorskie efekty brzmieniowe i odwieczny temat, wszystko to łączyło się w całość niesłychanie spójną i poruszającą. Józef Bok prowadzący krakowskie prawykonanie *Stabat Mater* musiał trzykrotnie powtarzać utwór, bo publiczność dosłownie oszalała. Usłyszała utwór na skroś współczesny, a jednocześnie zakorzeniony w tradycji, z bliską jej treścią, wyraźną konstrukcją i olbrzymią ekspresją. Kompozytor, który dotąd burzył to, co zastane, zbudował most wiążący nowatorstwo z wielowiekowym dorobkiem pokoleń.

Dziś, gdy z perspektywy czasu patrzy się na drogę twórczą Pendereckiego, taki zwrot ku przeszłości nie wydaje się niczym zaskakującym. Urodzony w 1933 roku w Dębicy, a siedemnaście lat później osiadły w Krakowie, z racji swego wychowania, wykształcenia i zainteresowań był człowiekiem mocno osadzonym w tradycji śródziemnomorskiej. Jego mentor i pedagog w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej Franciszek Skołyszewski ukazał mu możliwości twórcze, jakie niósł przez wieki kontrapunkt, linearne budowanie i słyszenie muzyki będące podstawą wielkich konstrukcji dramatycznych. To zakorzenienie w tradycji, które sam określił po latach „otwieraniem drzwi za sobą”, dostrzegalne jest po latach od niemal pierwszych jego utworów. Dość spojrzeć na teksty, jakie dobiegał do swych wczesnych kompozycji. Znajdziemy w nich i starotestamentowych proroków, i greckich filozofów, pierwszych europejskich dramatopisarzy i francuskich poetów. Te teksty nie docierały do słuchaczy bezpośrednio, były zmieszane, nieraz porożywane, ale były kompozytorowi potrzebne jako inspiracja. Bo Krzysztofa Pendereckiego zawsze interesowały tematy ważne i uniwersalne.

\*

Cztery lata później kompozytor włączył *Stabat Mater* do *Pasji według św. Łukasza*.

Przed pięćdziesięcioma pięcioma laty, 22 kwietnia 1966 roku, rozpoczynający *Pasję* okrzyk chóru *Crux! Ave, o crux!* chwycił za gardło publiczność wypełniającą szczerze salę Filharmonii Krakowskiej, wywołał dreszcz, a całość dzieła – wzruszenie i szok. A przecież wydawało się, że słuchacze wiedzą, czego mogą się spodziewać. Do Kra-

## Pendereckiego interesowały tematy ważne i uniwersalne.

granic możliwości ludzkiego ucha zarówno agresywnością, jak i delikatnością. To było coś zupełnie innego nie tylko od repertuaru, jaki co tydzień prezentowany był w filharmonicznej sali, ale i od twórczości innych polskich kompozytorów, zafascynowanych nowymi prądami estetycznymi i filozoficznymi płynącymi z Darmstadt i Donaueschingen, które nadawały wówczas ton w muzycznej Europie. Nikt z nich nie nasycił swych utworów takim ładunkiem ekspresji, nikt też chyba nie miał takiego wyczucia konstrukcji dramatycznej.

Muzyka Krzysztofa Pendereckiego od pierwszej chwili angażowała uwagę słuchacza, pociągała go za sobą, nie była jedynie intelektualną grą, ale przekazywała emocje. I choć niektórych oburzała, choć zdarzało się, że muzycy odmawiali wykonywania kompozycji Pendereckiego z troski o cenne instrumenty, to przecież krąg słuchaczy z każdym wykonaniem stawał się szerszy. Mimo swej nowoczesności ta muzyka przemawiała do odbiorców. Powiedzieć można – była o czymś.

\*

O czym? Wyraźną odpowiedzią na to pytanie była prezentacja w 1962 roku *Stabat Mater*. Pamiętam ją, jakby to było wczoraj. Chór Filharmonii Krakowskiej podzielony na trzy sekcje stał w różnych miejscach sali, dźwięk dosłownie otaczał słuchaczy, ale nie to było



Elżbieta i Krzysztof Pendereccy

**Krzysztof Penderecki** (urodził się 23 listopada 1933 roku w Dębicy, zmarł 29 marca 2020 roku w Krakowie) – jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów, dyrygent i pedagog muzyczny, profesor i rektor Akademii Muzycznej w Krakowie.

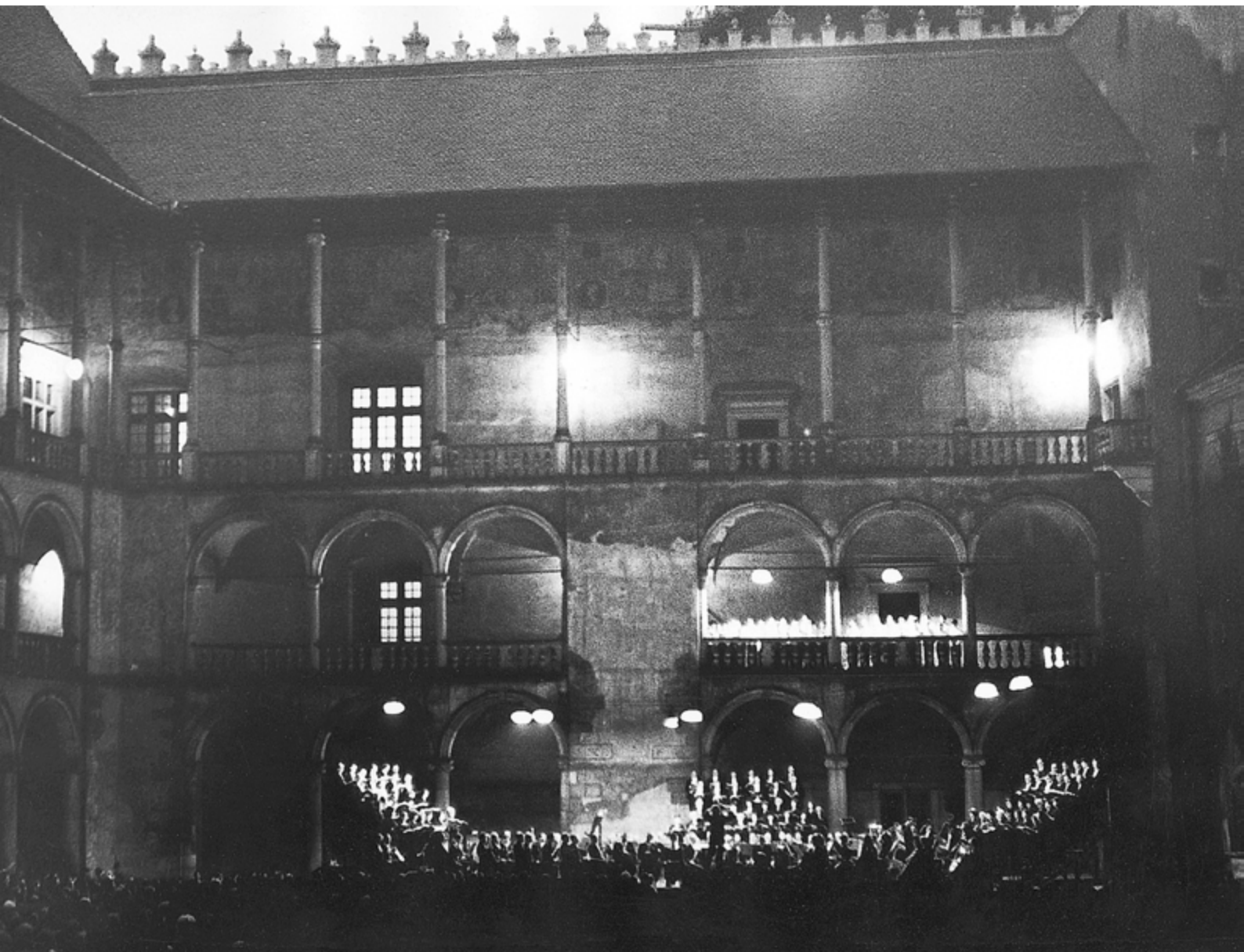
Skomponował cztery opery, osiem symfonii i wiele innych utworów orkiestrowych, koncertów instrumentalnych, oprawę chóralną głównie tekstów religijnych, a także utwory kameralne i instrumentalne. Wśród jego najbardziej rozpoznawalnych utworów są *Tren – Ofiarom Hiroszimy*, *Pasja według św. Łukasza*, *Polskie Requiem* oraz *III Symfonia*.

Po raz pierwszy zdobył rozgłos w 1959 roku po premierowym wykonaniu utworów *Strofy*, *Emanacje* oraz *Psalmy Dawida* na festiwalu Warszawska Jesień. Powszech-

ne uznanie przyniosła mu kompozycja *Tren* na orkiestrę smyczkową, poświęcona ofiarom ataku atomowego na Hiroszimę, oraz chóralne dzieło *Pasja według św. Łukasza*. Jego pierwsza opera, *Diabły z Loudun*, została premierowo wystawiona w Hamburgu i Stuttgarcie w 1969 roku. W latach 80. ubiegłego wieku powstało chóralne *Polskie Requiem*.

Jego muzyka niejednokrotnie była wykorzystywana przez twórców filmowych – Williama Friedkina, Stanleya Kubricka, Davida Lyncha, Andrzeja Wajdę oraz Martina Scorsese.

Otrzymał wiele odznaczeń państwowych. W 2012 roku dziennik „The Guardian” nazwał go „najprawdopodobniej największym żyjącym polskim kompozytorem”.



*Pasja według św. Łukasza na Dziedzińcu Arkadowym Zamku Królewskiego na Wawelu*

Gdyby szukać określenia, które najtrafniej streszczałoby rolę Krzysztofa Pendereckiego w kulturze muzycznej jego czasu, to najtrafniejsze brzmi: „wytyczający drogi”.

kowa doszły echa prawykonania utworu, które odbyło się kilka tygodni wcześniej, 30 marca tegoż roku, w katedrze w Münster, przykuwając uwagę muzycznego świata. Twórca, okrzyknięty idolem skrajnej awangardy, napisał obszerne dzieło sakralne, i to w dodatku pasję! Od czasów Bacha mało kto mierzył się z tym tematem i gatunkiem muzycznym, a nikt z powodzeniem. Uważano, że współcześnie nie ma możliwości

stworzenia oryginalnej, wielkiej szczerością wypowiedzi, muzycznej opowieści o wydarzeniach Golgoty. A przecież po kilkakrotnie powtórzonym, jasnym akordzie zamykającym dzieło, zarówno w Münster, jak i w Krakowie zapanowała długa cisza, a potem niekończące się brawa. O takim odbiorze dzieła z pewnością zdecydowało też wykonanie. Prezentację *Pasji* poprowadził Henryk Czyż, dyrygent o ogromnej wrażliwości. Troje śpiewaków: Stefania Woytowicz, Andrzej Hiolski i Bernard Ładysz, którym w Krakowie towarzyszyły zespoły Filharmonii Krakowskiej (w Münster *Pasję* wykonały niemieckie chóry i orkiestra), stworzyło niedościgny wzór interpretacji partii solowych. Wciąż też mam w uszach głos Leszka Her-

degena w partii Ewangelisty. Takich przeżyć się nie zapomina!

*Pasję według św. Łukasza* chcieli usłyszeć nawet ci, którym na co dzień do filharmonii było daleko. Sala Filharmonii Krakowskiej, licząca wówczas niemal tysiąc miejsc, nie mogła pomieścić wszystkich chętnych. Tłumów nie rozładowało nawet dwukrotne powtórzenie koncertu. Kilka miesięcy później *Pasja* zabrzmiała na Dziedzińcu Arkadowym Zamku Królewskiego na Wawelu, a dziś jest chyba najczęściej wykonywanym utworem Krzysztofa Pendereckiego.

Krytycy, którzy tłumnie zjechali do Münster i Krakowa, byli podzieleni. Jedni okrzyknęli kompozytora zdrajcą nowoczesności, wieszcyli jego zmierzch. Inni wyrokowali, że dzieło wymagające dużej obsady rzadko będzie się pojawiało na estradach. Jeszcze inni odczytali *Pasję* jako otwarcie nowych światów w muzyce, kolejny krok w budowaniu gmachu europejskiej kultury.

Gdyby szukać określenia, które najtrafniej streszczałoby rolę Krzysztofa Pendereckiego w kulturze muzycznej jego czasu, to najtrafniejsze brzmi: „wytyczający drogi”. To on przebojem otworzył awangardzie sale koncertowe. Był pierwszym kompozytorem, który w czasach negacji tradycji stwierdził, że przyszłość musi mieć oparcie w przeszłości, i pierwszym, który nie rezygnując z nowatorskiego języka, nasycił go pierwiastkiem duchowości. *Pasja*, *Jutrznia*, a potem *Polskie Requiem* i przede wszystkim *Credo* były w tym względzie jego manifestem. Nowatorski był jego późniejszy zwrot ku późnoromantycznej symfonice. W oryginalny, sobie tylko właściwy sposób, kontynuował idee wielkich twórców przełomu XIX i XX wieku, nadając im pulsujący życiem kształt, niepozbowiony rysów autobiograficznych, bo tak odczytuję choćby delikatną jak chińska porcelana *VI Symfonię „Pieśni chińskie”*, nostalgiczną *VIII Symfonię „Pieśni przemijania”* do wierszy niemieckich kompozytorów romantycznych czy *Quartetto per archi „Kartki z niezapisanego pamiętnika”*.

Wytyczającym drogi był także, gdy w 1972 roku stanął na czele Akademii Muzycznej w Krakowie, tworząc z niej nowoczesną uczelnię, kształcąca muzyków na miarę zmieniających się potrzeb współczesnego świata, i wtedy, gdy z myślą o młodych zakładał w Łusławicach Europejskie Centrum Muzyki, a wreszcie wtedy, gdy dla przyszłych pokoleń (bo drzewa rosną wolno) tworzył wspaniałe łusławickie arboretum.

Twórca-prekursor kroczy samotnie, i taki był Penderecki-artysta. W życiu prywatnym miał prawdziwą podporę. *Pasję według św. Łukasza* dedykował poślubionej w 1965 roku Elżbiecie Soleckiej. Osiemnastoletnia wówczas, urzekająca urodą dziewczyna podjęła się niełatwej roli towarzyszki życia pograżonego w sztuce artysty. Przez pięćdzie-

siąt pięć lat była inspiracją i wytchnieniem, żoną, matką, opiekunką i menadżerem. Po odchowaniu dzieci znalazła też czas na własną działalność, a organizowane przez nią festiwale były i są ważną częścią polskiego życia muzycznego.

\*

Po pięciu latach *Pasja według św. Łukasza* otrzymała swoistą kontynuację. 8 czerwca 1971 roku na cichym podówczas Kazimierzu panowało niesłychane ożywienie. W tłumie podążającym do kościoła św. Katarzyny można było ujrzeć znane postaci polskiego świata muzycznego, czarne sutanny kleru, dziennikarzy prasy nie tylko lokalnej towarzyszyli luminarzom polskiej nauki i kultury. Na Kazimierzu pojawił się *tout le mond* z kardynałem Karolem Wojtyłą i sekretarzami KW PZPR na czele. Wszystko po to, by wysłuchać polskiego prawykonania *Jutrznia* Krzysztofa Pendereckiego (światowe odbyło się kilka tygodni wcześniej w Münster) prezentowanego przez zespoły

Penderecki przebojem otworzył awangardzie sale koncertowe. Był pierwszym kompozytorem, który w czasach negacji tradycji stwierdził, że przyszłość musi mieć oparcie w przeszłości, i pierwszym, który nie rezygnując z nowatorskiego języka, nasycił go pierwiastkiem duchowości.

Filharmonii Krakowskiej oraz pięcioro solistów pod dyrekcją Jerzego Katlewicza.

*Pasja* i dwuczęściowa *Jutrznia* tworzą *Tryptyk paschalny*. Pierwsza, kontemplacyjna część *Jutrznia* jest muzycznym zobrazowaniem złożenia do grobu, druga – ewokuje radość zmartwychwstania. Ale poszczególne części *Tryptyku* różnią się nie tylko tematyką. W *Pasji* kompozytor posłużył się łaciną, odwołując się do tradycji rzymskiej, w *Jutrznia*, w *Złożeniu do grobu* i *Zmartwychwstaniu* zwrócił się do tradycji wschodniej i języka staro-cerkiewno-słowiańskiego.

Obrządek wschodni nie był Pendereckiemu obcy. W tym obrządku wychował się na Kresach jego ojciec, który, gdy tylko nadarzyła się okazja, prowadził syna do cerkwi. Sam kompozytor niejednokrotnie opowiadał o swej fascynacji muzyką Kościoła wschodniego, ale chyba nie o samą muzykę chodziło, lecz też o inną od zachodniej, wzmożoną duchowość, którą tak silnie odczuwamy choćby w czasie koncertów chórów cerkiewnych. Przygotowując się do pisania *Jutrznia*, odwiedzał prawosławne monasteria w Rosji, Serbii i Bułgarii. Nawiązał też kontakty z osiadłymi w Polsce starowiercami, by poznać ich obrządki. To wszystko, przefiltrowane przez wrażliwość twórcy, połączone



Krzysztof Penderecki z Andrzejem Wajdą, Krystyną Zachwatowicz i Elżbietą Penderecką

z jego oryginalnym językiem muzycznym dało wspaniały efekt. Obecnych w kościele św. Katarzyny zachwycaly chóry odgrywające w *Jutrzni* zasadniczą rolę, fascynowały głosy solowe wykorzystywane w skrajnych rejestrach, urzeakały cytaty i quasi-cytaty muzyki cerkiewnej, niepokoiły dźwięki gongów wprawianych w drganie smyczkami kontrabasów. Ta muzyka przenosiła ich w nieznaną, ale jakże piękny świat, dawała nie tylko poczucie uczestniczenia w wielkim kulturalnym i towarzyskim wydarzeniu (obecność w kościele św. Katarzyny była wówczas swoistą nobilitacją), ale i głębokie przeżycie duchowe.

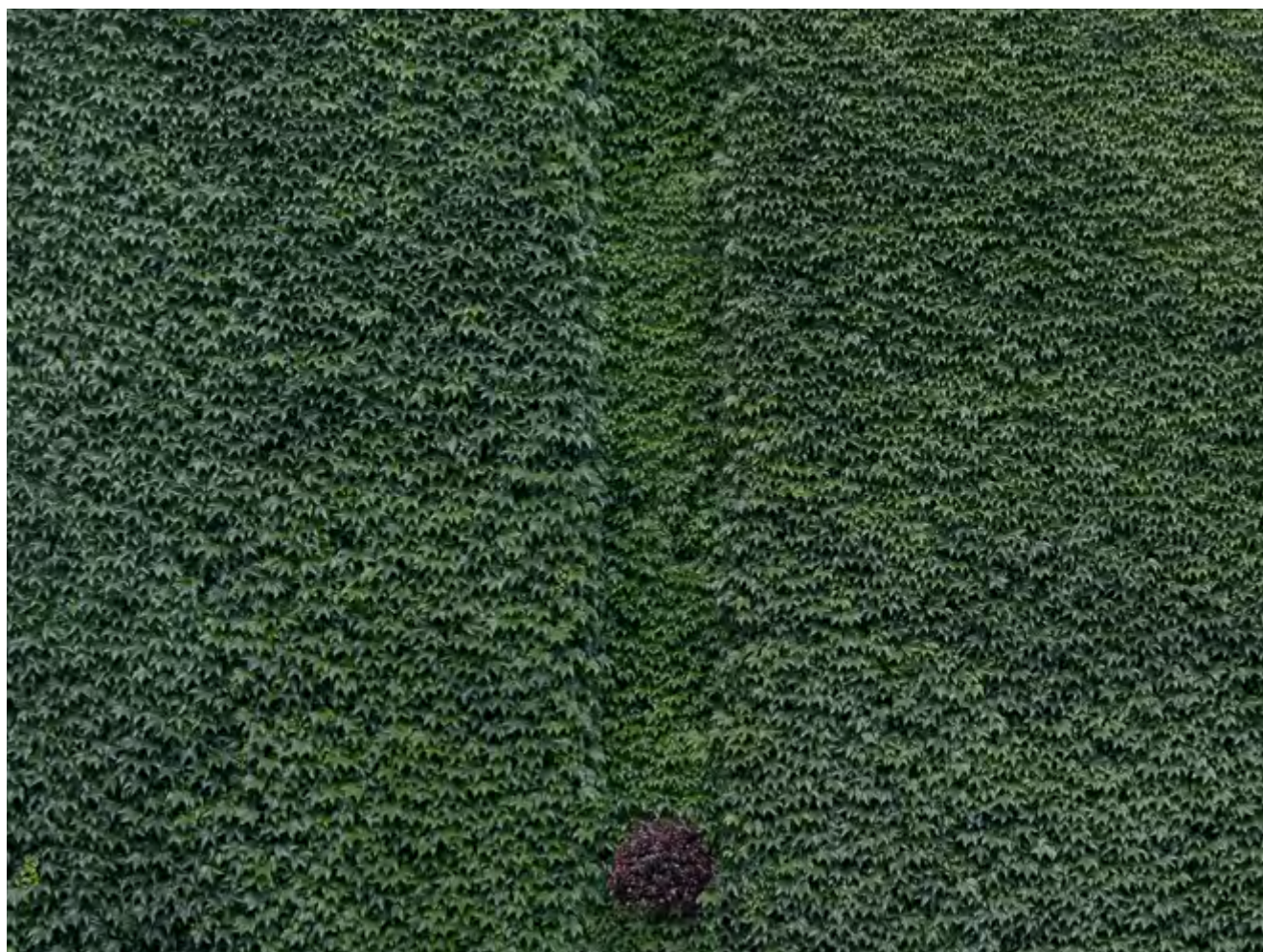
\*

Minęło pół wieku. *Pasja* i *Jutrznia* obiegły cały świat. Nie straciły nic z żywotności i siły oddziaływania, podobnie jak inne dzieła Krzysztofa Pendereckiego. Samego twórcy nie ma już z nami. I próżno rozglądam się, szukając następcy, kogoś, kto by tak jak on „wytyczał drogę”. Mamy wielu utalentowa-

nych kompozytorów, ale chyba nikt z nich nie ma tej odwagi i tej siły, jaką miał zmarły w ubiegłym roku Mistrz. A może czas rewolucji w muzyce już minął? A może to słuchacze niczemu się już nie dziwią i nic nie jest w stanie ich poruszyć? To dlaczego wciąż porusza ich Penderecki? W jednym z wykładów kompozytor stwierdził: „Chciałem, żeby moja muzyka była wyznaniem, szukałem autentycznej, nowoczesnej ekspresji dla odwiecznych tematów”. Realizacja tej chęci zapewniła jego dziełu nieśmiertelność.



**Anna Woźniakowska** – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



Edyta Dufaj, *Breath* (z cyklu *Like a tree*), 2014





# Zaczytani w Nowej Hucie

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcie: Robert Słusznik / z archiwum i za zgodą księgarńi

**Mieszkał w bloku, w którym do dziś jest biblioteka. Tam poznał historię Pana Samochodzika i połączył książkowego bakcyła. Potem sam stworzył miejsce, gdzie można sobie poczytać. Café Nowa Księgarnia, którą opiekuje się Jacek Dargiewicz, w plebiscycie na Krakowską Księgarnię Roku 2020 otrzymała wyróżnienie w kategorii „Najlepsze wydarzenia”.**

Oprócz przygód Pana Samochodzika lubił też książki o duchach. Miał szczęście, że z prawdziwego świata w świat wyobraźni mógł przenieść się w kilka minut. Wystarczyło, że zbiegł na dół. – Uwielbiałem spędzać czas w bibliotece. Chodziłem tam na różne warsztaty albo tak po prostu, żeby posiedzieć i poczytać. Nie miałem podzielności uwagi, dlatego czytałem książki pojedynczo, od deski do deski. Uważałem, że jeśli zaangażuję się w kilka równocześnie, coś ważnego mi umknie. Mam tak zresztą do dziś... Bibliotekarki były przemiłe i to dzięki nim zapamiętałem, jak ważne jest pozytywne nastawienie dziecka do czytania – wspomina Jacek Dargiewicz, właściciel Café Nowa Księgarnia oraz nowohuckiego klubu Kombinator, założyciel Fundacji Faktor Kultura, aktywista promujący kulturę Nowej Huty.

\*

Café Nowa Księgarnia działa od listopada 2018 roku w punkcie informacji turystycznej przy os. Zgody 7. Razem z Dargiewiczem prowadzi ją jego żona Agnieszka, prezeska Fundacji Faktor Kultura, którą razem stworzyli. Wystrój ich księgarni, pierwszej w Nowej Hucie z tak szeroką ofertą wydawniczą, nawiązuje do popularnego w latach 70. ubiegłego wieku stylu retro. Jest przytulnie, zielono i obłądnie pachnie – książkami, których nie zastąpi żaden czytnik, oraz kawą i ciastem, bo przed pandemią podczas lektury czytelnicy mogli skosztować rarytasów z za baru.

Nic dziwnego zatem, że w Nowej ludzi nigdy nie brakowało. Poza obecnymi na półkach reportażami, kryminałami, powieściami obyczajowymi czy książkami dla dzieci, księgarnia umożliwiała też spotkania z ich autorami oraz zapraszała do dyskusji znanych i lubianych. Jej gośćmi byli między innymi Czesław Mozil, Marcin Świetlicki, Mariusz Czubaj, Szymon Hołownia, Radosław Krzyżowski czy związani z Nową Hutą Katarzyna Kobylarczyk i Igor Jarek. Właśnie za te „Najlepsze wydarzenia” czytelnicy wyróżnili Café Nowa w plebiscycie Krakowskie Księgarnie Roku 2020.

\*

Pandemia spowodowała, że kontakt z ludźmi trzeba było ograniczyć, a sprzedaż stacjonarną wesprzeć sklepem internetowym. Tworzenie go od podstaw pochłonęło Dargiewicza na tyle, że nie miał zbyt wiele cza-

su na nadrabianie książkowych zaległości. Z okresu pierwszego lockdownu wspomina jednak *Drogę* Cormaca McCarthy’ego. – Książka opowiada o podróży w postapokaliptycznym czasie, mniej więcej takim jak ten, w którym teraz żyjemy. Jej głównymi bohaterami są ojciec i syn, jedni z ostatnich ludzi, którzy przeżyli zagładę. Razem wędrują przez zniszczony świat, a wraz z nimi czytelnik, przeżony wizją tego, co niebawem naprawdę może się wydarzyć. *Droga* to książka trudna, lecz warta lektury – wyczytamy w niej wiele o człowieczeństwie, wartościach, relacjach i tym, co w życiu ważne – poleca Dargiewicz.

Z oferty Nowej szczególnie poleca tytuły związane z Nową Hutą. – Rok 2020 obfitował w świetne nowohuckie reportaże. *Nowa Huta – wyjście z raju* Leszka Konarskiego podsumowuje 70 lat najmłodszej dzielnicy Krakowa. Katarzyna Kobylarczyk w książce *Kobiety Nowej Huty. Cegły, perły i petardy* przypomina historie urodzonych tutaj kobiet. Ostatnio przeczytałem też zbiór opowiadań Igora Jarka *Halny*, których miejscem akcji jest Nowa Huta. Tę książkę rekomenduję nie tylko miłośnikom tej dzielnicy i jej historii, ale wszystkim poszukującym ciekawej warstwy tekstowej. *Halny* to dla mnie zupełnie coś nowego – podkreśla.

Razem z żoną zachęca, by odwiedzać Nową nie tylko na stronie, ale też stacjonarnie. – Zawsze chętnie doradzimy i znajdziemy czas na rozmowę o książkach – zapewnia Dargiewicz.

Café Nowa Księgarnia (os. Zgody 7) jest czynna codziennie w godz. 10–19 (poniedziałek–piątek) oraz 9–19 (sobota–niedziela). Księgarnia działa też *online* na stronie [nowaksięgarnia.pl](http://nowaksięgarnia.pl).



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



Dworzec na placu św. Ducha, fot. NAC, 1929

## Dworzec na placu św. Ducha

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcia: NAC (archiwalne) i Krzysztof Jakubowski (współczesne)

Począwszy od drugiej ćwierci XIX wieku bezkonkurencyjna była gęstniejąca sieć połączeń kolejowych. Dopiero u progu ubiegłego stulecia pojawiły się eksperymenty z wykorzystaniem do przewozów pojazdu o konstrukcji opartej na bazie nowego wynalazku – silnika spalinowego. Taki powiększony automobil, mogący przewieźć nawet kilkanaście osób, nazwano autobusem. Miał on zastąpić konne omnibusy, popularne w miastach począwszy od końca XVIII wieku. Pierwsze autobusy kursowały prawdopodobnie w Niemczech już w ostatnich latach XIX wieku. To o wiele doskonalsze wcielenie dyliżansu, który przez kilka stuleci królował na europejskich drogach, zyskiwało coraz większe powodzenie. W granicach miast ciągle jednak dominował tramwaj (już elektryczny), znacznie tańszy w eksploatacji i mniej zawodny.

Wraz ze znaczącym rozszerzeniem granic miasta w ramach koncepcji Wielkiego Krakowa niezbędne stało się zwiększenie zasięgu komunikacji zbiorowej. W 1911 roku grupa przedsiębiorców powołała Spółkę Omnibusów Automobilowych. Kursowały one między Dworcem Kolejowym a Salwatorem.

Kres temu pionierskiemu przedsięwzięciu położyła budowa linii tramwaju na tej trasie w 1913 roku. Zresztą z chwilą wybuchu wojny światowej wszystkie pojazdy mechaniczne zostały zarekwirowane przez wojsko i marzenia o wygodnym transporcie autobusowym musiały zostać odłożone na czas nieokreślony.



Plac św. Ducha, fot. K. Jakubowski, 2021

Pierwszą linię autobusową na trasie Barbakan–ul. Warszawska–Prądnik Czerwony uruchomiono dopiero w 1927 roku, a inicjatorem była Krakowska Spółka Tramwajowa. Warto podkreślić, że była to linia po części podmiejska, bo Prądnik przyłączono do Krakowa dopiero w 1941 roku.

Tymczasem w 1926 roku Polski Związek Turystyczny zorganizował pierwszy dworzec autobusowy, urządzony przy pl. św. Ducha. Z punktu widzenia PZT lokalizacja była jak najbardziej uzasadniona, bo jego siedziba mieściła się tuż obok, przy ul. Szpitalnej 36.

Kiedy się okazało, jak cenny to i trafiony pomysł, inicjatywę przejęło miasto. 6 sierpnia 1929 roku oddano do użytku, wzniesiony kosztem 65 tys. zł, nowy budynek dworca. Codziennie przewijało się przezeń 60 autobusów (najczęściej angielskie leylandy, włoskie lancia i amerykańskie duranty) obsługujących ponad 3 tys. pasażerów na 35 liniach. W niewielkim budynku ozdobionym charakterystyczną schodkową attyką w typie *art déco*,

mieściły się poczekalnie, kasy i bufet. Prezentuje go fotografia wykonana wkrótce po otwarciu. Dworzec usunięto stamtąd w styczniu 1957 roku, głównie ze względu na ciasnotę i wzmożony ruch przewozowy. Przeniesiono go na ul. Pawią, gdzie trwała już budowa nowej siedziby.

W minionym roku po rewitalizacji placu w miejscu dawnego parkingu urządzono skwer ozdobiony nawiązującymi do dworca zegarami, wskazującymi czas w partnerskich miastach Krakowa.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



# Fryderyka Hechla walka z pijaństwem

Tekst: Ewa Danowska Zdjęcie: domena publiczna

Pod koniec XX wieku w ścianę kamienicy przy ul. Brackiej 7 od strony ul. Gołęziej wmurowana została tablica poświęcona inicjatorowi i krzewicielowi trzeźwości w naszym mieście.

Fryderyk Bogumił Hechel, urodzony w 1795 roku, miał 23 lata, gdy w jego rodzinnym Wilnie lekarz i filantrop Jakub Szymkiewicz wydał pierwszy polski podręcznik alkoholologii *Dzieło o pijaństwie*. Autor był prezesem powstałego w 1817 roku Towarzystwa Szubrawców, walczącego między innymi z pijaństwem, grą w karty i bilard jako występkami prowadzącymi do materialnej i moralnej zguby. Czy to miało wpływ na działalność i poglądy Fryderyka Bogumiła Hechla? W swych wspomnieniach, zatytułowanych *Człowiek nauki, jaki był*, napomknął, że ze zjawiskiem pijaństwa miał do czynienia od najmłodszych lat. Jego ojciec, pochodzący z bałtyckich Niemców, siodlarz z zawodu, oddawał się temu nałogowi, co rodzinę doprowadziło do nędzy i konieczności sprzedaży domu, by pospłacać długi.

Fryderyk Hechel wbrew woli ojca, który pragnął, by syn objął po nim warsztat siodlarski, po ukończeniu elementarnej szkoły ewangelickiej uczęszczał do gimnazjum w Wilnie, a na Uniwersytecie Wileńskim odbył studia medyczne, uwieńczone w 1818 roku tytułem doktora.

Na studiach utrzymywał się z korepetycji, a po śmierci ojca zamieszkał wraz z matką i rodzeństwem na wsi koło Wilna, rozpoczynając praktykę lekarską. W celu uzupełnienia wykształcenia wyjechał za granicę wraz z młodym ziemianinem Józefem Straszewiczem, a i na jego koszt.

Po drodze zwiedził kliniki w Warszawie, Krakowie i Wiedniu. Za granicą przebywał 13 lat, mieszkając we Włoszech, Francji, Niemczech, Anglii, Holandii i Skandynawii, a jako pierwszy Polak odbył podróż do... Japonii.

W Berlinie uczęszczał na wykłady Wydziału Medycznego tamtejszego uniwersytetu. Dorabiał też jako nauczyciel domowy w rodzinie bogatych przedsiębiorców Wimmelów. Przez dwa lata pracował w szpitalu homeopatycznym w Dreźnie, obserwując pracę innych lekarzy i analizując tę metodę. Z czasem spostrzegł jednak brak postępów tej terapii, zwłaszcza w przypadku chorób psychicznych, w porażeniach czy chorobach przewlekłych. Choć więc zrazu planował zająć się homeopatią na ziemiach polskich, pomysł zarzucił.

Właśnie w Dreźnie dowiedział się o rozpisaniu konkursu na objęcie katedry na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego i zgłosił swą kandydaturę. W listopadzie 1834 roku przeprowadził się do Krakowa i objął stanowisko profesora historii medycyny, medycyny sądowej i policji lekarskiej. Niebawem ożenił się z rozwiedzioną Albertyną Wimmel. Z tego związku urodziła się córka Helena, wychowywana w duchu polskości, bowiem Hechel

uważał się za Polaka. Był ceniony jako wykładowca, rzetelny nauczyciel młodzieży, a znajomość siedmiu języków obcych budziła podziw. Dzięki owemu szacunkowi udało mu się choćby wyjednać zgodę Senatu Rządzącego na możliwość asystowania przez studentów medycyny w sekcjach zwłok.

Nie zaniedbywał działalności społecznej, w której zawód lekarza był mu przydatny. W 1839 roku wraz z działaczem politycznym, filozofem i literatem Franciszkiem Wężykiem założył Towarzystwo

*Książka O pijaństwie, o jego szkodliwych skutkach i o środkach zapobieżeniu onemu miała charakter bardziej propagandowy niż naukowy. Hechel dowodził, że alkohol przyczynia się do „głupkowatości”, wzmożonej nerwowości, lekkomyślności, a nawet obłąkania.*

Wstrzemięźliwości od Mocnych Napojów. Wężyk został jego przewodniczącym, a Hechel sekretarzem. Statut Towarzystwa Wstrzemięźliwości zatwierdził Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa. We wstępie zapisano, że powodem założenia Towarzystwa była walka z pijaństwem, bowiem prowadzi ono do żebractwa i nędzy, utraty majątku oraz publicznego zgorszenia. Członkowie zobowiązali się pod słowem honoru i groźbą kary pieniężnej do wstrzemięźliwości od alkoholu, obiecali nie wynajmować w swych nieruchomościach lokali na gospody i oberże, gdzie podawane by było piwo, wódka, arak, wino i inne napoje alkoholowe, nie przyjmować do służby osób ze skłonnością do pijaństwa, odmawiać jałmużny ubogim trwającym w pijaństwie, unikać stosunków towarzyskich z osobami nadużywającymi alkoholu. Niestety, Towarzystwo Wstrzemięźliwości od Mocnych Napojów nie potrafiło sobie zjednać przychylności i dość szybko upadło.

Kolejna antyalkoholowa inicjatywa Fryderyka Hechla zyskała jednak większy rozgłos. W 1844 roku, uznawanym za apogeum pijaństwa w Galicji, wydał on w drukarni Stanisława Gieszkowskiego książkę *O pijaństwie, o jego szkodliwych skutkach i o środkach zapobieżenia onemu*. Zadeedykował ją Franciszkowi Wężykowi. Ogłosił ją własnym sumptem i rozdawał za darmo. Chciał również w taki sposób przyczynić się do walki z pijaństwem. Członkowie Towarzystwa Wstrzemięźliwości otrzymali większą liczbę publikacji w celu ich upowszechnienia. Okazało się przy tym, że niektórzy wzbraniłi się przyjąć od He-

chła gratisowy egzemplarz, ba, niechętni dziełku byli nawet księża. Jak zauważył autor dzieła, być może odpowiadało im trzymać lud w ciemnocie, biedzie, przesądach i pijaństwie, by nie poznali się na ich szalbierstwach i nie wymówili ślepego posłuszeństwa. Wielu z proboszczów czerpało przeciw zyski z karczmy, więc przeciw nałogowi nie chcieli z ambony się wypowiadać. Spotykały go też inne przykrości – na przykład w poznańskim „Tygodniku Literackim” pojawiła się recenzja, którą określił jako

Prof. Fryderyk Hechel jako pierwszy zwrócił uwagę, że kobiety upijają się szybciej niż mężczyźni, a uzależnienie nabyte w czasie menopauzy pogrąża całkowicie kobietę w nałogu.

„najnikczemniejszy paszkwil” przeciw niemu i Towarzystwu Wstrzemięźliwości. Anonimowy autor posądził Hechla, że, co prawda, wódki nie pije, ale upija się ponczem. W swych wspomnieniach Fryderyk Hechel przytoczył też zabawną scenę, jak to jeden z chłopów z Czarnej Wsi tak się zdenerwował po lekturze jego dziełka, że zwołał kolegów pijaków i komisyjnie spalili książkę, oblewając ją łatwopal-

„Hechel dał się unieść powszechnemu wówczas zapałowi dla wstrzemięźliwości, bliskiemu nawet fanatyzmu, a jak to często się wydarza w takim nastrojeniu umysłu, może nawet minął się ze słuszością”.

Fryderyk Skobel, *Wiadomość o życiu Fryderyka Hechla*, 1852 rok

nym płynem. Powstał duży ogień, który zmobilizował strażaków do interwencji, a po okolicy rozeszła się wieść, jak to chłopci z Czarnej Wsi Hechla spalili.

Hechel odnotował równocześnie chwalebne wyjątki, gdy księża w Prusach czy na Górnym Śląsku dobrze wypowiadali się o jego książce i czytali ją ludowi.

Książka *O pijaństwie, o jego szkodliwych skutkach i o środkach zapobieżenia onemu* miała rozmaite skutki – podobno pod jej wpływem, niekiedy za namową proboszczów chłopci grzebali w mogiłach flaszki z okowitą, ale gdy zapał abstynencji opadł, dokonywali ich ekshumacji w celach konsumpcyjnych.

Licząca 132 strony rozprawa ma charakter bardziej propagandowy niż naukowy. Hechel opisał w niej wszelkie nieszczęścia, jakie płyną z pijaństwa – udowodniał, że alkohol przynosi opłakane skutki dla organizmu, wywołuje choroby, liczne dolegliwości i uszkodzenie narządów wewnętrznych. Na gorsze zmienia się charakter, alkohol przyczynia się do „głupkowatości”, wzmożonej nerwowości, lekkomyślności, a nawet obłąkania. Zauważyć moż-

na fatalne oddziaływanie alkoholika na jego rodzinę, bo prowadzi do jej ubóstwa. Często też zaczyna pić cała familia. Powoływał się na zachodnioeuropejskie statystyki, świadczące, że większość przestępstw popełniają pijacy, oni stanowią nadto połowę obłąkanych w szpitalach. Hechel przytaczał przeciw pijaństwu argumenty natury moralnej, zdrowotnej, patriotycznej i ekonomicznej, podając, że 100 tysięcy mieszkańców Wolnego Miasta Krakowa utopiło w gorzałce prawie dwa miliony złotych. Nawoływał do szerzenia edukacji antyalkoholowej i zawiązywania bractw trzeźwości wbrew interesom właścicieli gorzelni i browarów.

Prof. Hechel jako pierwszy zwrócił uwagę na zmiany, jakie zachodzą w mózgu nałogowych alkoholików. Wykazał też, że kobiety upijają się szybciej niż mężczyźni, a uzależnienie nabyte w czasie menopauzy pogrąża całkowicie kobietę w nałogu.

Fryderyk Hechel od 1844 roku był posłem na sejm Wolnego Miasta Krakowa i jako reprezentant uniwersytetu należał do komisji prawodawczej. Brał też udział w radzie weterynaryjnej oraz nadzoru nad teatrem. Należał do Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Od 1848 roku pełnił funkcję radcy konsystorza ewangelickiego w Krakowie.

Z przekonań był liberalnym mieszczaninem, który choć utrzymywał stosunki towarzyskie z arystokracją, patrzył na nią krytycznie. Równocześnie w krakowskiej prasie dawał wyraz poglądom na konieczność umiarkowanych reform, a nie społecznej rewolucji. Będąc protestantem, szczególnie krytykował katolickie duchowieństwo i klerykalizm.

Boleśnie odczuł zajęcie Wolnego Miasta Krakowa przez Austrię w 1846 roku.

Na uniwersytecie wykładał przez piętnaście lat, a w 1848 roku został wybrany dziekanem Wydziału Lekarskiego. Niestety, z powodu pogarszającego się stanu zdrowia zmuszony był poprosić o urlop w celu wyjazdu na kurację do wód. Przez długie lata chorował na kamicę nerkową. Leczył się w Karlovyh Varach, Mariańskich Łaźniach i Gräfenbergu – tam też 7 maja 1851 roku zmarł i został pochowany. Przeżył tylko 56 lat.

Fryderyk Kazimierz Skobel, profesor medycyny UJ i późniejszy członek Akademii Umiejętności, poświęcił Fryderykowi Hechlowi obszerny pośmiertny artykuł, w którym wspominał szczególnie ostatnie lata jego życia – wysoką postać pochyloną z powodu ciężkiej choroby, poważne i miłe oblicze okolone gęstymi, siwymi włosami.

Dopiero po II wojnie światowej ukazały się jego pamiętniki *Człowiek nauki taki, jakim był*.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

# Maj 1921 roku

Opracował Krzysztof Jakubowski

„Stanowisko Czechów wobec powstania na Górnym Śląsku jest tak nikczemne, że Polska musi nareszcie zrozumieć, że Czesi są najprzewrotniejszymi wrogami Polski. (...) Jeżeli Niemiec jest wilkiem gotowym do skoku, to Czech jest szakalem nikczemnym, który bieży śladami wilka, szukając łatwego łupu. Jest rabusiem tchórzliwym, szkodnikiem chytrym, żerującym w mroku”.

✎ **1-2 maja.** „Naczelnik Państwa Piłsudski podczas swego dwudniowego pobytu w Krakowie zatrzymał się w gmachu starostwa przy ul. Basztowej, udekorowanym chorągiewkami o barwach narodowych i zielenią. Przed gmachem zgromadziły się tłumy publiczności. U wejścia pełniła służbę straż honorowa. Wieczorem Naczelnik Państwa udał się do teatru. Kiedy ukazał się w loży, orkiestra odegrała *Jeszcze Polska nie zginęła*, a zgromadzona publiczność zgotowała Mu niemilknąca owację” – odnotował „IKC”.

*Mazurka Dąbrowskiego nie nazwano jeszcze hymnem, bo za hymn pieśń ta została uznana, rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych, dopiero 26 lutego 1927 roku. „Gmach starostwa” to późniejszy Urząd Wojewódzki.*

✎ **2-6 maja.** Dzienniki z rosnącym niepokojem pisały o rozwoju sytuacji na Górnym Śląsku. Zaproponowana po niepomyślnym wyniku plebiscytu tak zwana linia Korfanteo dzieliła sporny obszar zgodnie z pierwotnie ustaloną zasadą liczenia głosów gminami. Choć stroną polską popierała Francja, pronieemieckie stanowisko Anglii i Włoch nie wróżyło osiągnięcia porozumienia na drodze dyplomatycznej. Po decyzji Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej, przyznającej Niemcom nieuprawnione obszary Górnego Śląska, a Polsce zaledwie dwa powiaty, zapadła decyzja o podjęciu nocą z 2/3 maja walki zbrojnej.

✎ **2 maja.** Komunikat z „Głosu Narodu”: „Magistrat zwraca uwagę, że dzień 3 maja jest świętem narodowym i że wszelka praca w przemyśle i handlu jest w tym dniu wzbroniona”.

✎ **2-15 maja.** Dzienniki donosiły systematycznie o imprezach urządzanych z okazji ogólnopolskich obchodów setnej rocznicy śmierci Napoleona Bonaparte. W ich ramach studenci Akademii Handlowej zorganizowali w Teatrze im. Juliusza Słowackiego poranek *Dzień Francji*.

*Akademia Handlowa, mieszcząca się od 1908 roku w gmachu przy ul. Kapucyńskiej 2, prowadziła dwuletnie kursy dla maturzystów (od-*

*powiednik dzisiejszej szkoły pomaturalnej). Z połączenia AH i działającego w tym samym gmachu Instytutu Towaroznawczego powstało w 1925 roku Wyższe Studium Handlowe – załączek Uniwersytetu Ekonomicznego.*

✎ **3 maja.** Anons zamieszczony w „IKC”: „Wyrobiany na sposób angielski lep na muchy »Pająk« dostarcza w każdej ilości wyłącznie: Wacław Hemzaczek, Kraków pl. Matejki 5. Zamiejscowi zastępcy poszukiwani w całej Polsce”.

✎ **3-10 maja.** Na wieść o wybuchu walk na Śląsku wiele środowisk społecznych i zawodowych wyrażało swe poparcie i solidarność z powstańcami. Organizowano wiece i demonstracje poparcia, zbierano fundusze na rzecz walczących. Dzienniki donosiły o różnorodnych akcjach niemal każdego dnia.

✎ **4 maja.** Spóźniona relacja z kroniki „Głosu Narodu”: „Pierwszy dzień bieżącego miesiąca przeminął w zupełnym spokoju. Rano zebrały się na placu Kleparskim klasy robotnicze, gdzie wysłuchały referatu p. Ignacego Daszyńskiego, poczym wszyscy ruszyli w pochodzie na Rynek pod pomnik Mickiewicza. Tutaj p. Daszyński przemówił powtórnie, nawołując do wytężonej pracy. Tramwaje w tym dniu zaczęły kursować od godz. 12 w południe”.

✎ **4 maja.** „Onegdaj w nocy rozegrał się przy ul. Krasickiego w Podgórzu krwawy dramat małżeński. W jednym z domów niejaki Zaremba rzucił się na swą żonę z brzytwą i rozpruł jej brzuch tak, że wszystkie wnętrzności wyszły na wierzch. Powodem zbrodniczego czynu Zaremby było to, że gdy był on w więzieniu, żona jego Franciszka prowadziła wesołe życie z kochankami. Zarembowa, którą Pogotowie Ratunkowe przewiozło do szpitala, wykazała podczas operacji dużo zimnej krwi, śmiała się nawet do operujących ją lekarzy” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.

✎ **7 maja.** „Jak się dowiadujemy, w Krakowie bawi delegacja rządu sowieckiego, która przybyła celem zwiedzenia tutejszego obozu jeńców w Dąbiu. Delegacji, w skład której wchodzi: Leopold Kasprowicz z Mińska (Polak) i Michałowicz Kałużno-Naam ze Smoleń-



Defilada 8. Pułku Ułanów, Feliks Franić, olej na płótnie, 1924, własność prywatna



Gmach Akademii Handlowej przy ul. Kapucyńskiej 2, ukończony w 1906 roku, według projektu Jana Zawiejskiego, widokówka, ok. 1910, archiwum autora



Karol Chodkiewicz (1904–1921), krakowski harcerz, obrońca Lwowa, poległ bohaterską śmiercią w pierwszych dniach III powstania śląskiego



ska (Moskal), towarzyszy urzędnik Ministerstwa Spraw Wojskowych Antoni Chaciński – donosił „IKC”.

*Działała też wówczas komisja mieszana ds. repatriacji z siedzibą w Moskwie, opiekująca się polskimi jeńcami i internowanymi. Do jej biura zgłaszało się codziennie kilkaset osób. Wkrótce powołano terenowe ekspozytury regulujące ich powrót do kraju.*

✎ **9 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Na wystawie Związku Artystów Plastyków w Domu Artystów przy pl. św. Ducha wystawiono obraz przedstawiający św. Hieronima, pędzla znakomitego hiszpańskiego malarza Giuseppe Ribery. Ribera, przez Włochów zwany Spagnoletto, ur. w r. 1588 w pobliżu Walencji, był uczniem Caravaggio w Neapolu, gdzie umarł w r. 1659. Lubił tematy pełne grozy; takim jest np. jego *Św. Bartłomiej odarty ze skóry*. Celował w rysunku, kolorycie i realistycznym traktowaniu natury. Wystawiony obraz pochodzi z galerii ks. Wittgensteinów”.

*Ówczesny Dom Artystów to tak zwany Dom pod Krzyżem u zbiegu ul. Szpitalnej i pl. św. Ducha (dziś Oddział Teatralny Muzeum Krakowa). W 1935 roku artyści rozpoczęli przeprowadzkę do nowego Domu Plastyków przy ul. Łobzowskiej.*

✎ **9 maja.** Anons z „Nowej Reformy”: „Warszawska XXX Klinika Uniwersytecka dla Chorób Wewnętrznych podaje, że gorzka woda »Franz Josef« jest nadzwyczaj łagodnym środkiem przeczyszczającym, działającym pewnie i przyjemnie”.

✎ **11 maja.** „Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego komunikuje: Dnia 14 bm. o godz. 12 i pół odbędzie się w auli uniwersyteckiej rzadka uroczystość odnowienia dyplomu doktorskiego po 50 latach. Jubilatem jest dr Władysław Bylicki, profesor ginekologii w Uniwersytecie Lwowskim” – odnotował „Głos Narodu”.

✎ **11 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Z ostatniego numeru »Diabła« pozwalamy sobie cytować następujące aktualne informacje: »Idąc za przykładem Uniwersytetu Jagiellońskiego, który Naczelnika Państwa obdarzył doktoratem prawa, ciała nauczycielskie gimnazjów św. Anny i św. Jacka postanowiły wręczyć honorowe świadectwa dojrzałości (matury) prezesowi rady ministrów oraz kilku członkom gabinetu i najmłodszemu generałom«”.

*Znany z endeckich sympatii „Głos Narodu” nie sprzyjał wówczas ani Piłsudskiemu, ani rządowi Witosa, który opuściło wcześniej kilku ministrów ze Związku Ludowo-Narodowego. Stąd cytowane chętnie szyderstwa z satyrycznego dwutygodnika „Diabeł”.*

✎ **11 maja.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Policja aresztowała Jakuba Kleinmanna, 20-letniego praktykanta dentystycznego, który pod pozorem naprawy zębów wyłudził od rozmaitych osób znaczne kwoty”.

✎ **14 maja.** „Stanowisko Czechów wobec powstania na Górnym Śląsku jest tak nikczemne,

że Polska musi nareszcie zrozumieć, że Czesi są najprzewrotniejszymi wrogami Polski. (...) Jeżeli Niemiec jest wilkiem gotowym do skoku, to Czech jest szakalem nikczemnym, który bieży śladami wilka, szukając łatwego łupu. Jest rabusiem tchórzliwym, szkodnikiem chytrym, żerującym w mroku” – grzmiał na pierwszej stronie „IKC”.

*Te mocne słowa wydrukowano na pierwszej stronie wielkonakładowego dziennika, jakim był „IKC”. Konsekwentnie i nie pierwszy raz „IKC” piętnował Czechów. Niemal w każdym numerze pojawiały się apele: „Bojkotujmy Czechów! Przecz z towarami czeskimi!”.*

✎ **15 maja.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Związek Polskiej Młodzieży Akademickiej »Żagiew« w Krakowie, poświęcony idei uobywatelnienia żydów w duchu polskim, wznowił swe przerwane wypadkami wojennymi prace i przyjmuje zgłoszenia członków w godzinach urzędowych sekretariatu, Uniwersytet Jagielloński, Collegium Novum, sala 33”, w środy od

Komunikat z „Głosu Narodu”: „Magistrat zwraca uwagę, że dzień 3 maja jest świętem narodowym i że wszelka praca w przemyśle i handlu jest w tym dniu wzbroniona”.

godz. 3–4 po poł.”.

✎ **15 maja.** „Z domu modlitwy przy ul. Izaaka 8 skradziono onegdaj cztery tałesy wartości 28 tys. marek. Za sprawcami kradzieży zarządono pościg” – donosił „Czas”.

*Tałesy to duża prostokątna chusta, wykończona frędzlami, zwykle biała w ciemne bądź ciemno-błękitne pasy. Nakładana przez mężczyzn do modlitwy, jest nieodzownym elementem żydowskiej liturgii.*

✎ **20 maja.** Anons z „IKC”: „Dla cierpiących na rzeżączkę (tryper). Powszechnie znane ze swej skuteczności kapsułki francuskie Eumiktine z laboratorium Doktora Leprince’a w Paryżu, znajdują się w sprzedaży we wszystkich aptekach i składach aptecznych”.

✎ **26 maja.** „IKC” zamieścił taką oto notkę: „Odnosnie do poruszonej przez nas w nr 132 sprawy wybryków żołnierskich na Plantach podczas Zielonych Świąt, z przyjemnością możemy stwierdzić, że aresztowany awanturnik nie należy do 8 p. ułanów, jak mylnie było podane, lecz do 6 p. ułanów”.

*Owa „przyjemność” była nieprzypadkowa. Stacjonujący w Rakowicach i Kobierzynie, zasłużony w wojnie polsko-bolszewickiej 8. Pułk Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego był chlubą miasta. Jego tradycje są do dziś żywe dzięki działalności Rodziny Pułkowej, zrzeszającej głównie potomków dawnych ułanów.*

✎ **26 maja.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Magistrat podaje do wiadomości, że wskutek podwyższenia przez rząd cen produk-



Prymus szwedzkiej firmy Optimus, lata 20. XX w., ze zbiorów autora



Kościół Jezuitów przy ul. Kopernika, widokówka, 1928, archiwum autora

tów naftowych, cena benzyny do prymusów wynosi obecnie w handlu detalicznym 49,50 marki za 1 litr”.

*Prymus to miniaturowa kuchenka do gotowania, ze zbiorniczkiem na naftę, używana długo w domach niewyposażonych w gaz czy energię elektryczną, przydatna także w podróży.*

✦ **27 maja.** „Obecna jubileuszowa wystawa Leona Wyczółkowskiego w Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim potrwa do pierwszych dni czerwca, poczym otwarta zostanie zwykła wystawa obrazów i rzeźb” – odnotował „Czas”.

✦ **28 maja.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „W czwartek odbyły się zawody footballowe o mistrzostwo Klasy A między Cracovią a Makkabi zakończone wynikiem 5:0 na korzyść Cracovii. Grę prowadzono obustronnie w żywym tempie”.

*Był to etap pierwszych mistrzostw Polski w piłce nożnej. Zwycięzcy regionalnych Klas A walczyli później w turnieju finałowym. Rozgrywki ligowe, w formule zbliżonej do obecnej, odbywały się od 1927 roku.*

✦ **28-31 maja.** Prasa relacjonowała toczące się w Krakowie obrady II Zjazdu Biskupów

i Arcybiskupów Ziemi Polskich, z udziałem kardynała Aleksandra Kakowskiego i prymasa kardynała Edmunda Dalbora. Z czasem zjazd ten zaczęto nazywać konferencjami episkopatu.

✦ **29 marca.** Wszystkie dzienniki opisywały uroczystość poświęcenia kościoła Jezuitów przy ul. Kopernika budowanego (z przerwami) od 1909 roku. Wzięli w niej udział obecni na zjeździe biskupi. Kościół, wzniesiony według modernistycznego projektu Franciszka Mączyńskiego, stał się twórczym poligonem wielu wybitnych artystów. Na przykład rzeźbę Chrystusa na portalu wykonał Ksawery Dunikowski, wewnątrz ozdobił polichromią Jan Bukowski, a ołtarz był dziełem Karola Hukana.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



# Wszystkie twarze Wesela

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcie: Zamek Kronborg w Elsinorze/Wikimedia Commons

## Środa

Tyle wypraw w strony bardzo odległe nie tylko w kilometrach – i żadnej zdobyczy! Przez tak wiele lat – śladu łupu, cienia dowodu, że było się tam, żadnego rekwizytu dla opowieści o podróży, żadnej pamiątki, żadnej resztki stamtąd, by porównać ją z tym, co jest w ojczyźnie! Były Ateny i Akropol, była Sparta, Mykeny i Korynt, była cała Kreta, były Delfy, Olimpia, Epidauros, Paestum, Sunion, wyspka Samos, wyspa Paros i wioseczka Psychro u stóp ponurej, podniebnej Dikte, na zboczu której snują się nieruchomo ścieżki wiodące do grotty, gdzie ponoć urodził się Zeus. I inne jeszcze jaskinie w finałach wędrówek. To znaczy – inne źródła. Choćby ta przepastna jama w dolinie Wezery, pod miasteczkiem Montignac, zwana jaskinią Lascaux, ze starymi jak człowiek portretami byków, bizonów i jeleni na ścianach i sufitach. Tudzież katedry Włoch i Francji, jeszcze malowidła

w muzeach i świątyniach albo kawałek hipnotycznego krajobrazu, ulepiony z błękitu, gór, wody, powietrza i światła. W końcu też zamek Kronborg, gdzie przewodnik, wskazując marmurową urnę zwaną powszechnie grobem Hamleta, zwykł był rozczarowywać turystów cierpką ironią: „Oto jedyne miejsce na świecie, co do którego jesteście pewni, że nie spoczywają w nim szczątki księcia duńskiego...”. Wystarczy.

## Piątek

Z podejmowanych przez życie całe wędrówek do początków Zbigniew Herbert nigdy nie przywiózł ani jednego kamyka. Żeby choć garść marmurowego żwiru, choć łupinka ze ściany gotyckiej, okruh najlichszej greckiej rzeźby, czerwone szkiełko z witraża, strzęp papirusu, gałązka z tysiącletniego drzewa oliwnego lub niechby tylko odpustowa kępka sierści osła, co na zboczu Dikte śpie-

*Wesele* jest polskie, z Polski, o Polsce, dla Polski. Tak. Ale jest przecież także, a raczej przede wszystkim – *Weselem*. Sztuką teatralną, czyli – sztuką.

wał, jak zwykle potwornie fałszując, do księżycy, kiedy wysoko w grocie rodził się Zeus (o ile rzeczywiście stało się to w nocy)! Żeby cokolwiek! A tu – nic. Nigdy nic, zawsze puste kieszenie. Żadnej zdobyczy. Żadnego kamyka stamtąd, aby go po powrocie wstawić w ówczesną Polskę, w nadwiślańskie rytmy, kolory, myśli, bóle, radości i troski, wstawić i zobaczyć, jak się kamyk sprawdzi lub nie sprawdzi, jak zabrzmiał bądź zmilczy, jak się odnajdzie lub szejnie. W studium o arcydziele Williama Szekspira Stanisław Wyspiański rzekł, iż *Hamlet* zawsze jest o tym, co jest w Polsce do myślenia. Herbert nigdy nie zwoził karraryjskiego gruzu, by dowieść rodakom, że gruz jest o tym samym co *Hamlet*. Powiedział o tamtym słońcu, o tamtym marmurze w tamtym słońcu: Grecy malowali kamienie, aby nie oślepnąć. Po cóż taki kamyk wieść do krainy, gdzie przez pół roku słońce jest niczym mdlejący ogarek? Herbert jeździł do źródeł, aby niczego tam nie dotykać, niczego nie przestawiać, nie dekomponować, w niczym nie gmerać, niczego nie wywozić. Jeździł, aby posłuchać opowieści w oryginalnie nietkniętym. Dotknęty, co nieuchronnie, jedynie przez masę czasu, nigdy przez niego, Herberta, chwilowego jak wszyscy.

#### Sobota

120 lat właśnie minęło od prapremiery *Wesela*, od wieczoru 16 marca, wieczoru dziś już legendarnego. A kiedy, przed czy po prapremierze, Wyspiański tworzył szkice przebudowy wawelskiego wzgórze – na obraz i podobieństwo wzgórze w Atenach? Kiedy w bezdennej swojej wyobraźni – przenosił głazy z Akropolu do Polski, nad zakole Wisły, pod katedrę pełną koronowanych widm, w cień dzwonu Zygmunta? Rzecz jasna – nie szło o obraz fizyczny, o podobieństwo kształtów, form architektonicznych, o bliźniaczość kolumn. Szło o echo potęgi, o przeniesienie kamyka tyleż realnego, ile mitologicznego. O nieśmiertelność po prostu, tyle że już przemienioną w nieśmiertelność polską. Kiedy to było? Jak daleko, jak blisko od pierwszego w świecie *Wesela*? Jedno pewne – w roku 1956 Herbert wydaje tom *Struna światła*, w nim wiersz *Wawel*. „A tu ceglany śmieszny zgiełk / królewskie jabłko renesansu / na austriackich koszar tle”. Tak Herbert mówi o zamku. A pierwsze

dwa wersy – inwokacja do Wawelu – dotyczą sedna mitycznej przebudowy, łowią istotę architektonicznego snu Wyspiańskiego. „Patriotyczną kataraktę na oczach miał ten / co cię zrównał z gmachem marmurów”.

#### Niedziela

Patriotyczna katarakta to jest nad Wisłą katarakta wieczna i wszędobylska. Zostańmy tylko przy teatrze. Czy w scenicznej literaturze, tej wielkiej literaturze, od Sofoklesa zaczynając, przez Czechowa przechodząc i, powiedzmy, na Becketcie kończąc, jest choć jedna opowieść, która w dziewięciu realizacjach na realizacji dziesięć nie przemieniłaby się na polskiej scenie – z baśni o losie jako takim, w gwałtownie świeżą publicystykę o Polsce aktualnej? Ile razy wspomniany *Hamlet* był w Polsce wyłącznie o tym, co było w danej chwili w Polsce do myślenia? Dokładnie tyle razy, ile razy wystawiono *Hamleta*, gdyż tyle razy właśnie przeniesiono kamyk wydłubany z murów Elsinoru – nad Wisłę. A co z *Weselem*? Jeśli o przenoszeniu kamieni mowa, czy rzeczywiście nie ma o czym mówić na kanwie *Wesela*, bowiem jest to sztuka arcy polska przecież, wprost z Polski garściami wyjęta, z Bronowic Małych pod Krakowem, z realnych ludzi utkana – bo ci, co na scenie się zjawiają do dziś, na realnym weselisku Rydla tańczyli – i na wieki wieków o Polsce traktuje?

#### Wtorek

Zmarnowane życie Hersza Singera – to był pierwszy efekt działania patriotycznej katarakty Polaków przy teatralnym arcydziele Wyspiańskiego. Wspomniane życie, tę równię pochyłą, od dnia prapremiery gwałtownie pochyłą, Roman Brandstaetter smacznie sportretował w powiastce *Ja jestem Żyd z Wesela*. Nieszczęsny Singer, karczmarz z Bronowic Małych, co rzeczony weselisko w pokarmy i gorzałę zaopatrzył obficie! Uwierzył, że ten tam na scenie Żyd, co łązi i z Dziadem gada – to on sam, we własnej osobie Singer! Uwierzył święcie, iż Wyspiański o nim i tylko o nim pisał, kiedy tworzył postać Żyda! To znać – przenosił kamyk Singer! Mocą swej małej katarakty patriotyzmu rodzinnego, zupełnie prywatnego – przenosił scenicznego Żyda do własnego życia! Nie tylko on. Wszyscy, na kanwie własnych większych lub mniejszych katarakt patriotyzmu, mocniej bądź słabiej osobistego, po prapremierze przenosić zaczęli *Wesele* całe ze sceny – do rzeczywistości swojej. Córka Singera (u Wyspiańskiego – poetyczna Rachel) rozpiła się wśród krakowskiej bohemy przy stolikach Jamy Michalika. Karczma upadała, bo przestała być karczmą,

jak Jahwe przykazał, zmieniła się w atrakcję turystyczną, w dekorację długich imprez, na których córka Singera potajemnie rozlewała gościom przybyłym z Krakowa wódkę za darmo. Żona coraz intensywniej oddalała się od żydowskich tradycji, żydowskiej wiary, żydowskich odwiecznych reguł życia codziennego i coraz intensywniej, coraz otwarciej myślała o chwili, kiedy wreszcie się przechrzci wraz z córką, która nie tylko była, ale przecież jest Rachelą... Zaiste, dla tak jak Singer porządnego Żyda – to równia śmiertelnie pochyła. Co mógł zrobić? Przyjąć samotność. Sprawa rozwodowa, opuszczenie karczmy, zostawienie Bronowic, droga na krakowski Kazimierz, marsz bez oglądania się za siebie, a na Kazimierzu – marny przytułek. Tu – dni nad otwartym Pismem Świętym, coraz więcej milczenia. Czekanie. Czekanie na moment, od którego nie będzie już myślał o tym, jak powiada u Brandstaettera, małym, rudym, bladym, który w noc wesela Rydla całą noc stał oparty o framugę drzwi izby tanecznej i nic, tylko patrzył potwornie, a później kilkoma ruchami pióra zabił nieszczęsnego Hersza Singera, uśmiercił, zostawiając mu łaskawie do przeżycia kilkanaście lat pustych zupełnie, lat o niczym, lat po nic.

#### Czwartek

Gdyby tak z okazji wielkiego jubileuszu prapremiery *Wesela* każdą z późniejszych polskich premier spersonifikować jak Ezop zwierzęta, z każdej zrobić postać, kobietę lub mężczyznę – cóż to byłaby za menażeria patriotyczna! Wszystkie twarze katarakty – tak bym nazwał gromadę *Wesel*, które, podobnie jak w dniu prapremiery, przez lat 120 zeszły z polskich scen, a raczej zostały z nich przeniesione i w rzeczywistość polską wstawione jako Nauka, Przestroga, Prawda, Kara lub Wiara. Jako parząca publicystyka na temat szalenie ważny w danej polskiej chwili dziejowej.

#### Piątek

Trzeba powtórzyć: *Wesele* jest polskie, z Polski, o Polsce, dla Polski. Tak. Ale jest przecież także, a raczej przede wszystkim – *Weselem*. Sztuką teatralną, czyli – sztuką. Studwudziesięcioletnim kamykiem scenicznym. Nie bez przyczyny Witkacy i Tadeusz Kantor pokornie wielbili artystyczną maestrię Wyspiańskiego, a nie liczne wcielenia jego patriotycznej katarakty. 120 lat, setki twarzy *Wesela*, twarzy o minach bitnych, ironicznych, krzepiących bądź karcących, a wszystkie – daleko od sceny, na ulicach, placach. Może już wystarczy tej troskliwości społecznej? Może by tak spróbować pójść do tekstu Wyspiańskiego

120 lat, setki twarzy *Wesela*, twarzy o minach bitnych, ironicznych, krzepiących bądź karcących, a wszystkie – daleko od sceny, na ulicach, placach. Może już wystarczy tej troskliwości społecznej? Może by tak spróbować pójść do tekstu Wyspiańskiego po to tylko, aby niczego w nim nie ruszać? Może by zwrócić *Wesele* scenie i zostać tam z nim nie na warunkach ulicy, a na warunkach sztuki? Może czas dotykać słowa, łowić zapach zdań?

go po to tylko, aby niczego w nim nie ruszać, nie przestawiać, nie przenosić dokądś, i aby żadnego słowa, zdania do niczego, poza byciem częstką niepowtarzalnej intonacji, nie nakłaniać? Może by zwrócić *Wesele* scenie i zostać tam z nim nie na warunkach ulicy, a na warunkach sztuki, tego kamyka, co tylko w teatrze jest u siebie? Może czas dotykać słowa, łowić zapach zdań?

#### Niedziela

W szkicu o księciu Hamlecie Herbert dzieli się wielkim odkryciem. Pojął, że Elsinor to bezimienna przestrzeń, płaski stół, na który los rzuca kości. Tak, Elsinor to płaski jak scena teatralna blat, a nie Elsinor do odszukania w Danii. W Sunion wtyka nos w kolumnę, aby złowić jej zapach. Oddycha długo, cierpliwie. Nie czuje nic. Odchodzi, zostawiając w spokoju wszystkie kamyki świątyni. Znika delikatnie, pokornie, lecz już wie: przyjadę tu kiedyś w porze deszczu, kiedy kamienie się pocą, i wtedy odkryję zapach marmuru. Jedzie dalej, do Paestum. Tam oducza się pośpiechu i czyta palcami jak ociemniali. Bo trzeba całego dnia, by zrozumieć życie kamieni w słońcu, ich przemiany zależne od pory dnia i roku. Rankiem wapień jest w odcieniu myszy, w południe przypomina miód, o zachodzie słońca zaś – płomienie. A teraz należy zaufać palcom. Dotyka kamieni – czuje ciepło ciała człowieka. Mówi sobie: jak dreszcz przebiegają po nim zielone jaszczurki. Odchodzi. Jak zawsze – zostawia wszystko tak, jak było. I takie, jakie było.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

# Piękna przygoda w moim Krakowie

Tekst: Edward Juszczyk Zdjęcie: archiwum rodzinne

**Ładny był maj tego roku 1939. Wstawałem bardzo wcześnie. Wychodziłem na Planty – dość blisko domu. Siadałem na odległej od alejki ławeczce i czytałem co trudniejsze wykłady.**

Planty o tej porze były pustawe. Emerycy jeszcze nie nadeszli, by karmić wiewiórki. Głodne, zawsze kręciły się obok. Zabierałem ze sobą kilka orzeszków. Początkowo nieufnie przysiadały na alejce. Z czasem siadały mi na ramieniu. Pełno ich było na krakowskich Plantach.

Kraków o wczesnym poranku jest lekko zamglony; opary mgielne znad Wisły unoszą się wszędzie. Szczebotały zięby i śmiały pomiędzy gałęziami zawsze zapracowane sikorki. Złociły się mleczce, a starannie utrzymane klomby barwiły się różnorodnymi w kolorach i kształtach tulipanami. Na trawnik spadały krople rosy z rozcz-

Trudno dokonać wyboru między martwymi murami a zielenią. Zwyciężyło życie – zieleni, kwiaty, radosny śpiew ptaków i figlarne skoki puszystych wiewiórek. W środku szarego miasta – tyle zieleni i radości.

## Skąd w Krakowie?

Byłem nauczycielem wiejskim w Olesznie w powiecie włoszczowskim. Władze oświatowe, chcąc mieć dobrze przygotowane kadry kierownicze, utworzyły roczne cykle kształcenia nauczycieli o nazwie Wyższe Kursy Nauczycielskie (WKN), dla stosunkowo wąskiej grupy – około 500 osób z całej Polski.

Siedziby uczelni były tylko w miastach uniwersyteckich, a wykładowcami – profesorowie uniwersytetu lub innych wyższych uczelni. Całoroczna opłata wynosiła 1300 zł. Pensja nauczyciela za ten okres – 1600 zł. Oprócz tego należało ponieść wydatki około 1000 zł: sama stancja z wyżywieniem kosztowała 65 zł miesięcznie. Łącznie studia na WKN kosztowały 2300 zł, przeszło czternastomiesięczne moje pobory (tyle kosztował nowy samochód Fiat).

Większość nauczycieli była pierwszym pokoleniem inteligenckim, ze wsi lub proletariatu miejskiego. Dla ówczesnego pokolenia młodzieży chłopskiej były dwie drogi awansu społecznego – zawód księdza lub nauczyciela. Pierwszy przynosił profity materialne i zaszczyt w wiejskiej społeczności. Nauczyciel liczył się mniej.

Przed wojną na studia na wyższej uczelni nie było egzaminu wstępnego. Wystarczało świadectwo maturalne. Wyjątek stanowiła medycyna; tam liczba miejsc była ograniczona. Były to najdroższe i najdłuższe studia. Trwały pełne sześć lat. Większość studentów miała poważne troski finansowe. Po inauguracji roku akademickiego i spędzeniu kilku tygodni w Krakowie podejmowali pracę, często w swoich rodzinnych miastach, przyjeżdżając na czas sesji egzaminacyjnej. Indeksy do zaliczeń przedkładali koledzy studiujący i regularnie uczęszczający na zajęcia. Szczególnie duży był odsiew na prawie. Każdy egzamin był płatny w wysokości 5 zł. Roczne chesne było wysokie; najwyższe na medycynie – około 600 zł (kwartalna pensja nauczycielska lub wartość czterech krów).

Rano Kraków pachniał kawą. Ten zapach rozprzestrzenił się po całym śródmieściu, zwłaszcza gdy lekki wiaterek zawiewał od południowego wschodu. W nocy na Kazimierzu palono kawę w licznych tu żydowskich palarniach. Kraków miał zawsze w kawiarniach dobrą kawę, bo ze świeżego „upału”.

pierzonych pięciopalczastych liści kasztanów z biało-różowymi świeczkami kwiatów.

Zastanawiałem się, czy mieli rację miejscy rajcowie, decydując o wyburzeniu murów obronnych, a na ich miejscu zasadzeniu drzew i stworzeniu tyle radosnej zieleni. Olbrzymi, okalający całe śródmieście park – wypełniony śpiewem ptaków i świeżością zieleni dającej ożywcze powietrze.

Czy może lepiej było zostawić obwarowane murami miasto jak Carcassonne czy śląski Paczków? Krakowianie pozostawili jednak od północy część murów z Barbakanem, Bramą Floriańską oraz trzema basztami. Głównym obrońcą krakowskich murów był Jan Matejko. Obraził się na miasto, gdy wyburzono ich pozostałą część w rejonie placu św. Ducha – w pobliżu Teatru im. Juliusza Słowackiego. Odesłał miejskiej radzie berło, które mu wręczono jako królowi ducha – po serii patriotycznych obrazów z naszej historii.



Autor w dzień wyjazdu do jednostki 7. Pułku Ułanów Lubelskich w Mińsku Mazowieckim po wezwaniu mobilizacyjnym w 1939 roku – wraz z żoną Zofią z d. Drygas i ponadrocznym synkiem Jackiem

**Edward Juszczyk** (1909–2003), urodził się w Szczecnie k. Kielc, gdzie ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie im. Stefana Żeromskiego (matura w roku 1930). W latach 1930–1931 odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Uczył w szkołach powszechnych, między innymi w Górach Świętokrzyskich. Na przełomie lat 1938/1939 studiował w Krakowie na Państwowym Wyższym Kursie Nauczycielskim. Uczestniczył w kampanii wrześniowej (odznaczony Krzyżem Walecznych) jako podporucznik 7. Pułku Ułanów im. Kazimierza Sosnkowskiego. W końcu września 1939 roku zbiegł z niewoli niemieckiej. Lata wojny,

ukrywając się przed gestapo, spędził, pracując jako robotnik. Prowadził tajne nauczanie. Był członkiem Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej (pseudonim „Brzeski”). W latach 1945–1975 był dyrektorem Szkoły Podstawowej w Sobótce (powiat Ostrów Wielkopolski), gdzie kreował różne formy życia społecznego i kulturalnego (między innymi teatr amatorski). W latach 1956–1961 studiował historię na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, studia ukończył z tytułem magistra. Już na emeryturze uczył historii w liceach ogólnokształcących w Ostrowie Wielkopolskim i Odolanowie (łącznie pracował w szkolnictwie 56 lat).

Przeciętny zarobek niewykwalifikowanego robotnika wynosił około 100 zł. Na medycynie studentów pochodzenia robotniczego ani chłopskiego prawie nie było.

„Bratniak” był samopomocową organizacją studencką; należeli do niej wszyscy studenci. Składki dawały znaczną kwotę umożliwiającą naukę niezamożnej młodzieży. Prowadził domy akademickie i tanie stołówki (najtańszy obiad: dobra zupa i nieograniczona ilość chleba). Pośredniczył także w wyszukiwaniu korepetycji czy innych płatnych zajęć. Częstym źródłem zarobkowania było wynoszenie walizek z pociągu.

„Legitymacją” studencką była czapka akademicka o kroju rogatywki (rzadziej wielokątne) z barwami danej uczelni; Uniwersytet Jagielloński miał jasnogrnatową.

Studenci Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie dla zarobku wystawiali pod gołym niebem obrazy przy murze obronnym między Bramą Floriańską a basztą Szmuklerzy.

Niektórzy krakowianie, zwłaszcza lekarze i adwokaci, mieli spore kolekcje tych dzieł w przekonaniu, że dzisiejsi studenci będą w przyszłości cenionymi i poszukiwanymi malarzami.

Na studiach medycznych zapalną sprawą był ostry spór o brak w prosektoriach żydowskich zwłok. Studenci żądali tak zwanego *numerus clausus*, to jest ustalenia proporcji studentów obu narodowości w zależności od procentowego składu słuchaczy. Pod wpływem młodzieży nacjonalistycznej tworzono na wykładach getto ławkowe; żądano od studentów Żydów, aby zajmowali wydzielone części sali. Na niektórych uniwersytetach dochodziło do aktów antysemitycznej agresji.

### Początki i dalsze ciągi

Wybrałem kierunek humanistyczny – język polski i historia. Na 150 kandydatów przyjęto 50 osób. Nauka rozpoczęła się 1 września 1938 roku. Usiadłem przy stoliku z Frankiem Bętkowskim, który zginie w 1944 roku pod Monte Cassino, w pierwszych godzinach walki, jako dowódca kompanii.

Poznaliśmy naszych profesorów. Kilka słów o niektórych. Znakomicie wykładał gramatykę profesor Jaworek – językoznawca, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Niektóre osoby wybrały oryginalne tematy pracy dyplomowej, na przykład: *Ojciec nasz – we wszystkich fazach językowych od średniowiecza do czasów współczesnych*, *Nazwiska moich uczniów*, *Język mojego domu i mojej rodziny*. (...)

Profesor Szczygieł wpajał nam subtelności kultury muzycznej. Utworzył z nas czterogłosowy chór mieszany. Wtedy wszyscy nauczyciele dobrze znali nuty, mieli doświadczenie w śpiewie i grze na skrzypcach zdobyte w seminarium nauczycielskim. Nauczyciel w szkole powszechnej musiał umieć uczyć każdego przedmiotu. Mnie szczególnie

nie podobała się piosenka *Jedzie w las ułan...* (koledzy dodawali „nasz Edzio”). Wszyscy koledzy byli podporucznikami piechoty.

W Polskim Radio (ul. Helcłów, w pobliżu ul. Montelupich) pierwszy występ naszego chóru trwał pół godziny; zakontraktowano nas na dalsze występy. Dość wysokie honorarium przeznaczyliśmy na abonament biletów teatralnych w Teatrze im. Juliusza Słowackiego (miejsca w 1. rzędzie). (...)

### Krakowskie szkoły

W drugim trymestrze rozpoczęliśmy prowadzenie lekcji z wybranych przedmiotów: języka polskiego lub historii. Nie był to dla nas nauczycieli żaden problem. Każdy z nas musiał przeprowadzić lekcję w dowolnie wybranej szkole. Trzeba było nawiązać kontakt z dyrektorem szkoły – tak wtedy w Krakowie mówiło się do kierownika szkoły podstawowej. Oficjalnie tytuł dyrektora szkoły przysługiwał tylko kierującą szkołą średnią (gimnazjum, liceum). Krakowskie „publiczne szkoły powszechne” – tak brzmiała oficjalna nazwa dzisiejszych „szkół podstawowych” – mieściły się w starych, a nawet bardzo starych budynkach. W Krakowie po pierwszej wojnie światowej nie wybudowano ani jednej szkoły zarówno powszechnej, jak i średniej, a potrzeby – ogromne. W klasie bywało po czterdziestu uczniów. Kilka szkół mieściło się w barakach wybudowanych w czasie I wojny światowej na potrzeby wojska. Przez środek baraku ciągnął się korytarz, a po obu jego stronach rozmieszczone były klasy. Ciekawostką dla nas, z innych stron Polski, były gazetki ściennie. Tego rodzaju „pomocy naukowej” nie stosowano w naszych szkołach. Powiewały źle przypięte kartki, trzymające się na jednej lub dwu pinezkach. Nie widziałem, żeby który z uczniów je czytał. Nie wiedziałem również, że po II wojnie zawleczone zostaną do naszych szkół. Przynieśli je Sowieci. U nich powstały w czasie rewolucji. Trzeba było przekazać informacje robotnikom-analfabetom. Wywieszano zatem kartki na tablicy, a „człowiek gramotny” czytał głośno „dla wsiach”. Skąd to się wzięło w Krakowie, już w tym czasie, nie mam pojęcia. Nie cierpiałem „gazetek ściennych”, choć po wojnie musiałem je mieć w szkole.

Nasze koleżanki najchętniej brały do prowadzenia lekcje w prywatnej szkole powszechnej dla dzieci żydowskich. Szkół tych było kilka. Utworzone zostały i były utrzymywane przez najzamożniejszych Żydów: lekarzy, profesorów, adwokatów, bogatych kupców. Opłaty w szkole były wysokie. Warunki nauki – bardzo dobre. Klasy liczące nie więcej niż 20 uczniów lub 20 uczennic; nie było koedukacji. W pracowniach fizyki i chemii dużo najnowszych pomocy naukowych, poza tym – bardzo bogata biblioteka. Dzięki o wiele wyższym pensjom niż w szkołach



państwowych zapewniano dobór bardzo dobrych nauczycieli.

Nie podjąłem lekcji w żadnej z tych szkół. Wolałem czynić to w trudniejszych warunkach. Wybrałem szkołę leżącą przy placu Matejki. Była to przeciętna szkoła powszechna, jak w każdym mieście. Chodziły tu dzieci robotników, drobnych kupców, rzemieślników i niższych urzędników państwowych. W ekskluzywnej szkole żydowskiej dzieci mówiły doskonałą polszczyzną, aż nazbyt literacką, co robiło wrażenie pewnej sztuczności. Wolałem mieć lekcje z dziećmi mówiącymi często chropowatym językiem, mającymi trudności w wyrażaniu myśli, a często kłopoty z budową zdań. Tu trzeba było pokazać, czym jest trud nauczania.

### Wokół teatru

Chodziłem do teatru na wszystkie spektakle. Teatr im. Juliusza Słowackiego miał bardzo dobrą obsadę aktorską: Jaroszevska, Jabłonowska, Wysocka, Fabisiak. Przyszli z Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu pod dyrekcją Iwo Galla; była to wylęgarnia talentów. W Krakowie, obok klasyki, grywano modne i „kasowe” sztuki, na przykład *Dlaczego zaraz tragedia* – zabawną komedię, zdaje się węgierskiego autora. Doskonale zagrana była *Balladyna* (Jaroszevska i Jabłonowska).

Aktorzy grali we własnych ubraniach, wyjąwszy sztuki klasyczne. Było to kosztowne; zarobki aktorów nie były bardzo wysokie. Poradzono sobie z tą sprawą. Znane firmy krawieckie i damskie domy mody dostarczały aktorkom stroje. Nie był to gest bezinteresowny. Na afiszach spektakli wymieniano nazwy i adresy tych firm.

Pamiętam, że szczególnie podobały się: *Niespodzianka* – Huberta Rostworowskiego (premiera), *Zaczarowane koło* – Lucjana Rydla, *Obrona Ksantypy* – Huberta Rostworowskiego (premiera). Choć sfery kościelno-klerykalnego Krakowa mocno się krzywiły, to jednak długo grano *Kłatwę* Stanisława Wyspiańskiego. Bardzo modna stała się wówczas sztuka *Gałzka rozmarynu* – Zygmunta Nowakowskiego (aktor, znany felietonista „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”). Była to legenda Legionów Józefa Piłsudskiego przedstawiająca losy młodych oficerów legionowych. Na premierę przyszedł jeden z bohaterów tej sztuki, ksiądz, który był w tym czasie przy kompanii kadrowej.

Akcja dzieje się częściowo w bliskich mi Kielcach i w okopach nad Nidą. Gdy jeden z legionowych oficerów nie wraca długo z nocnego patrolu, wśród zebranych w chacie jego kolegów panuje zrozumiałe przygnębienie; ksiądz kapelan wygłasza taką kwestię: „Jego może tylko cud uratować, ale ja w cuda nie wierzę”. Kwestia ta rozbiła publiczność i skonfundowała księdza kapelana siedzącego na premierze w łoży.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego, w Krakowie wszyscy się przecież znają, ale księdza to też bawiło. *Gałzka rozmarynu* grana potem była we wszystkich polskich teatrach, a szczególnie 11 listopada, w dniu święta państwowego – odzyskania niepodległości.

Zygmunt Nowakowski napisał dalszy ciąg tej sztuki, tak bardzo cenionej przez ówczesne władze wywodzące się przecież z Legionów; tytuł tej sztuki brzmiał *Babie lato*, a zaczynała się kwestią wypowiedaną przez już starszych panów – pułkowników, wojewodów, ministrów, którzy kiedyś żyli romantycznie, górnice i chmurnie: „Powróćmy do pierwszych żon...”. Dużo było w tej sztuce ironii i sarkazmu z rozmienionego na drobne

W Krakowie, szczególnie w okolicach Rynku Głównego, były sławne winiarnie. Mieściły się w piwnicach, często w tych samych od czasów średniowiecza. Na zewnątrz oznaczane były żelaznymi, sporych rozmiarów krzyżami na wysuniętym nad chodnik żelaznym pręcie. Stąd popularna nazwa „Pod Krzyżykiem”.

legionowego etosu. Sztuka ta nigdy nie weszła na deski sceniczne. Cenzura kategorycznie zabraniała wystawiania jej na naszych scenach. (...)

### Małe i duże biblioteki

Książki do pracy dyplomowej pożyczałem w małych bibliotekach żydowskich w rejonie ulicy św. Jana; były tam także liczne antykwariaty. Płaciłem złotówkę miesięcznie. Można było dostać książki niemal nazajutrz po ukazaniu się. Przynosiło to znaczne zyski właścicielom, stale powiększającym księgozbiór. Poważne opracowania to już była tylko Biblioteka Jagiellońska w Collegium Maius. Wyjątkowo tylko wypożyczano książki do domu. Rozpiętość tytułów w czytelnicy czasopiśm była od skrajnie prawicowej „Myśli Narodowej” po lewicowego (komunistycznego) dwutygodnika „Lewary”, już od dwóch lat archiwalnego. Wyważone sądy wyrażał w Krakowie jezuicki miesięcznik „Przegląd Powszechny”. Doskonałe były teksty literackie i krytyczne omówienia w warszawskich „Wiadomościach Literackich” Grydzewskiego. Tygodnik „Pion” reprezentował „Ozon”, organizację polegionowej polityki rządowej. W „Jagiellonce” siedzieliśmy codziennie, z wyjątkiem sobót, od trzeciej do szóstej po południu. (...)

### W krakowskich knajpkach

Gdy już zapadał zmrok, wybieraliśmy się do różnych lokali. W Krakowie, szczególnie

w okolicach Rynku Głównego, były sławne winiarnie. Mieściły się w piwnicach, często w tych samych od czasów średniowiecza. Na zewnątrz oznaczane były żelaznymi, sporych rozmiarów krzyżami na wysuniętym nad chodnik żelaznym pręcie. Stąd popularna nazwa „Pod Krzyżykiem”. Wewnątrz stały dębowe stoły na krzyżykach. Takie były również ławy. Stoły, starannie wyszorowane do surowego drewna, lśniły czystością i strukturą dębowych słoju. Wino zamawiało się w dzbanku, a piło dość ciężkimi kubkami. Najczęściej zamawialiśmy czerwone wino węgierskie. Podawano także wino grzane zaprawione jakimiś aromatami zielarskimi. Do przegryzienia służyły precle, to jest małe, w kształcie ósemki wykrojone obarżanki. W winiarniach zawsze było gwarno i nastrojowo. Sklepienia piwniczne o gotyckim porządku tworzyły atmosferę.

Specjalnością Krakowa w tych czasach były również miodosytnie. Bardzo lubili-

Kraków po godzinie dziesiątej wieczorem pustoszał dokładnie. Krakowscy „centusie” starali się być przed godziną dziesiątą w domu, żeby nie płacić tak zwanej szpery. Była to opłata w wysokości 20 gr za otwarcie bramy, która prowadziła do kamienicy.

śmy chodzić do Słowiańskiej Pasieki. Mieściła się w pobliżu Małego Rynku – poza kościołem Mariackim, a na zapleczu kościoła św. Barbary, który jest starszy od kościoła Mariackiego i był świątynią mieszczaństwa polskiego. Jest bardzo ubogi w porównaniu z monumentalizmem Mariackiego, budowanego przez bogatsze niemieckie mieszczaństwo Krakowa. Do Pasieki prowadziły od ulicy, a była oddalona od chodnika, nanizane na nitki płócienne pszczołki. Był to lokal na pogodne, ciepłe dni, typu ogródkowego. Przy wejściu witał gości gospodarz – szlachcic w kontuszu, opasany pasem słuickim i przy karabeli – taki krakowski Zagłoba. Kelnerki ubrane były również jak szlachcianki. W błękitnych kubraczkach obszytych białym futerkiem tworzyły atmosferę tego lokalu. A że dziewczęta były ładne i miłe, w Pasiece zawsze pełno było gości. Tu także podawano bardzo dobry miód pitny. Dobrze podgrzany, pachnący ziołowymi przyprawami, smakował przednio.

Po końcowych egzaminach „nasza piątka” postanowiła urządzić sobie pożegnanie w lokalu Pod Obrazem (róg Grodzkiej i Rynku). Rozbawieni wkraczamy do holu. A tu niespodzianka. Portier w liberii kategorycznie odmawia nam wejścia. Rozpoczęła się głośna, słowna awantura. Usłyszał to właściciel lokalu pan Wentzel, przybiegł drobnym truch-

kiem, nienagannie ubrany w smoking. Portier tłumaczył, że nie może wpuścić „tych panów”, bo są nieodpowiednio ubrani; goście w tym lokalu bywają tylko w ciemnych garniturach. My byliśmy ubrani na sportowo. Kiedy właściciel lokalu dowiedział się, że właśnie skończyliśmy studia i w jego lokalu chcemy urządzić pożegnalny obiad, przeprosił nas i odprowadził do wolnego stolika. A po chwili na naszym stoliku pojawiła się karafeczka i kieliszki. Gospodarz wznosił toast za szczęśliwe ukończenie studiów. Z karty do dziś zapamiętałem znakomitą zupę rakową z koperkiem.

Na Rynku Głównym konkurowały ostro ze sobą duże firmowe piwiarnie – Żywiec i Okocim. Tu wystrój wnętrza był też oryginalny. Część umeblowania stanowiły duże beczki, na których stawiano kufle, a siadało się na specjalnie przygotowanych antałkach, to jest małych beczułkach.

(...) Wybraliśmy się na ul. Wiślną. Na piętrze była dobra żydowska restauracja. Nie była nigdzie reklamowana, a miała mnóstwo klientów, bywalców i znawców smacznego jedzenia. Specjalnością lokalu był rosół z kur, tak przynajmniej się nazywał – była to zapewne mieszanka drobiowego rosółu: z kury, indyczki i perliczki. No, ale ten rosółek rzeczywiście był dobry. Zamówiliśmy też gęś po żydowsku. Bardzo dobrze wypieczoną, z brązową chrupką skórką. Do tego wzięliśmy karafkę pejsachówki. Była to mocna, 70-procentowa wódka, chętnie spożywana przez Żydów, o specjalnej technologii produkcji i rytuale związanym z jej kosztowną produkcją. Lokal, choć na piętrze, pełen był gości. Przeważali starsi panowie. Nasz „młodzieżowy” stolik budził trochę zdumienie.

Po spałaszowaniu tego wieczorowego obiadu poszliśmy na kawę do Hawełki. Kawa była jedną ze specjalności tego lokalu, nazywanego w Krakowie „handel śniadaniowy”. Wpadliśmy na zakończenie do Baru Żywieckiego na dobrze schłodzone piwo. Ciekawie spędzony wieczór bardzo nas rozochocił. Przywołaliśmy dorożkę. Było już dobrze po dziesiątej, a może nawet zbliżał się hejnał na jedenastą. Kraków po godzinie dziesiątej pustoszał dokładnie. Krakowscy „centusie” starali się być przed godziną dziesiątą w domu, żeby nie płacić tak zwanej szpery. Była to opłata w wysokości 20 groszy za otwarcie bramy, która prowadziła do kamienicy. Ten groszowy dochód był jednak jakąś pozycją finansową dla nędznie opłacanego dozorczy, toteż starał się zamknąć bramy nawet kilka minut wcześniej.

Objechaliśmy kilka razy Rynek, aż zdziwiony dorożkarz w meloniku zaczął pytać: „Dokąd zawieźć szanownych panów?”. Po kilku okrążeniach, stępem i truchcikiem, zatrzymaliśmy naszego woźnicę. Otrzymał zapłatę za ten krótki kurs, jakby nas odwiózł do Pogórza, a może jeszcze dalej. Pod pomni-

kiem Adama Mickiewicza wyrecytowaliśmy inwokację „Litwo, ojczyzno moja...”, a na do-  
datek, nie wiem dlaczego, także *Świtezę*. Jesz-  
cze raz okrążymy Rynek, tym razem pieszo.  
Idziemy „gęsiego”. Józio Sadowski zaczął  
śpiewać znaną, melodyjną piosenkę *Od Kra-  
kowa jedzie fura*, a potem również żołnierską  
piosenkę *Miała baba koguta, koguta...* Ładnie  
nam się śpiewało. Nagle skądś wyskoczył  
policjant z białą pałą.

- Ja wam tu dam koguta! - wrzasnął.

Na przodzie szedł Edek Fura i do niego  
skierował się rozszoszczony policjant. Na-  
gle stało się coś ciekawego. Policjant zasa-  
lutował do swej okrągłej, z wielkim dasz-  
kiem czapy.

- Bardzo przepraszam, panie poruczniku,  
w ciemności nie poznałem - zameldował.

- Nie szkodzi, kapralu - odezwał się Edek. -  
Dobrze pełnicie służbę, jak u nas w kompanii.

Był to kiedyś dowódca drużyny w plutonie  
17. Pułku Piechoty, którym Edzio dowodził  
w czasie pułkowych praktyk. Pogadaliśmy  
po przyjacielsku z bardzo sympatycznym  
policjantem. (...)

Jednego marcowego dnia wybraliśmy się  
do restauracji przy ulicy św. Jana. Okazało  
się, że sala oświetlona jest w pełni, gości nie  
ma, a kelnerzy siedzą przy stolikach. Nie mo-  
gliśmy być obsłużeni, bo lokal miał żałobę;  
zmarł papież Pius XI i wydano zakaz obsłu-  
giwania gości (na bodajże trzy dni zamknięto  
także teatry i nieczynne były kina).

### Na Kazimierzu

Rano Kraków pachniał kawą. Ten zapach  
rozprzestrzenił się po całym śródmieściu,  
zwłaszcza gdy lekki wiaterek zawiewał od  
południowego wschodu. W nocy na Kazimie-  
rze palono kawę w licznych tu żydowskich  
palarniach. Kraków miał zawsze w kawiar-  
niach dobrą kawę, bo ze świeżego „upału”.

Specyfiką Krakowa, nieznaną w naszych  
innych miastach, były pieczone kasztany. Na  
Rynku, na małych straganach, pieczono na  
blaszanych naczyniach, na żarzących się wę-  
gielkach drzewnych, kształtem zbliżone do  
trójkąta - dorodne kasztany. Gorące - stąd  
pewnie wyciągać kasztany z ognia” - mają  
smak przypominający nieco pieczone ziem-  
niaki, ale bez ich mączystości.

Kazimierz lat trzydziestych był najbied-  
niejszą dzielnicą Krakowa. Na ulicach snuli  
się Żydzi w czarnych chałatach i jarmułkach.  
Widowało się bardzo wielu chasydów ubra-  
nych w swe typowe szaty, w białych pończo-  
kach, z włosami na skroniach skręconymi  
w długie korkociągi zwane pejsami. Żydzi  
nosili długie brody, siwe u starców. Cza-  
sem przewinął się, zawsze otoczony grup-  
ką hałaśliwych wiernych, rabin w czarnej,  
błyszczącej jedwabnej szacie, w potężnym  
lisim kołpaku na głowie. Wszystkie skle-  
py, warsztaty i magazyny były żydowskie.  
Między swoimi żyło im się dobrze. Polacy

na Kazimierzu mieszkali wyjątkowo. Żydzi  
należący do elity intelektualnej Krakowa nie  
mieszkali w tej dzielnicy. Żydowska inteli-  
gencja mieszkała w dobrze utrzymanych ka-  
mienicach w centrum miasta. (...)

### Nasza piątka

Od początku do końca studiów mieszkali-  
śmy w pięciu u pani Kaczyńskiej, wdowie po  
lekarzu, przy ul. Słowiańskiej 2 m. 3. Jest to  
bardzo krótka ulica - łącząca ul. Łobzowską  
z ul. Długą; nasz gościnny dom. Zawsze pe-  
łen słońca, a pod oknami, na gzymsach pa-  
rapetów, gruchających gołębi. Dokarmiali-  
śmy je obficie. Podwórze obudowane było  
dokładnie ze wszystkich stron. Tworzyła się  
„studnia” z rzadka zagładającymi promienia-  
mi słońca. My mieszkaliśmy we frontowej  
części. Światła słonecznego mieliśmy pod  
dostatkiem. Podziwialiśmy sztukę jednego  
z lokatorów mieszkającego na parterze - na  
samym dnie „studni”. Urządził zestaw du-  
żych luster, zręcznie połączonych ze sobą.  
Chciał usłonecznić swoje ciemne mieszkanie.  
Udało mu się to znakomicie: manipulował  
swoim urządzeniem, chodząc za słońcem  
jak słonecznik. Było to wprawdzie światło  
odbite, lecz dawało złudzenie słonecznego  
pokoju.

Postanowiliśmy zrobić sobie pamiątkowe  
*tableau*. Wybrano najbardziej znany w Kra-  
kowie zakład fotograficzny. Chodziliśmy do  
zdjęć. Profesorów udało się także uprosić.  
Swoje *tableau* schowałem na dnie walizki  
z teczką i kilkoma reprodukcjami dzieł Sta-  
niława Wyspiańskiego - nagrodami nie pa-  
miętam za co. Ta walizka stała się „mobili-  
zacyjną”. Dokładałem do niej coraz to nowe  
rzeczy, które zwykle brałem na ćwiczenia.  
I tak pojechała ze mną do Mińska Mazowiec-  
kiego, do 7. Pułku Ułanów po ogłoszeniu mo-  
bilizacji. Umieszczona na wozie taborowym  
naszego szwadronu zaginęła na podlaskich  
drogach.

Na stację poszliśmy całą piątką. Nasze po-  
ciągi odchodziły w zbliżonym czasie. Usie-  
dliśmy w dworcowej restauracji, czekając  
na kolejność odjazdów. Było to nasze ostat-  
nie spotkanie, czego wówczas nie mogliśmy  
wiedzieć ani przewidywać. Przyjechaliśmy  
ze wsi, mniej lub bardziej zapadłych, do Kra-  
kowa. Tu zetknęliśmy się z kulturą dużego  
miasta. Ogromnie rozszerzyły się nasze ho-  
ryzonty.

To była piękna przygoda.

Fragment większej całości *Skąd nasz ród* (do  
druku podała syn Jacek Juszczyk).



Edyta Dufaj *September* (z cyklu *Like a tree*), 2014

# Pochwała kreski

Tekst: Maria Malatyńska

**Wszechmocna kreska, która wręcz towarzyszy rozwojowi ludzkości, pozostaje niepokonana niezależnie od jakichkolwiek technicznych wynalazków.**

Zacznę od filmu animowanego, uznanego od czasu swojej premiery, a nawet wcześniej, w jej zapowiedziach, za wydarzenie.

Chodzi o niebywale długi obraz Mariusza Wilczyńskiego pod tajemniczym tytułem *Zabij to i wyjedź z tego miasta* – który wciąż traktowany jest tak, jakby jego koncepcja artystyczna i tak zwana głębia emocjonalna miała realizować różne, przepowiedane niegdyś, artystyczne możliwości sztuki filmowej.

Jest to widoczne tym bardziej, że każdemu spotkaniu z autorem tego filmu – malarzem, grafikiem, postacią niekonwencjonalną i w wyglądzie, i w szczeroci wspomnieniowej, artystą bardziej znanym na świecie niż w kraju, który, jak się wydaje, wyłonił się specjalnie z jakiegoś cienia, aby nas onieśmielić swoimi zwierzeniami – towarzyszą stany nabożnego skupienia.

Fanfary wprowadzić nie grają, a i ja nie chcę widzieć siebie w roli wieszczki filmowego arcyzmu, ale ten stan zachwyty, który tak długo towarzyszy temu tytułowi, musi zwracać uwagę na jego jakąś tajemną siłę. Czyżby działała tu jakaś nieznana magia?

Zapewne potrzebne jest tu sięgające historii przypomnienie, o co chodzi z tą przyszłością arcyzmu kina. Otóż dawno, dawno temu (przed blisko stu laty!) pewien ważny dla polskiej tradycji artystycznej pisarz, myśliciel i pierwszy prawdziwy teoretyk filmu Karol Irzykowski, w pierwszej wydanej w naszym kraju teorii filmu, zatytułowanej *Dziesiąta muza*, pozwolił sobie na pamiętne sformułowanie, że przyszłość sztuki kina będzie należeć do filmu rysunkowego. Określił to nawet precyzyjnie – że tylko istnienie tego rodzaju filmu „poręcza kinu charakter sztuki”.

Kino rozwinęło się jednak całkiem inaczej, jego wartości artystyczne zaczęliśmy po-

strzegać w różnych, nieprzewidzianych jeszcze na początku rodzajach, formach i gatunkach, więc pewnie dlatego sformułowanie Irzykowskiego mogło wyglądać na żart albo bajkę. Lub na zwyczajną pomyłkę badacza.

Po latach coś się zmieniło: co jakiś czas, gdy pojawiają się szczególnie magiczne lub pełne niespotykanej finezji filmy rysunkowe, przywołuje się Irzykowskiego z jego proroczym widzeniem i szuka się u niego inter-

**Przed blisko stu laty pierwszy w Polsce teoretyk filmu Karol Irzykowski pozwolił sobie na pamiętne sformułowanie, że przyszłość sztuki kina będzie należeć do filmu rysunkowego.**

pretacji. I oto teraz znowu to trwa. Już kilka miesięcy. Gdy pojawił się film Mariusza Wilczyńskiego *Zabij to i wyjedź z tego miasta*, natychmiast przypisano mu walor artystycznego fenomenu. Czyżby aż tak dobrą intuicję miał Festiwal Filmów Fabularnych w Gdyni, wbrew swojej tradycji i tradycji każdego podobnego festiwalu obdarzając tę animację główną nagrodą? To było pięć miesięcy temu, w grudniu. Od tego czasu każda projekcja tego tytułu w jakimkolwiek polskim kinie stawała się wydarzeniem, pokazy zagraniczne też wzbudzały zachwyty, nawet te festiwalowe, od Berlinale przez Wiedeń, Annecy i Ottawę, skąd przychodziły kolejne nagrody. Każde spotkanie z autorem filmu „olbrzymiało”, choć mniej mówiło się tam o artyście, a coraz więcej o sile ostentacyjnie prostej, niemal dziecięcej kreski, która stwarzała świat wspomnień, budowała znaki

pamięci, powracała do tradycji świata, który już odszedł.

Nawet pandemia nie przeszkadza, co najwyżej utrudnia kolejne projekcje. W jaką potrzebę społeczną trafiło to powszechne zainteresowanie? Może w potrzebę ostentacyjnej oryginalności?

Film Mariusza Wilczyńskiego, malarza, grafika, a z drugiej strony filmowca-amatora, realizowany był przez 14 lat! Nikt, nawet w wypadku tak długometrażowego filmu, nie realizuje jednego dzieła tak długo. Tutaj zaś to intymne wyznanie pamięci tworzone było jak sekretny dziennik, który ukrywa się przed światem, drąży, poprawia, mocuje się z własnymi rysunkami, aby za wcześniej się nie obnażyć. Było to działanie niezwykajne również pod tym względem. Nic dziwnego, że film obudził także pewne ambicje doraźne, bo stosowne czynniki w naszym kraju, chcąc kuć żelazo póki gorące, postanowiły nawet wmówić światu, że rzecz nadaje się na Oscara. To się akurat nie udało, bo film nie uzyskał żadnej nominacji, ale temperatura emocjonalna odbioru pozostała.

Czyżby więc ten brzydki – cokolwiek to znaczy – plastycznie obraz, o chwiejnej kresce i szarym podłożu (niektórzy przypo-

Film Mariusza Wilczyńskiego, grafika, a także filmowca-amatora realizowany był przez 14 lat! Nikt nie realizuje jednego dzieła tak długo. Tutaj zaś to intymne wyznanie pamięci tworzone było jak sekretny dziennik, który ukrywa się przed światem, drąży, poprawia, aby za wcześniej się nie obnażyć. Było to działanie niezwykajne również pod tym względem.

minają, że Wilczyński rysuje swoje historyjki na pogniecionym papierze pakunkowym) miał w sobie jakiś inny, przyciągający zainteresowanie magnes? Może chodzi o wypełnienie czasów, do których autor powraca, muzyką tamtej epoki? Może wzbogaceniem jest obdarzenie postaci głosami ulubionych

gwiazd, wszak Matka mówi głosem Krystyny Jandy, a obecny jest też między innymi głos Andrzeja Wajdy?

A może odkryciem jest po prostu to, że ten film zmusił odbiorców, by uwierzyli we wszechmoc i emocjonalną prawdę kreski? Pisało się nawet o tym, że tą dziecięcą, niby nieudolną formą, tym „przedszkolnym” rysunkiem artysta odtworzył wygląd i klimat Łodzi swojego dzieciństwa, czas młodości swoich rodziców i pierwszych lat swojego życia – bo chciał się z dawno nieżyjącymi rodzicami po prostu spotkać. Dlatego kreską zadziałał jak dziecko. Niczym stary profesor Borg nie mógł wprawdzie stać się ponownie dzieckiem, ale słysząc przez cały film matczyne wołanie: „Mariuszku, gdzie jesteś?” – przynajmniej był i jest obecny w filmie, raz za razem wyłania się na swojej ulicy, ze swojego domu czy z morza, nad którym spędza wakacje z ojcem. Wyłania się w wielkiej, dwumetrowej postaci prawdziwego Mariusza Wilczyńskiego, z charakterystycznymi długimi dredami. By poczuć się dzieckiem z tamtego, nieistniejącego świata. Magia kreski działa. Dziecięcej kreski tamtego dziecka.

\*

Dlaczego jednak dzisiaj wygłaszam pochwałę wszechmocnej kreski i świata, który potrafi wyczarować? Przecież jest maj, a więc wiosna, a my wszyscy, pozamykani w domach od ponad roku, raczej powinniśmy chłonąć świat realny, sycić się jego naturalną urodą, sprawdzać kształt każdego krajobrazu, wciąż przecież trochę zabronionego. A tu... kreska, rysunek i animacja?

Polska kinematografia ma przecież w dorobku wiele filmów animowanych. Style, artyści, oryginalność materii i indywidualność kreski – to wszystko w naszej tradycji istnieje. Dlatego gdy z jakiegoś powodu, czy to myślowego czy artystycznego, przeżywamy zachwyty nad kolejnym nowym dziełem – warto powrócić do tego rodzaju kina, a kolejnego artystę włączyć do naszego genialnego arcyzbioru. Jeszcze raz podpierając się zapomnianym mistrzem Irzykowskim.

\*

Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę powrócić do bezkresnego bogactwa polskiej animacji. Otóż za chwilę, pod koniec maja rozpocznie się najważniejszy i najstarszy

festiwal filmowy w Polsce, czyli ten w Krakowie, niegdyś zwany „krótkometrażowym”, dziś przyjmujący do konkursu wszystkie możliwe metraże i rodzaje filmu. Nagrodą za całokształt twórczości, czyli Smokiem Smoków, obdarowany będzie mistrz animacji Piotr Dumała. Jeden z największych naszych artystów, nieporównywalny z nikim, o dorobku przebogatym i stylu oryginalnym, a technice bardzo własnej, absolutnie nie do podrobienia.

Te zderzone tu ze sobą dwa nazwiska nie są możliwe do porównania. Podobnie, jak nieporównywalny jest świat jednego tylko filmu, owego dziecięcego rysunku, realizowanego przez twórcę przez „pół życia” – z innym „pół życia”, które zaowocowało kilkudziesięcioma tytułami filmów doskonałych, głośnych, wyrafinowanych w formie, obsypywanych nagrodami, o zupełnie innej, finezyjnej stylistyce i zupełnie innym zakresie tematycznym. A przecież jest coś zadziwiająco bliskiego między nimi: to nieskończone zaufanie do czystego, bezinteresownego i bezkresnego świata kreski, który jest większy od każdego realizmu, nawet jest większy od snu. Bo jest właśnie jego kształtem.

\*

Piotr Dumała istnieje w kinematografii już od 40 lat. Tworzył od początku swój magiczny świat nie tylko z kreski, ale także ze światła i z cienia. To zawsze istniało u niego jak idealna harmonia współgrania. Kreska rozdrobiona w miliony kresczek, pyłków kreskowych niemal, tworzyła od zawsze ruchomą, pulsującą powierzchnię, której życie nadawało światło. Albo dokładniej – nie tyle światło, ile jego świadome dozowanie. Minimalne, oszczędne. Wszak cień i mrok były tu ważniejsze, bo opowieści bywały raczej ponure, wyłaniające się z mroku. Ale to nie są bezpośrednie zwierzenia. Dumała lubi swoje tajemnice. Nie potrafi też dziecko płakać. Nośnikiem emocji i ekspresji są u niego kody kulturowe. Szczególnie literatura, która odcisnęła się w jego wyobraźni i której nadał kształt. Dlatego najlepsze i najciekawsze w jego bogatym i wszechstronnym dorobku są adaptacje literackie, gry z Dostojewskim (*Łagodna, Zbrodnia i kara*), z Kafką albo raczej z klimatami ich dzieł. To stamtąd wychodzą te wszystkie postaci, które żyją, oddychają, reagują jak ludzie, choć są od ludzi bardziej

prawdziwe i nigdy nie mogłyby być tworzywem dla aktorów, którzy mieliby tych ludzi odgrywać, nawet w najlepszym filmie fabularnym. Dumała to dyrygent kształtów

Pod koniec maja rozpocznie się najstarszy festiwal filmowy w Polsce, czyli ten w Krakowie, niegdyś zwany „krótkometrażowym”. Nagrodą za całokształt twórczości, czyli Smokiem Smoków, obdarowany będzie mistrz animacji Piotr Dumała. Jeden z największych naszych artystów, nieporównywalny z nikim, o dorobku przebogatym i stylu oryginalnym, a technice bardzo własnej, absolutnie nie do podrobienia.

prawdziwszych niż rzeczywiste. Jest niezaprzeczalnym panem swojego plastycznego „trójwymiarowego” świata. Wszelkie odniesienia kulturowe odnajduje w sposób naturalny, bo kultura jest istotą jego identyfikacji artystycznej i emocjonalnej. Tylko poprzez ten filtr potrafi mówić o sobie. Pamiętam, jak w jakimś starym wywiadzie powiedział, że twórcami jego filmów, takich jak choćby *Latające włosy* czy *Łagodna*, są oprócz niego... Munch, Rembrandt, Vermeer i kilku innych malarzy.

Wszelkocmocna kreska, która wręcz towarzyszy rozwojowi ludzkości, gdybyśmy chcieli uderzyć w zbyt wysoki ton – pozostaje niepokonana, niezależnie od jakichkolwiek technicznych wynalazków.

I niech tak pozostanie.



**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

# Po złoto

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: Leszek Fidusiewicz/za wiedzą i zgodą dystrybutora

**Pocztówki z przeszłości, winylowe płyty pamięci z tamtych lat, z PRL-u. Zawsze tam będzie on – „Kozak” pokazujący Ruskim „wała”, zaraz obok długopisu Wałęsy, papieża, i Szczepkowskiej ogłaszającej przedwcześnie koniec komunizmu. Władysław Kozakiewicz to przecież również polityka, nie tylko sport.**

Olimpiada w Moskwie, 1980 rok, zwycięstwo. Nasz lekkoatleta pokonuje reprezentanta ZSRR Konstantina Wołkowa. Idzie po złoto, bije rekord świata, ale tłumowi to się nie podoba, pięćdziesięciotysięczny tłum gwizdże. Sportowiec pokazuje wtedy tłumowi, co o nich myśli. Co myśli o gwizdzącej na niego Rosji. „Wała” im pokazał. Tyle wystarczyło, żeby stać się legendą.

\*

Jedna minuta, kilkadziesiąt sekund zaważyło na całym życiu. Władysław Kozakiewicz, jak wielu innych mistrzów „jednego gestu”, musi się z tym zmagać. To może wspomnienie nie *à propos*, ale podczas któregoś ze zbyt długich wieczorów, z kieliszkiem wina, zacząłem szukać na YouTubie bliskich memu sercu, niespecjalnie ambitnych popowych hitów z lat 80. minionego wieku. Dekada dzieciństwa, wszystko było kiczowate, ale bezpieczne. Minęło wraz z gwiazdami tego czasu. No, Madonna czy Kylie Minogue zrobiły wielkie kariery, ale co począć z dziesiątkami gwiazd disco, autorami czy wykonawcami jednego czy dwóch megahitów. Zostali z tymi evergreenami ostatniej muzy. Tamtej bezsennej nocy obejrzałem niezliczoną liczbę fragmentów spotkań telewizyjnych, występów na żywo, głównie w Rosji zresztą. Piękne dziewczęta i przystojni chłopcy, bez charyzmy i bez szczęścia, trzydzieści lat później śpiewają wciąż tę jedną czy drugą piosenkę. Nie są już jednak ani piękni, ani przystojni. Są starzy i zmęczeni, mocno sfrustrowani. Bo ileż można. Pomyślałem: nigdy więcej. Zrobiłem to pierwszy i ostatni raz. Chcę pamiętać Ricka Astelya, Savage’a, Jasona Donovana, Nene, Sandrę, Sabrinę i innych tylko z tamtych czasów – z młodzieńczym uśmiechem i z nadzieją, że wszystko będzie dobrze. To się niby nie łączy, ale przecież łączy z Władysławem Kozakiewiczem, z gestem Kozakiewicza.

\*

Pisał Miłosz w *Piesku przydrożnym*: „Pomyśl przez chwilę o nich, o tych, którym błogosławione podobieństwo do bliźnich zostało odmówione. O tych, którzy bardzo starali się postępować właściwie, żeby odzymano się o nich nie gorzej niż o ich współobywatelach, ale nic się im nie udawało, wszystko wychodziło im krzywo”. W dokumencie Ksawerego Szczepanika Władysław Kozakiewicz jest trochę jak owe gwiazdy disco: dotknął nieba, dotknął zresztą niejeden raz, i nieraz udało mu się zadomowić w strefie bohaterstwa, zarezerwowanej dla nielicznych królów sportu i muzyki, ale pozostał w pamięci przede wszystkim z tym swoim gestem. Ma przebój, który może wykonywać zawsze, o którym pamiętają wszyscy. Nie pytam, czy jest z tego powodu szczęśliwy. Może nie chce znać odpowiedzi, tak jak

nie będę już oglądał gwiazd popu z mojego dzieciństwa na przedwczesnej emeryturze.

W dokumencie *Po złoto* Ksawerego Szczepanika, Kozakiewicz idzie po olimpijskie złoto, ale droga do sukcesu była długa. Najpierw podwileńskie Soleczniki, potem Gdynia, wreszcie odważna, zaskakująca decyzja o przeprowadzce do Niemiec. To była, to jest o wiele ciekawsze kariery niż jedynie historia gestu Kozakiewicza na olimpiadzie w Moskwie. Długa kariera – mówimy przecież o ośmiokrotnym rekordziste Polski, mającym na koncie wiele międzynarodowych sukcesów, o sportowcu wyróżniającym się świetnymi warunkami, zadziornością i przebojowością. A przy okazji, dzięki inteligentnie wprowadzanym przez Szczepaniaka archiwaliom, materiałom dokumentalnym, poznajemy historię sportowca niejako zza kulis. Jeden sportowiec, ambitny i utalentowany. Sukcesy, nadzieje na kolejne, ale dookoła mamy przecież upiorny PRL z kacykami za stołem, z żałobą za paznokciami, złotymi plombami, herbatą plujką w szklankach, niedopranymi kołnierzykami koszul i złym uśmiechem, z donosikami, z klakierstwem, dymem papierosowym i wódą żłopaną na trzeźwo i po pijaku. W tamtej rzeczywistości (w każdej rzeczywistości) tak łatwo nie wybacza się sukcesów, determinacji, a jeszcze bardziej kontrowersji. A „Kozak”, trochę wbrew własnej woli, był sportowcem kontrowersyjnym. Tego również mu nie wybaczano.

Tyczkarz, mistrz olimpijski, rekordzista świata. Facet z wąsem. Nie on jeden był rekordzistą, mistrzem, nie on jeden miał wąsy, ale na Kozakiewicza się patrzy, jemu się wierzy, innym nie zawsze i nie do końca. Tajemnica w ciele, w energii ciała, może także w szerokim, promiennym uśmiechu. Na sukcesy sportowe zapracował samodzielnie, charyzmę dostał za darmo. Potrafił z niej skorzystać.

\*

Najpierw olimpiada w Montrealu. Bławatnego chłopca z Polski rozsadzała energia i pasja. Był blisko sukcesu, ale dopiero cztery lata później w Moskwie pokazał, na co go stać. Nie tylko pod sportowym względem. Gdyby rozpatrywać życie Kozakiewicza w filmowych kategoriach, to Moskwa byłaby kulminacją. Radosna i smutna zarazem. Lekkoatleta jest na ustach wszystkich. Krytykowany oficjalnie, chwąloni pokątnie, staje się dla Polski zniewolonej i coraz bardziej zdającej sobie sprawę z rozmiarów zniewolenia bohaterem narodowym. W filmie Władysław Kozakiewicz opowiada o serdeczności, z którą spotykał się właściwie na każdym kroku, zwłaszcza ze strony zwykłych ludzi – sprzedawczyń w sklepie, urzędników, wreszcie przechodniów. Był wtedy królem, ale korona bohatera nigdy nie jest przyznawa-





na dożywotnio. Problemy zaczęły się w momencie nieuniknionego przecież spadku formy, co sprytnie wykorzystali działacze i różni zazdrośnicy, którzy wreszcie dostali okazję, żeby odegrać się złośliwie na odszczepieńcu, niewdzięczniku, na sportowcu, który podskoczył za wysoko.

A kiedy kolejnych sportowych sukcesów było coraz mniej, już sam Kozakiewicz, bez pomagierów, mimowolnie stał się więźniem sukcesu pozasportowego. Więźniem gestu Kozakiewicza. I to właśnie w dokumencie Ksawerego Szczepanika wydaje się najciekawsze. Co zrobić z życiem, kiedy owo życie stale jest sprowadzane do jednego tylko momentu, jednego punktu. A przecież „Kozak” chciał po prostu nadal funkcjonować, śmiać się, pić wino. Uciec od gestu. Stąd brały się zapewne jego najodważniejsze, najtrudniejsze i najgorzej przyjmowane w Polsce decyzje, na przykład ta, wciąż zaskakująca, o przyjęciu obywatelstwa niemieckiego. Ani sportowiec, ani tym bardziej reżyser, nie proszą o usprawiedliwienie, nie domagają się współczucia.

*Po złoto* to historia pełna wewnętrznego napięcia, bogata w faktograficzne detale, fragmenty trudno dostępnych kronik i wykopiowań z domowych archiwaliów. Przypomina, że zawsze, wszędzie, w każdych okolicznościach liczy się człowiek.

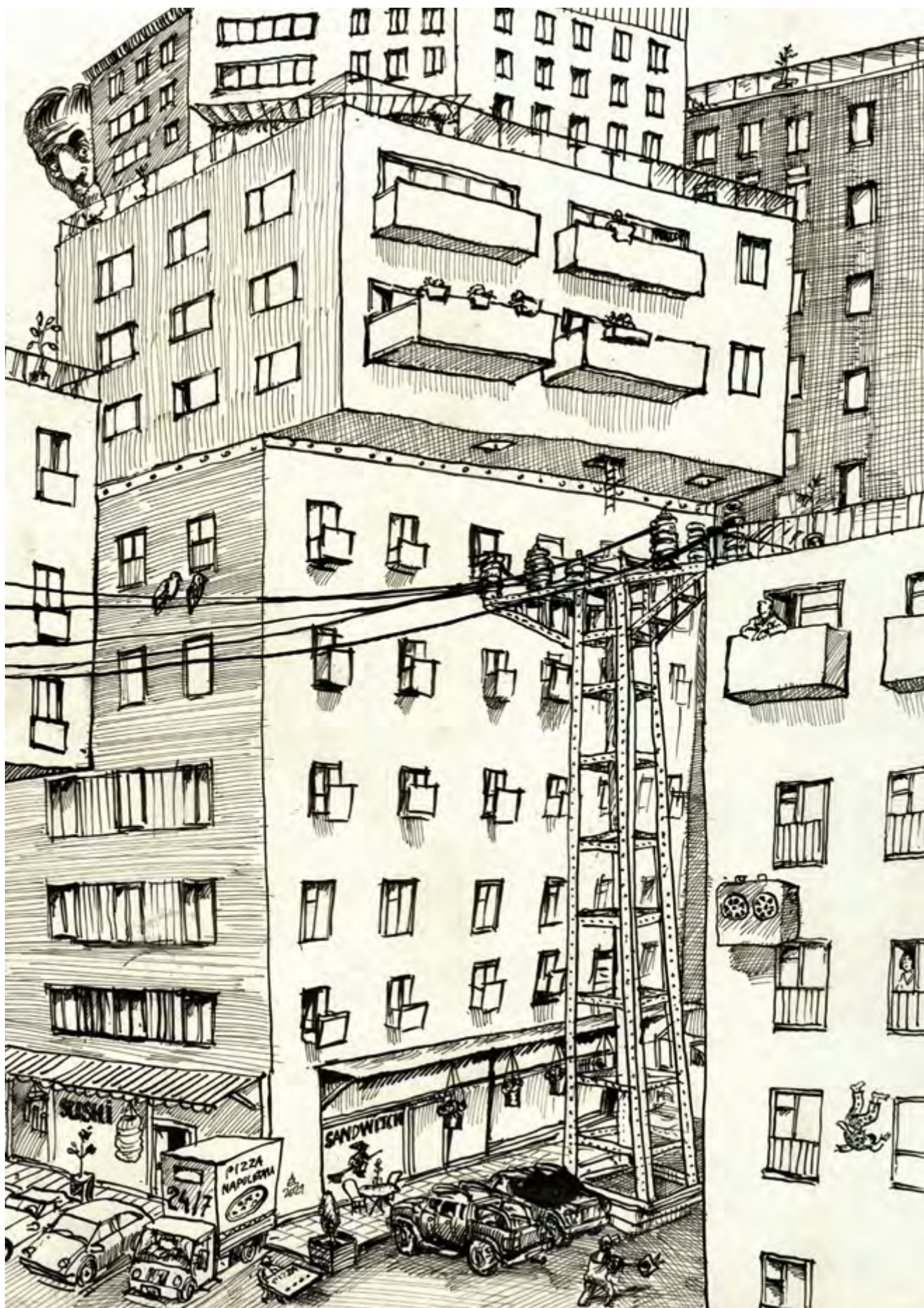
Pojedynczy człowiek. Jego dramat, jego spokój, jego szczęście. I marzenie, żeby przeskoczyć „gest”. Ciężka sprawa.

**Po złoto**, film dokumentalny, 2021, scenariusz i reżyseria: Ksawery Szczepanik, zdjęcia: Michał Żuberek, dźwięk na planie: Marcin Popławski, udźwiękowanie: Tomasz Sikora; montaż: Ziemowit Jaworski, konsultacja historyczna: Grzegorz Majchrzak, produkcja: Darek Dikti Biuro Pomysłów, koprodukcja: Telewizja Polska, Mazowiecki Instytut Kultury, współfinansowanie: Polski Instytut Sztuki Filmowej, Mazowiecki i Warszawski Fundusz Filmowy, Gdyński Fundusz Filmowy.



**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Rośnie nam Kraków, rys. Andrzej Zaręba

# Przyczynek do portretu

Tekst: Mieczysław Czuma

**W ostatnich dniach maja zamknięta zostanie zorganizowana przez Muzeum Sztuki Współczesnej (MOCAK, ul. Lipowa 4) wystawa, której bohaterem był twórca „Przekroju” Marian Eile. Przez długie dwadzieścia osiem lat dane mi było zasiadać za tym samym biurkiem...**

Jeszcze jako szef „Przekroju” Eile często wyjeżdżał do Paryża, ale o zakotwiczeniu się tam na dłużej zdecydował dopiero pod sam koniec redaktorskiej kariery. Zniesmaczony antyżydowską awanturą, jaka podniosła się w drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku, poprosił o bezpłatny urlop i wyjechał nad Sekwanę. Gnieździł się w jakimś lichym pokoiku, jeździł po mieście fiacikiem na krakowskich numerach rejestracyjnych, miał stałą rubrykę w „France-Soir”. W pewnym momencie napisał prośbę o zwolnienie z funkcji naczelnego. Władza ochoczo spełniła to życzenie. Jego miejsce na krótko zajął Mieczysław Kieć. Sądzone, że mistrz wybierze wolność, ale stało się inaczej. W ostatnich dniach ważności paszportu wrócił do Krakowa.

Często spotykam się z pytaniem, jaki był Eile po powrocie z Paryża? Zapamiętałem go jako wnikliwego słuchacza i jednocześnie człowieka trochę wyciszonego. Miał w sobie mądrość kogoś, kto zrobił swoje i wie, czego dokonał. Przestał być władczy, starał się unikać narzucania komukolwiek swojego autorytetu.

Kontakty z nim pomagały mi – kiedy zostałem kolejnym jego następcą – zbudować porozumienie z zespołem, w którym brylowały gwiazdy pamiętanej przecież czasy mistrza.

Niełatwo było zająć miejsce redaktora nad redaktorami. Zapasy z legendarnym tytułem rozpoczęły się od rewolucji gabinetowej. Redakcja gnieździła się w niewyobrażalnej ciasnocie, w trzypokojowym mieszkaniu przy ulicy Manifestu Lipcowego (dziś Józefa Piłsudskiego), po sąsiedzku z drukarnią. Sekretariat w kuchni, graficy w przedpokoju, korekta w łazience. Tylko naczelnny miał zapewniony stosowny metraż, zajmował jedyny rzeczywiście obszerny salon. Moją pierwszą decyzją było urządzenie się w najmniejszym ze wszystkich pomieszczeń. W tym mikroskopijnym pokoiku ledwie mieściło się pokryte szybą okazałe biurko wielkiego poprzednika. Opowiadano, że szkło często trzeba było podmieniać, bo szef lubił pieczętować wagę swoich argumentów zdecydowanym ruchem pięści. Na wszelki wypadek kazałem pokryć blat bordowym sukniem. Redakcyjna gromadka objęła w posiadanie opróżniony przestronny salon, gdzie każdy mógł już mieć własny kąt.

Ale zanim doszło do tej redakcyjnej peregrynacji, udałem się na ulicę Litewską. Na ostatnim piętrze któregoś z wysokościowców miał swoje studio Marian Eile. Okno na całą ścianę, wielki stół do pracy, tapczan, telewizor, we wnęce jakieś tajemnice kuchenne. Gospodarz był rozmowny i życzliwy, a zaproszenie do współpracy przyjął z zadowoleniem. Dostarczał potem różne ilustracje, rysował swoje ulubione winiетки i przerywniki. Do redagowania

*Demokratycznego savoir-vivre’u* powróciła w tym czasie Janina Ipohorska, po jej odejściu rubrykę przejął Eile.

W całym swoim redaktorowaniu starałem się na różne sposoby nawiązywać do Eilego, z różnym skutkiem, to jasne. A więc podpowiadać, ale nie narzucać opinii. Pokazywać drogę, ale nie próbować zawładnąć wyobraźnią. Pozwolić, aby czytelnik samodzielnie odkrywał intencje autora. Wybaczcie grzech samochwalstwa, ale na tej naszej wspólnej bieżni udawało mi się nawet bić rekordy: był czas, że moje nakłady dwukrotnie przekraczały nakłady

**W redaktorowaniu „Przekrojem” starałem się na różne sposoby nawiązywać do Eilego. A więc towarzyszyć czytelnikowi w jego prywatnym myśleniu o świecie. Podpowiadać, ale nie narzucać opinii. Pokazywać drogę, ale nie próbować zawładnąć wyobraźnią.**

wielkiego poprzednika, także i mój staż redaktorski w tym tytule okazał się dłuższy.

Kiedy odwiedzałem go na Litewskiej, malował abstrakcyjne kompozycje, był gospodarzem ostatniej strony „Szpilek”, którą zamienił w jednokolumnowy magazyn „Franciszek i inni”. Dostałem wtedy od niego kolorową kompozycję (farba nitro, tempera) na płycie pilśniowej. Później, po latach, zdobyłem po nim jeszcze inną pamiątkę. Na odchodnym z „Przekroju” zabrałem z biurka jego bakelitowy piórnik i pudełko na spinacze.

\*

Marian Eile zmarł w grudniu 1984 roku. Trzymałem mowę na pogrzebie, w imieniu starej gwardii głos dał Kazimierz Koźniewski. Na Rakowice przybyła niewielka grupka najbliższych, wydarzenia nie zauważyły żadne czynniki oficjalne.

W dziesiątą rocznicę śmierci i pięćdziesięciolecie pisma zadbałem, aby na kamienicy przy ulicy Małej 5, gdzie pomieszkiwał w latach 1945–1984, znalazła się pamiątkowa tablica.



**Mieczysław Czuma** – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

# Jaka piękna katastrofa

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

**To będzie opowieść na czasie i prosto z Paryża. Terapeutyczne działanie sztuki, badane i udowodnione naukowo, uderzyło we mnie niespodziewanie i ze strony, której bym się w ogóle nie spodziewała. Trochę z Netflixa, a trochę z Luwru.**

Wiosenny spacer ulicami stolicy Francji. I ten stan zastygnięcia w zachwycie. Umówmy się, że większość z nas nie doświadczyłaby tego akurat ot tak, po prostu. Nawet jeśli życie toczyłoby się normalnie i bez pandemicznych turbulencji. Paryż jest jak ze snu, jest takim marzeniem o obcowaniu z czymś obezwładniająco pięknym, choć stworzonym przez człowieka, więc przecież możliwym do powtórzenia w każdym innym miejscu globu, a jednak nie. To się udało tylko w Paryżu.

**Luwru udostępnił całe swoje zbiory online. Również te eksponaty, które są na gościnnych wyjazdach, pożyczone lub odpoczywają w magazynach. 480 tysięcy dzieł sztuki. Nawet tym, którzy widzieli z bliska Paryż i inne cuda świata, trudno to sobie wyobrazić.**

Rok po pierwszym covidowym zamknięciu Luwr udostępnił całe swoje zbiory online. Również te eksponaty, które są na gościnnych wyjazdach, pożyczone lub odpoczywają w magazynach. W sumie 480 tysięcy dzieł sztuki. Nawet tym, którzy widzieli z bliska Paryż i inne cuda świata, trudno to sobie wyobrazić. To wszystko oglądać można za darmo, doczytując zachwyty po angielsku, hiszpańsku, francusku i po chińsku. Działają nawet wirtualni przewodnicy (również z Polski) i trzeba przyznać, że robią świetną robotę! Jednak nie to zwróciło moją uwagę.

Zaintrygował mnie przekaz medialny, jaki towarzyszył w kwietniu wirtualnemu otwarciu Luwru. Już nie „zostań w domu”, a samotność. Samotność dzieł sztuki?! Czy *Mona Lisa* Leonarda da Vinci może cierpieć przez brak ludzkich spojrzeń? Jak przymusowa izolacja dotyka Wenus z Milo? Tylko pozornie te rzucone w tekstach prasowych i wywiadach refleksje, trochę żarty, a trochę nie, wydają się głupie. Dzieło sztuki nie istnieje bez naszej uwagi. To jednak nie wszystko. Psychologowie udowodnili, że kiedy jesteśmy w muzeum, dla naszego mózgu bodźcami nie jest sztuka, lecz informacje. Mózg wybiera sobie zazwyczaj jeden obiekt, na którym skupia uwagę. Tym samym *Mona Lisę* obdarzamy przez ten czas jedyną i niepowtarzalną koncentracją, wytworzoną przez nasz umysł, aby poradzić sobie z otoczeniem, ale jej skutki wykraczają daleko poza biologię. Tu zaczyna się magia.

Paradoksalnie z tą koncentracją mamy dziś najwięcej problemów. W świecie, w którym można

wszystko i wszędzie, mózg nie umie wyłapać tej jednej, jedynej rzeczy, na którą może skierować nasze zmysły, a co za tym idzie – uspokoić się. Są już aplikacje, które pomagają na przykład słuchać muzyki tak, aby nie zwariować i aby robić to z uwagą. Aplikacja wie, kiedy uwaga ucieka w inną stronę. Luwr online zadział na mnie pięknie, bo wybrałam jeden z 480 tysięcy eksponatów. I umówiłam się z nim na spotkanie. Przypominają mi się trafne słowa Adama Zagajewskiego o tym, że nie czasu nam dziś brakuje. Brakuje nam skupienia.

Pod koniec jednego z sezonów serialu *Gdzie jest mój agent?* bohaterowie, pracownicy agencji aktorskiej, idą sobie ulicami Paryża. „Chcesz iść ze mną do kina? Od wieków nie byłam w kinie dla przyjemności – pada. – Na smutki najlepsze jest kino”. Na moje też, tym razem to jest kino małego ekranu. Ten błyskotliwy, świetnie napisany serial opiera się na prościutkim pomysle, który polega na tym, że wielkie gwiazdy francuskiego i światowego kina grają tam siebie. Z przymrużeniem oka. Juliette Binoche prowadzi więc galę festiwalu w Cannes, Monica Bellucci szuka „normalnego” faceta i tak dalej. Każdy odcinek kręci się wokół jednej sławnej osoby. A sławy – i to już w prawdziwym, hollywoodzkim życiu – podobno zabiegały o udział (na przykład Sigourney Weaver). Obejrzałam wszystkie odcinki dla nich, dla humoru, dla paryskich ulic, które zachwycają mimo braku możliwości postawienia na nich stopy. Ale przede wszystkim dlatego, że w każdym epizodzie dosłownie wali się świat. Z tej perspektywy nasz zawalony świat wydaje się zawalony nieco mniej. W serialu nie ma wymuszonych happy endów, są za to puenty mówiące z dzwicznym francuskim „r”, że nie ma takiej katastrofy, której nie można byłoby złagodzić uściskiem, szklanką wina albo uśmiechem. Mnie pomogło. No i Wenus oczywiście.



**Magdalena Miśka-Jackowska** – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

# Dziennik pandemiczny: czy artyście wolno więcej?

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

**Nina z zapartym tchem śledziła świadectwa artystów o nadużyciach w polskim teatrze. Bicie, zastraszanie, wyzwiska, prawdziwe opisy rzezi.**

Schodzi do sklepu i słyszy rozmowę senierek w Le-wiatanie:

- I robią to sobie nawzajem niby kulturalni ludzie!

- Ta Koroniewska... Czytała pani? Matki pochować nie mogła. Czy ta sztuka to jest tego warta?

- To jest, proszę pani, skandal. A człowiek tak podziwiał tych aktorów. Kto by pomyślał, że oni nie zasną bez tabletki na nerwy?

- Bo to jest, proszę pani, tak, że artystom wolno więcej. Dawno temu jak raz byłam na Poczcie Głównej, to wszedł taki wysoki facet. Jak się nie wydarł na panią w okienku! Uwijała się jak w ukropie. A w kolejce szmer, że to wielki artysta. Tadeusz Kantor!

- Tak, to podobno wariat był. Ale mówią, że geniusz.

- No właśnie! A teraz młodzi nie chcą takich geniuszy. W dupie mają.

- I dobrze. Kto to widział tak się znęcać? Artyści i tacy degeneraci?

Dzień drugi. Nina czeka na tramwaj na pętli płaszowskiej. Dwóch panów na przystanku też dyskutuje o przemocy w polskim teatrze:

- Tym młodym bezstresowo wychowanym to już się w głowach przewracało. Głos podniesiesz i już mają traumę na całe życie. A te aktorki? Nagle takie wstydlive. Jak nie chcą się rozbiierać, to mogą iść do zakonu.

- Trzeba się z nimi obchodzić jak z jajkiem. A spróbuj powiedzieć koleżance, że ładnie wygląda...

- To będzie krzyczeć MeToo! MeToo!

- Czego to człowiek dożył...

Wieczorem do Niny dzwoni kolega aktor z długim monologiem:

- No, ładnie się porobiło. Ale sobie moment wybrali na MeToo w polskim teatrze. Wszystko pójdzie z dymem. Zauważyłaś, że Ministerstwo Kultury milczy? Gliński zaciera ręce i czeka, aż lewackie elity wyrzną się do zera. I co? Wszystko teraz jest przemocą. Ostatnio byłem na próbie. Reżyser cały czas robił sobie jaja: „Ty, pieronie, jak grasz, motyla noga! Połóżysz, kurde mol, całą premierę!”. To wszystko, Nina, zmierza do absurdu. Nie, żeby był za laniem aktorów po mordzie. Ale nie dajmy się zwariować! Teraz tylko lincz i polowanie na czarownice. Czy jak się pokłócę z koleżanką, że scena nie idzie, to już jest przemoc? Czy już nie można zakłócić? Czy pracę twórczą można skodyfikować w jakimś regulaminie? Ty mi powiedz, Nina, bo może powinienem jeździć na uberze. Jak PiS się za to wszystko weźmie, to rektorem w krakowskiej szkole zostanie Jerzy Zelnik, a dziekanem Jarek Jakimowicz. Wszyscy jeszcze zatęsknią za tymi strasznymi pedagogami. Co się

śmiejesz? To nie jest śmieszne. Wspomnisz moje słowa, wszyscy będziemy grać sceny z biografii rotmistrza Pileckiego. Ale ty nam klaskać nie będziesz, bo nawet biletu na to nie kupisz. Władza już obcięła nam dotacje. A wiesz, że stowarzyszenie Muza Dei dostało od Glińskiego rekordowe 437 tys. zł z programu „Teatr”? Co to jest Muza Dei? No właśnie, też nie wiedziałem. Prowadzą Teatr Klasyki Polskiej Quo Vadis, w którym reżyseruje Michał Chorosiński – mąż posłanki-aktorki Dominiki Figurskiej-Choro-

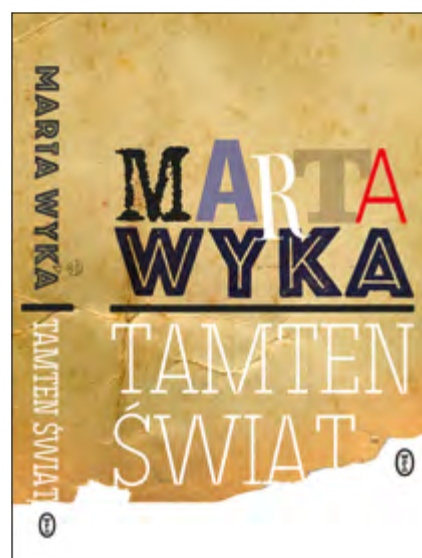
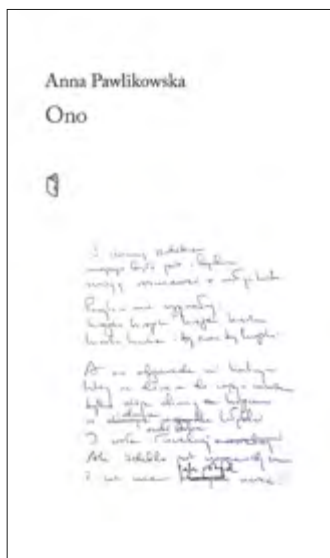
Zmiana wisi w powietrzu. Nawet redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”, choć poirytowany ociąganiem się felietonistek, tytułuje maila ponaglącego słowem niedookreślonym: „Kur...”. A jeszcze parę lat temu na pewno by się nie patyczkował!

sińskiej. Tak, tak, tej z PiS-u. Więc widzisz, Nina, tu nic nie jest proste. Podcinamy sobie gałąź, na której siedzimy. W teatrze nie będzie przemoc, świetnie. Ale może w ogóle nie będzie teatru. To znaczy będzie. Obejrzyj sobie *Powrót posła* albo dramat *Nasz mały krasnoludek*, Gliński dał na to 125 tys. zł. Nie żartuję! Pytasz mnie, kiedy byłby dobry moment na ujawnienie nadużyć. Nie wiem, Nina, nie wiem! Halo! Jesteś tam jeszcze? Każdy teraz robi sobie rachunek sumienia. Ja też zrobiłem. Przeprosiłem parę osób. I co? No nic, może to jedyny plus tej całej teatralnej draki.

Nina zastanawia się, co na to wszystko powiedzieć i nic sensownego nie przychodzi jej do głowy. Ale jakaś zmiana wisi w powietrzu. Nawet redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”, choć poirytowany ociąganiem się felietonistek, tytułuje maila ponaglącego słowem niedookreślonym: „Kur...”. A jeszcze parę lat temu na pewno by się nie patyczkował!



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



„»Jesteś całe złoto świata« – mówiła Mama, patrząc na mnie jasnym promieniejącym spojrzeniem. Tak, wiedziałam o tym. I starałam się ile sił, żeby ten promień mógł się jarzyć bez przeszkód. I że do kochania nie ma ojca. (...) Może to byłoby łatwiejsze, gdyby nie Jadwisia. Bo na nią Mama nigdy tak nie patrzyła”.

Ratuj się, uciekaj, ale uciec nie ma gdzie – pisze autorka w wierszu otwierającym ten dziwny tomik wspomnieniowy. Ona jest owym Onym, bo w domu brakowało mężczyzny. Jak więc kochać matkę i jak jej nienawidzić? Jak uporządkować świat kompletnie zdekonstruowany? Gdzie się skryć, gdy wszystko boli?

Autorka opowiada o udręce matki i o miłości, która do swych dzieci przybierała zupełnie inny obraz. O tęsknocie za ojcem, który zostawił i choć nie zapomniał, to zapomniawszy. O babci ratującej życie rodziny i ratującej dom. O tym, jak odpadają wszystkie kolejne nadzieje. Cały czas słyszę szeptać o Matce, Siostrze, Babce i Ojcu. Gdzie wszyscy nawet jeśli się kochają – to cierpią.

Wielki Adam Wodnicki napisał do tego maleńkie posłowie. Że te teksty pisane są krwią serca, że ich przekaz wzmacnia piękny, pełen subtelności, wyrazisty język. Ja dodałbym: piekło nie jest w nas, piekło jest jeszcze bliżej – w sercach, zanurzone w wielkiej miłości.

Uwielbiam tę drobną serię Austerii z charakterystycznym rękopisem na okładce.

Jeśli powstanie kiedykolwiek jakakolwiek nagroda dla miniatur – zgłoszę *Ono*. (wb)

Anna Pawlikowska, *Ono*, Austeria, Kraków 2020.

Jest o pięknych ludziach, tragicznej historii i bezlitosnej polityce, ale też o literaturze i malarstwie (zarówno tym uznanym, jak niedocenionym). A ponieważ autor był świadkiem niemal całego XX wieku (urodził się w 1896, a zmarł w 1993 roku) i to w różnych jego wymiarach (choćby jako arystokrata i uczestnik artystycznej bohemy międzywojnia, żołnierz i intelektualista, współtwórca paryskiej „Kultury” i autor wspomnień *Na nie-ludzkiej ziemi*), więc perspektywę refleksji miał unikatową. Na dodatek był mądrym, ideowym i dobrym człowiekiem. A wreszcie – używał pięknej polszczyzny.

Zebrane w dwóch tomach rozproszone dotąd teksty Józefa Czapskiego pochodzą zarówno z czasów II RP (między innymi z krakowskiego „Czasu” i „Wiadomości Literackich”), II wojny światowej („Orzeł Biały”), jak i okresu emigracyjnego (tu głównie z „Kultury”, ale też z „Zeszytów Literackich” czy „Tygodnika Powszechnego”). Są różne w formie, tematach i wadze, jednak razem dają obraz tamtych czasów z ich poziomem myślowym oraz klimatem etycznym i obyczajowym.

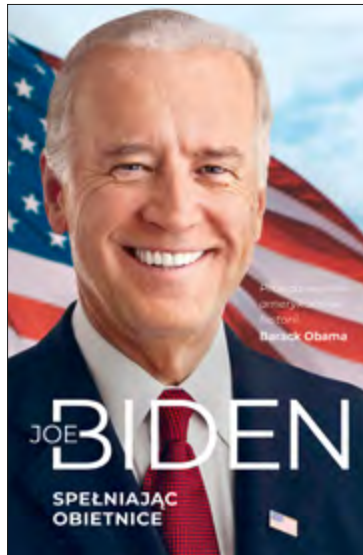
Osobną wartością jest zamieszczony w Aneksie *Raport z podróży podjętej przez hr. Józefa Czapskiego w celu odnalezienia kpt. broni Bronisława Romera z I Pułku Ułanów Korpusu Polskiego Dowborza-Muśnickiego* – przejmująca autentycznością relacja z wyprawy na terytoryj bolszewickiej Rosji na przełomie 1918 i 1919 roku. (kb)

Józef Czapski, *Rozproszone* (tom 1 i 2), Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2021.

To pozornie tylko zbiór esejów. W rzeczywistości jest to proustowska droga wstecz autorki w poszukiwaniu minionego czasu, tyleż utraconego, ile zatrzymanego przez zapis wspomnień. Na naszych oczach dokonuje się tu zjednoczenie czasu przeszłego i obecnego, jakby wszystko działo się tu i teraz. Autorka projektuje swoje wspomnienia na naszą wrażliwość, nie pozostawiając nas obojętnymi na słowa, którymi opisuje, przytacza, cytuje, opowiada (a wszystko wspaniałą polszczyzną). To znakomity portret polskiej literatury ubiegłego wieku, przejmujący, epatujący prawdą i emocją. Choć raczej portret ludzi, jak gdyby nadal, dziś żyjących, obecnych nieobecnych. To wielka sztuka tak kreślić wizję, która wciąż nas dotyczy. Anegdoty bawią, a krakowski świat literacki śmieszy i wzrusza. Choć nie tylko – autorka stawia też zasadnicze pytania i przestrzega: „W innych zatem okolicznościach społecznych, obyczajowych i politycznych zdaje się odbudowywać sytuacja zagrożenia jednostki przez strażnika silniejszego od niej i dysponującego przywilejami (tym razem przede wszystkim ekonomicznymi)”. Na koniec: Marta Wyka przytacza wpis Sławomira Mrożka z *Dziennika* roku 1982: „Śmierci, rozstania, końcówki. Adieu, zewsząd je słycać. Czy jeszcze będzie życie? A ono »ja plawdopodobnie psyjdę«”. Absurdalny Gałczyński? W dobie pandemii pytanie jakże aktualne.

Elżbieta Wojnarowska

Marta Wyka, *Tamten świat. Szkice literackie dawne i nowe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.



„Wiedeń żył zagadkową śmiercią znanego adwokata dr. Rotzigela. (...) Na miejscu znaleziono rozbryzgi krwi na ścianie i podłodze. [Prowadzący śledztwo] polecił praktykantowi z Krakowa wykonanie eksperymentu rzeczoznawczego dla zbadania, jak się będą rozkładać, jaki kształt przyjmować ślady krwawe, w zależności od użytego narzędzia...

Eksperyment ten Piotrowski przeprowadził wzorowo, wykorzystując do tego celu żywe króliki, które masakrował, uderzając je siekierą, tęnym młotkiem drewnianym i na koniec młotkiem tapicerskim. W efekcie tego eksperymentu udało się potwierdzić hipotezę, że morderca użył tapicerskiego młotka”.

Oto dość makabryczna opowieść z historii ck kryminalistyki – a jej bohaterem jest krakus Edward Piotrowski. To jedna z dodatkowych historyjek zamieszczonych we wznowieniu kultowego już zbioru, który można określić jako polski suplement do *Stulecia detektywów* Thornwalda.

Pierwsze wydanie tej książki, jeszcze w PRL, było hitem. Potem doczekało się kilku edycji i jego sława lekko przygasała. A niesłusznie. To opowieść precyzyjna, bez dygresji, ozdobników i dowcipów. Może zdawać się zbyt sucha dla fanów współczesnych powieści, lecz przecież nie jest to też skondensowana historia kryminologii w Krakowie od XIX wieku. Może stać się doskonałym podkładem pod serial z sensacyjnej historii Krakowa, który w końcu musi powstać. (wb)

Jan Widacki, *Stulecie krakowskich detektywów*, wydanie nowe, zmienione i rozszerzone, Universitas, Kraków 2020.

„Pierwszej zasady polityki, zasady fundamentalnej, nauczyłem się w latach pięćdziesiątych [minionego wieku – przyp.] w kuchni mojego dziadka, kiedy miałem dwanaście czy trzynaście lat” – zdradza Joe Biden. Dziadek, który wraz z kumplami z sąsiedztwa prowadził w kuchni każdej niedzieli dyskusje o życiu i polityce, chciał, by wnuk zrozumiał dwie rzeczy:

„Po pierwsze, że nikt, żadna grupa, nie stoi ponad innymi. Urzędnicy publiczni są zobowiązani do uczciwości wobec każdego, bez względu na to, czy im się podoba to, co ten ma do powiedzenia. A po drugie, że polityka jest kwestią osobistego honoru. Dane słowo zobowiązuje. Dajesz słowo, to go dotrzymujesz”.

Co też istotne – wspomnieniem tym Biden podzielił się w 2007 roku, kiedy jeszcze nie mógł być pewien, że kiedyś zasiądzie w Białym Domu. Ale też tego, że prezydentem Stanów Zjednoczonych zostanie po Donaldzie Trumpie i powyborczym ataku jego fanów na Kapitol.

Opowieść Bidena to amerykańska w duchu historia o wartości wysiłku i pracy, znoszeniu z godnością przeciwności losu oraz realności nawet nie-realnych, zdawałoby się, marzeń. Opisuje więc swoje dziecięce zmagania z przypadłością jankania się (co oczywiście było przedmiotem drwin kolegów), oswajanie bólu po śmierci w wypadku żony i rocznej córki, walkę o przeżycie po wykryciu dwóch tętniaków mózgu. Ale przede wszystkim pokazuje dylematy wielkiej polityki – oraz jej kulisy. Ot, choćby taki problem: jak zachować uczciwość i nie ulec populizmowi, a pozostać skutecznym. (kb)

Joe Biden, *Spełniając obietnice*, Znak, Kraków 2021.

Kraków, jak się okazuje, odegrał ważną rolę w karierze – czy może operacji – „najpotężniejszego księdza w Polsce”. Tadeusz Rydzik w ponurych latach ostatniej dekady PRL był wikarym zawiadywanej przez redemptorystów parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Podgórzu. Prowadził tam duszpasterstwo akademickie, ale sporo czasu spędził też za granicą. Decyzje o przyznaniu mu rzadkiego i cennego dobra, jakim był paszport wydawany wtedy każdorazowo przed wyjazdem na Zachód, zapadały w siedzibie Służby Bezpieczeństwa przy ul. Mogiłskiej. A podejmowali je w jego przypadku ludzie z pionu odpowiedzialnego za rozpracowanie Kościoła, na dodatek tacy, którzy nawet wśród kumpli z SB uchodzili za związanych z KGB.

Wszystko to Tomasz Piątek ustalił z właściwą sobie drobiazgowością, której dowiódł w reportażach śledczych o Antonim Macierewiczu, Mateuszu Morawieckim i Andrzeju Dudzie.

Dotarł i do innych tropów świadczących o rosyjskich koneksjach Rydzika – nie tylko w postaci nadajników na Uralu. Gdy zestawimy to z systematycznym szczuciem w Radiu Maryja na Unię Europejską, podważaniem idei integracji z Zachodem oraz szkodzącym wizerunkowi Polski nacjonalizmem, antysemityzmem i homofobią, a ostatnio także z propagowaniem idiotyzmów antyszczepionkowych (w ślad za, między innymi, kremlowskimi trollami), nasuwa się oczywista hipoteza. Piątek nie waha się jej postawić. (kb)

Tomasz Piątek, *Rydzik i przyjaciele*, tom 1: *Kręte ścieżki*, Arbitror, Warszawa 2021.

# Zaginione dzieło wraca do Sukiennic

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: dzięki uprzejmości Muzeum Narodowego w Krakowie

Historia obrazu Maksymiliana Gierymskiego *Zima w małym miasteczku* idealnie nadaje się na scenariusz. I to filmu sensacyjnego. Na szczęście z happy endem.



Tego jesiennego dnia 2017 roku na parkingu przy Galerii Bonarka nie było zbyt wielu chętnych na zakupy. Gdyby się tam znaleźli, na pewno zauważyliby scenę jak z filmu. Nagle do leżącego na parkingowej płycie rulonu podjechały samochody policyjne. Z funkcjonariuszami była Elżbieta Zygier, dziś główna

konserwator Muzeum Narodowego w Krakowie, która delikatnie wzięła pakunek do ręki. Był nim obraz *Zima w małym miasteczku*. – Zdecydowałam, że nie będziemy rozwijać go na miejscu, by nie pogarszać jego stanu.

Dopiero po przewiezieniu płótna do muzeum specjaliści zorientowali się, jak dzieło





Powstały w 1872 roku nastrojowy pejzaż przedstawia Powiśle, ówczesne przedmieście Warszawy. W sugestywny sposób oddaje błotnistą drogę, zachmurzone niebo i konie zaprzęzione w wozy, które czekają na wracających z targu właścicieli. Obraz był namalowany na zlecenie marszanda z Berlina, następnie zachwycił się nim kolekcjoner z Hamburga, który miał go w swoich zbiorach do 1895 roku. Później ślad po płótnie się urywa. Dopiero w 1937 roku pojawiło się ono w antykwariacie Franciszka Studzińskiego, od którego kupiło je Muzeum Narodowe w Krakowie. Obraz nie zagrzebał tam jednak długo miejsca. Niemieccy okupanci doskonale znali wartość płótna i zarekwirowali je, wieszając w gabinecie wysokiego rangą oficera w budynku AGH. Kiedy w 1945 roku pracownicy muzeum chcieli dzieło stamtąd zabrać, już go nie znaleźli. Uznane zostało za stratę wojenną.

Jak się później okazało, obraz spędził wiele lat w jednej z krakowskich kamienic. I pewnie do dziś nie wiadomo by, co się z nim dzieje, gdyby spadkobierczyni właścicielki mieszkania nie rozwiodła się, a jej mąż nie postanowił się zemścić. Wynikiem był tajemniczy telefon do muzeum z informacją, gdzie znajduje się dzieło. Ale to jeszcze nie koniec sensacyjnych dziejów *Zimy w małym miasteczku*. Do akcji wkroczył nowy partner kobiety, który na jej prośbę zabrał wartościowy obraz z domu i po rozmaitych perypetiach porzucił go na parkingu Bonarki.

– Konserwacja trwała dość długo, ponieważ śledztwo było w toku. Ale zakończyliśmy ją i od połowy maja obraz będzie prezentowany w Sali Wystaw Zmiennych w Sukienicach, w ramach tak zwanego pokazu konserwatorskiego. Potem zostanie zawieszony na stałe w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku obok innych dzieł Gierymskiego – zapewnia Elżbieta Zygier.

Gierymskiego zostało zniszczone. – Ponieważ zwinięto je w nieprawidłowy sposób, warstwę malarską do środka, farba lokalnie odspoiła się od podłoża, popękała zaprawa. Miejscami ubytki sięgały aż do płótna – dodaje, podkreślając, że zniszczenia były bolesne, bo dotknęły jedno z ważnych dzieł malarza.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



### ■ Władysław Klimczak kochał fotografię

Jeszcze jakiś czas temu w niedzielne przedpołudnia można go było spotkać pod Halą Targową. Pochylał się nad skrzynkami wypełnionymi archiwalnymi zdjęciami, szukając rarytasów. Podobnie robił, obchodząc krakowskie antykwariaty i wypytyując, czy może pojawiła się jakaś stara fotografia, która mogłaby go zainteresować. Bo choć Władysław Klimczak z zawodu był ekonomistą i historykiem, to nic go tak nie pasjonowało jak fotografia. Dlatego został najpierw prezesem Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, a w 1972 roku dyrektorem prywatnego Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Z jego inicjatywy w 1986 roku powołano pierwsze i jedyne w Polsce publiczne Muzeum Fotografii, dziś noszące nazwę MuFo, którego rozwój śledził do ostatnich swoich dni. Władysław Klimczak zmarł 9 kwietnia w wieku 98 lat.

Trudno będzie zapomnieć tę tak charakterystyczną dla Krakowa postać. Wszyscy, którzy uczestniczyli w comiesięcznych, prowadzonych przy świecach spotkaniach Towarzystwa, pamiętają niezwykle opowieści prezesa o historii i dokumentach, fotografiach i technice ich wykonania. Jego współpracownicy do dziś wspominają tworzenie pierwszych muzealnych kolekcji fotografii, sprzętu fotograficznego, książek i dokumentów archiwalnych. A przede wszystkim przygotowywane przez niego ekspozycje na czele z wystawą fotograficznego aktu i kobiecego portretu *Venus*. Pierwsza z cyklu prezentacji odbyła się w pałacu Pugetów w 1970 roku i przyciągnęła ponad 200 tysięcy widzów, zyskując w następnych latach międzynarodową rangę. Ileż trzeba było mieć odwagi, by w tych pruderyjnych czasach pokazywać tak śmiałe dzieła, i to w Krakowie. Władysław Klimczak miał i pasję, i odwagę.

### ■ Krakowski Festiwal Filmowy stawia na hybrydę

Mam nadzieję, że kiedy Państwo czytacie te słowa, czas najgorszej pandemii będzie już za nami, życie wróci na właściwe tory, a my usiądziemy wreszcie w wygodnych fotelach, śledząc premierowe produkcje. Co tu kryć, zwyczajnie tęsknię za wyświetlanymi na dużym ekranie filmami i za klimatem sal kinowych, nawet gdy zawiera on również woń popcornu. Daję słowo, że nie będzie mi ona przeszkadzała, gdy 30 maja znajdę się w kinie Kijów na gali otwarcia Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Jego dyrektor Krzysztof Gierat zapewnia, że – jeżeli będzie to możliwe – przegląd najlepszych dokumentów i krótkich metraży odbędzie się hybrydowo. Ci, którzy będą mieli na to ochotę, wybiorą się do kina, a ci, którzy wolą spędzać wieczory w domu, zobaczą konkursowe produkcje dzięki platformie internetowej KFF. Także na niej już po zakończeniu festiwalu

będzie można nadrabiać zaległości i obejrzeć przegapione filmy, choćby te, które w tym roku zdobędą nagrodę Złotego Rogu (Międzynarodowy Konkurs Filmów Dokumentalnych), Złotego Smoka (Międzynarodowy Konkurs Filmów Krótkometrażowych) i Złotego Lajkonika (Konkurs Polski). Ja będę starała się poznać laureatów 5 czerwca podczas gali finałowej w kinie Kijów, gdzie popcorn będzie miał dla mnie zapach najlepszych perfum.

### ■ Wpadnijcie do Cukrówki

Cukrówka to miejscowość leżąca gdzieś między Krakowem a Bielskiem, najpewniej koło Wadowic. Miejsce realnie magiczne, gdzie po ulicach lata goła córka miejscowego notabla, a on sam kręci podejrzone interesy. Prowadzi tu także działalność gospodarczą wyglądający jak Kaszpirowski wróż i chiromanta, a miejscowy proboszcz skrywa niejeden sekret. Nad wszystkim wisi trup dziennikarza, który przyjechał do miasteczka, by opisać „cud stanowojenny”, czyli objawienie Najświętszej Pani w płaczącym obrazie wiszącym w tutejszym kościele. Dziwność goni dziwność, tajemnica tajemnicę, a brzęczenie roju pszczoł z niegdysiejszej księżowskiej pasieki nie ułatwia pracy pani prokurator. Na szczęście pojawia się niczym *deus ex machina* Towarzyszka Sarecka, w osobie Anny Tomaszewskiej, i brawurowo wszystko wyjaśnia, a my się dowiadujemy, co stało się w tej nieszczęsnej dziurze, której społeczność jakoś przeczekała komuny, za to została brutalnie obudzona w czasie ustrojowej transformacji. Reżyser Jakub Roszkowski zrobił wszystko, by jak najatrakcyjniej wystawić adaptację książki Dominiki Słowik na scenie MOS Teatru im. Juliusza Słowackiego. I mu się udało. Chyba nawet Andrzej Bursa po obejrzeniu *Zimowli* nie powiedziałaby, że ma w dupie małe miasteczka. Dlatego wpadajcie do Cukrówki, jak tylko otworzą teatry.

### ■ Ostatnia chudoba już nie taka straszna

Pamiętacie dość przerażający obraz zatytułowany *Ostatnia chudoba*, który trafił do szkolnych podręczników w okresie słusznie minionym? Miał on ilustrować chłopską biedę, do jakiej doprowadzili panowie-krwio pijcy. Mnie widok biednego dziecka, któremu głód patrzy w oczy, śnił się po nocach. Może dlatego arcyzmu dzieła wówczas nie doceniałam. Teraz jednak oglądając wystawę obrazów Aleksandra Kotsisa *Odcienie realizmu*, nie mam wątpliwości co do jakości dzieł zapomnianego twórcy. Przekonajcie się o tym sami, wybierając się do Kamienicy Szołayskich Muzeum Narodowego w Krakowie.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Jerzy Surdykowski *Nadzieja na sensowność świata*

Jan Kanty Pawluśkiewicz *Na stałe nic nie ma*

Wiedeń z Josephem Rothem

Stacja Beata Chomątowska

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
**KRAKÓW**

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

**Wybierz Kraków!**

**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszcachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

**Layout:** Igor Banaszewski

**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec

**Wizerunek pisma i współpraca reklamowa:** Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

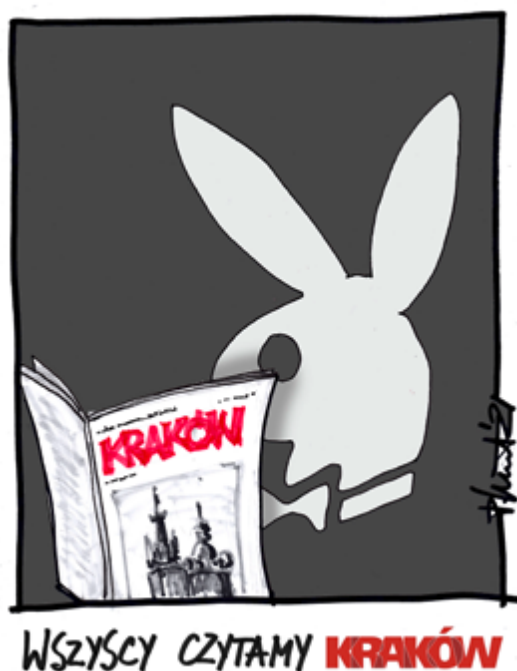
**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Rys. Piotr Błachut



## Sprostowanie i przeprosiny

W numerze 4/2021 błędnie podpisaliśmy aktorów na zdjęciu ze spektaklu Pawła Szumca *Słoneczni chłopcy* – są na nim oczywiście Jacek Strama i Paweł Kumięga (a nie Leszek Piskorz).

Przepraszamy

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek  
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,  
tel.12/61 89 120

**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków,  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków  
**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!** (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.

**Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** [www.miesiecznikkrakow.pl](http://www.miesiecznikkrakow.pl), Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

## Dwutygodnik.com

Popularność filmów czy kanałów na YouTube o tematyce szachowej pokazuje, że królewska gra trzyma się świetnie. Tym razem Dwutygodnik.com przedstawia tekst o historii szachowych programów komputerowych, o sztucznej inteligencji i o dążeniu do doskonałości. Ciekawostką jest, że autor – z profesji poeta i badacz literatury – jest również twórcą komputerowych programów szachowych.

<https://www.dwutygodnik.com/arttykul/9472-hetman-na-beznadziejnej-pozycji.html>

W 1997 roku mistrz świata został pokonany przez maszynę [Garri Kasparow vs Deep Blue – przyp. PR], która prawdopodobnie nie była od niego lepsza, ale jej gra nie zależała od ludzkich lęków ani wątpliwości. Dziewięć lat później Władimir Kramnik przegrał podobny mecz z programem Fritz, do czego wydatnie przyczyniła się pechowa druga partia, w której arcymistrz w dużo lepszej pozycji podstawiał mata w jednym posunięciu.

(...) Leela [szachowy program komputerowy – przyp. PR] uczyła się grać w szachy, rozgrywając sama ze sobą miliony partii. Żaden człowiek jej nie powiedział, że hetman jest więcej wart niż pionek, że skoczek w centrum szachownicy stoi lepiej niż na jej krawędzi, że wieża lubi zajmować linie, gdzie nie przeszkadzają jej pionki tego samego koloru. W sumie nikt nie wie, czego Leela się nauczyła. Sieci neuronowe zachowują się jak czarna skrzynka: zwracają jakiś wynik, ale nie pozwalają ustalić, z czego on wynika.

## Outride.rs

Czy jeszcze ponad rok temu ktokolwiek uwierzyłby, że trend migracji do dużych miast się odwróci? Że życie w klubach i pubach zamrze, a chęć bycia bliżej kultury skupionej wokół miast straci na znaczeniu? Że nawet obecność na uczelni czy przy biurku w korporacji nie będzie już konieczna. Pandemia wiele zmieniła. Trwa exodus na wieś. Więcej na Outride.rs.

[https://thereview.pl/exodus\\_na\\_wies01/](https://thereview.pl/exodus_na_wies01/)

Chcieliśmy w nich mieszkać, pracować, bawić się, spędzać wolny czas. Szczególnie zapadły mi w pamięć spotkania z młodymi ludźmi. Gdy jeszcze dwa lata temu pytałem ich, gdzie chcieliby mieszkać, najczęściej padała odpowiedź: „W Londynie, Barcelonie, Amsterdamie”. (...) Przyciągały miasta, nie zaś państwa; jawiły się jako centra gospodarcze, społeczne i kulturalne. Ludzie chcą żyć w Paryżu czy Londynie, a nie we Francji albo w Wielkiej Brytanii.

(...) Choć wielkie miasta starają się zapewnić nam poczucie bezpieczeństwa, ich przyszłość – po roku życia z COVID-19 – rysuje się w ciemnych barwach. Trwa ucieczka. Ludzie się boją. Pandemia sprawiła, że miasta przestały być dla ludzi – szczególnie z miasteczek i wsi – ziemią obiecaną. Kojarzą się z zagrożeniem. Chociaż dane tego nie potwierdzają, panuje przekonanie, że w mieście, metropolii, łatwiej się zarazić. Zresztą strach zawsze towarzyszył życiu w mieście, choć z całą mocą uświadomiła nam to dopiero pandemia.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

## Statkiem w ślubny rejs

Określenie „stać na ślubnym kobiercu” w trakcie pandemii traci znaczenie i blask. Wiadomo, obostrzenia zmuszają niejedną parę do przekładania terminu wypowiedzenia sakramentalnego „tak”. Są jednak i tacy, którzy żyć bez siebie nie mogą i bez zwłoki pragną usankcjonować wobec prawa swój związek, więc znajdują niebanalne i – co ważne! – bezpieczne sposoby ślubowania dozgonnej miłości. Właśnie taką parę mogli spotkać spacerujący po wiślanych bulwarach krakowianie, którzy 9 kwietnia przyszli tu zwabieni wiosennym słońcem. Otóż po rzece pływał niewielki statek, na pokładzie którego pewna para brała ślub. Pani młoda w białej, a jakże, sukni, pan młody oczywiście w eleganckim garniturze, a do tego kilkoro gości i skrzypaczka. Nic dziwnego, że kiedy statek przepływał pod kładką Bernatka, rozległy się gromkie brawa znajdujących się na niej przechodniów. Ponoć nawet kłódki, wpięte w kładkę na dowód wiecznej miłości, wydały z siebie metaliczne *Sto lat*... Więc i my życzymy nowożeńcom wszelkiej pomyślności i rejsów tylko po spokojnych wodach.

## Przystanek Dworzec Towarowy

Co tu kryć, niektórzy z nas należą do sierot po kompleksie knajpiano-impresowym na terenach dawnych zakładów tytoniowych przy ulicy Dolnych Młynów. Kultowe, legendarne, topowe, niepowtarzalne... Mnóżono przymiotniki, by oddać wyjątkowość tego miejsca, gdzie na niewielkiej przestrzeni zdomowało się kilkanaście pubów, restauracji, knajpek. Ale, co chyba najcenniejsze, nad wszystkim unosił się z lekka dekadentcki, postindustrialny klimat beztroskiej zabawy i radoznego biesiadowania. Tę piękną bajkę przerwał pan deweloper i tak oto czar prysł! Nie tracimy jednak nadziei, gdyż na terenie dawnych magazynów przy Dworcu Towarowym ma szansę powstać coś, co pustkę ową spróbuje wypełnić. Hype Park – tak bowiem będzie się nazywało owo miejsce – tworzyć mają cztery sceny muzyczne, food trucki znanych restauracji i olbrzymia przestrzeń, w której będzie można przysiąść. Jeśli tylko pandemia nie pokrzyżuje szyków, już w maju przekonamy się, czy z Dworca Towarowego będziemy wracali w tak dobrych nastrojach jak z Dolnych Młynów.

## Noblistka zamrożona

To naprawdę ekscytująca wiadomość. Dzieła Wisławy Szymborskiej trafiły do Światowego Archiwum Arktycznego na Spitsbergenie, a konkretnie do Biblioteki Końca Świata. Starania Fundacji Wisławy Szymborskiej, Wydawnictwa Znak i Piłk Polska zakończyły się sukcesem i oto mamy pewność, że wszystkie opublikowane utwory noblistki będą towarzyszyć ludzkości przynajmniej przez ponad 500 lat. Zapisane na specjalnej, światłoczułej taśmie, bezpiecznie zamieszkażą w arktycznym chłodzie z dala od zgiełku i zagrożeń tego najpiękniejszego ze światów. Światowe Archiwum Arktyczne powstało w 2017 roku z inicjatywy norweskiej firmy Piłk. Jej misją jest ochrona najważniejszych dzieł przed katastrofami i konfliktami zbrojnymi, które mogłyby zniszczyć archiwa narodowe. Jesteśmy więc dumni, że w tej elitarnej „zamrażarce” poezja naszej krakowskiej autorki sąsiaduje między innymi ze zdigitalizowanymi strofami *Boskiej komedii* Dantego, *Krzykiem* Muncha i *Strażą nocną* Rembrandta, a także prozą innej noblistki Olgi Tokarczuk.

## Hobby pana radnego

Łukasz Wantuch nie przestaje zadziwiać. To ten sam pan radny, który jakiś czas temu chciał stawiać na placu Centralnym w Nowej Hucie pomnik Lorda Vadera z *Gwiezdnych wojen*. Postument miał być turystyczną atrakcją ściągającą do naszego miasta tłumy z całego świata. Jednak tym razem pan radny zaskoczył czymś innym. Otóż w mediach społecznościowych pochwalił się niecodziennym hobby: „Z dumną mogę poinformować, że jestem największym posiadaczem kolekcji książek Profesora Jacka Majchrowskiego w całej Pol-

se” – napisał. I dopowiedział, że od roku potajemnie kupuje wszystkie możliwe książki, których autorem jest Prezydent. Zgromadził już ponad 400 woluminów, a kolekcja wciąż się rozrasta. Powód tego osobliwego hobby wyjaśnia, choć nieco enigmatycznie, sam zbieracz. Otóż książki te zostaną wystawione na sprzedaż podczas aukcji charytatywnej na rzecz pewnej krakowskiej fundacji. Nas intryguje tylko, dlaczego pan radny kupuje książki potajemnie. Mamy jednak nadzieję, że w tym przypadku cel uświeca środki.



Biegacz rowerowy, rys. Janusz Stefaniak

# Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”





## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

---

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków  
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków  
Grzegorz Szymański, Warszawa  
Aleksander Skotnicki, Kraków  
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków  
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków  
Adam Michnik, Warszawa  
Janusz Szerla, Kraków  
Grzegorz Kogut, Kraków  
Józef Palinka, Warszawa  
Marek Braun, Kraków  
Krystyna Zachwatowicz, Kraków  
Aleksander Herzog, Warszawa  
Jacek Purchla, Kraków  
Kazimierz Sumera, Zawoja  
Andrzej Gaworski, Warszawa  
Józef Opalski, Kraków  
Halina i Leszek Domańscy, Kraków  
Katarzyna Janowska, Warszawa  
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice  
Stanisław Bisztyga, Kraków  
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków  
Krzysztof Bień, Kraków  
Teresa Bergier, Kraków  
Antoni Legeżyński, Kraków  
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska  
Elżbieta Motas, Warszawa  
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków  
Iwona Ben, Kraków  
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków  
Józef Grudnik, Kraków  
Teresa Pracz, Warszawa  
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków  
Ewa Rusek, Kraków  
Andrzej Wyrobiec, Kraków  
Jarosław Poczykowski, Białystok  
Jadwiga Falkowska, Białystok

Marcin Barcz, Piaseczno  
Tomasz Langie, Kraków  
Tomasz Majka, Zawada  
Jerzy Zoń, Kraków  
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko  
Anna Kosioriewicz, Kraków  
Jerzy Hausner, Kraków  
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków  
Monika Gierko-Libicka, Warszawa  
Rafał Bubnicki, Wrocław  
Dominika Dudek, Kraków  
Wanda Chmielowska, Kraków  
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków  
Gerhard Gnauck, Sulejówiek  
Wacław Marszałek, Warszawa  
Piotr Krzywiec, Warszawa  
Gwidon Dziwoki, Kraków  
Waldemar Zakrzewski, Szczecin  
Renata i Wojciech Michna, Kraków  
Andrzej Kuźma, Kraków  
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna  
Konstanty Gebert, Warszawa  
Agnieszka Odorowicz, Warszawa  
Janusz Fogler, Legionowo  
Anna Tyniec, Kraków  
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki  
Małgorzata Maruszkin, Warszawa  
Anna Anderson, Dobczyce  
Marcin Barcz, Piaseczno  
Wojciech Bergier, Kraków  
Ewa Bielecka, Kraków  
Jacek Górski, Kraków  
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice  
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice  
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski  
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków  
Andrzej Łojewski, Kraków  
Andrzej Pach, Kraków

Małgorzata Pach, Kraków  
Jerzy Lorecki, Kraków  
Jan Sady, Kraków  
Róża Thun, Kraków  
Stanisław Dudzik, Kraków  
Artur Romanowski, Kraków  
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków  
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna  
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa  
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa  
Dariusz Borucki, Łomianki  
Alina Kruk, Zielona Góra  
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków  
Mariusz Landowski, Tczew  
Jadwiga Drąg, Paszczyzna  
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała  
Marta Anna Ronne, Uppsala  
Waldemar Smolski, Kraków  
Andrzej Gawłowicz, Kraków  
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra  
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków  
Teresa Stowska, Kraków  
Malwina Kopańska, Olsztyn  
Kazimierz Trybalski, Przybysławice  
Anna Kulak, Krzeszowice  
Jerzy Kicki, Kraków  
Andrzej Pienias, Bełchatów  
Alicja Byszkiewicz, Toronto  
Andrzej Mącznik, Kielce  
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo  
Katarina Hard, Staffanstorp  
Alicja Danecka-Chwals, Boston  
Zofia Maciąga, Łędziny  
Tomasz Wojtas, Kraków  
Hanna Dunin-Łabędzka, Jarosław Minałto, Wrocław

---

## Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

### Wpłaty:

Biblioteka Kraków  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528  
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”  
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!  
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

# Znikanie

Tekst: Agnieszka Kosińska

Ten felieton miał być o czymś innym, ale znikanie ludzi, drzew, głosów, sensów robi się tak dojmujące, że będzie o tym.

A właściwie tym. „Czy nigdy na ciebie nie przyszła godzina” – zapytałam swoim ulubionym na takie dni początkiem wiersza Whitmana i zaraz sięgnęłam po ciąg dalszy:

Czy nigdy na ciebie nie przyszła godzina, boski promień spadający nagle, aż pękają te bańki mydlane, moda, bogactwo, te gorliwe cele działania – książki, polityka, sztuka, amory, i zostaje zupełnie nic?

I tym dotkliwsze, że właśnie wiosna („najokrutniejszy miesiąc kwiecień”). Już od dawna, kiedy zaczęli znikać, nie usuwam ich adresów e-mailowych, numerów telefonów, coraz gorliwiej zbieram, co nie należy już do nikogo, czytam książki, których nikt nie czyta, i oglądam stare filmy. To wszystko są dowody na to, że nie tak dawno możliwe były inne niepoprawne dialogi, niepoprawni bohaterowie, niepoprawne myślenie. Świat był ludzki, czyli splątany, dobry i zły równocześnie, i należał do ludzi niepoprawnych i zbuntowanych. Szukam pomocy – odpowiedzi na znikanie, a więc języka. Znów stoję przed moją coraz skromniejszą biblioteczką (moje myślenie się radykalizuje, więc moje zbiory się redukują). Czasem zatrzyma mnie dedykacja. Ślad ręki trzymającej pióro. Gdzież są? Czy nasza z nimi rozmowa wystarczy, żeby podtrzymać. Co podtrzymać? Tę realność, która staje się coraz bardziej widmowa, jeszcze chwila i porwą ją ręce złodziei. Dziś potrzebuję czegoś wszechogarniającego. Wtedy zawsze czytam na głos, koniecznie na głos, *Wielką elegię dla Johna Donne’a* Brodskiego (spróbujcie, ten wiersz jest tak napisany, że trans sam przychodzi, choć autor czytał go swój niepodrabialny sposób):

„Usnął John Donne, usnęło wszystko wokół, / ściany, podłoga, obrazy, wazon, / usnął stół, pościel, rygiel, hak, śpią w mroku / szafa i kredens, świeca i zasłony, / usnęło wszystko. Gąsior i szklenica, / chleb, nóż do chleba, fajans, szkło, zwierciadła, / bielizna, zegar, kryształ, miednica, / drzwi, stopnie schodów. Noc wszędzie zapadła. / Wszędzie noc: w ką-

tach, w bieliźnie, w fotelach, / w papierach, w stole, w gotowej przemowie, / w jej słowach, w szczypcach, w bierwionach, w popiele... W piwnicach koty śpią, sterczą im uszy. (...)”

Dziś jednak nie doczytam do końca, za duży wiatr na moje mizerne żagle. Oczywiście, próbowałam niewybrednej pociechy. Czasem udręczona głowa potrzebuje czegoś prostego, czegoś, czym żyje naród. Oglądnęłam więc wszystkie polskie seriale kryminalne, których nie chciałam oglądać ze mną mój aktualny narzeczony. *Rojst, Prokurator, W głębi lasu, Paradoxs* – całkiem w porządku. Dobry kryminał potrafi przywrócić ład. I wtedy weszła mi w ręce najcieńsza książeczka i otworzyła się na wierszu *Labirynt*:

Nigdy nie będzie drzwi. Jesteś we wnętrzu  
I twierdza obejmuje wszechświat,  
I nie ma awersu ani rewersu,  
Ni ostatecznej ściany, ni sekretnego centrum.  
Nie spodziewaj się, że twa nieubłagana droga,  
Która uparcie rozwidła się w inne,  
Będzie mieć kres. Twe przeznaczenie jest z żelaza  
Tak jak twój sędzia. Nie oczekuj  
Byka, który jest człowiekiem i którego dziwny  
Mnogi kształt trwoży splątane słoje  
Nie kończącego się kamienia.  
Nie istnieje. Nie spodziewaj się niczego.  
Nawet drapieżnika w czarnym zmierzchu.

Głosu użyli (w kolejności pojawiania się): Walt Whitman, spolszczony przez Miłosza, Eliot, Josif Brodski, przez Stanisława Barańczaka, Jorge Luis Borges, przez Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego. Czytam tę stroniczkę i myślę, dorzucę starego dobrego nowoczesnego Leopolda Staffa: „Dlaczego – pytasz mnie – śmiałeś się wczoraj, a dziś masz chmurę na czole? Przecież wczoraj deszcz padał, a dziś jest tak piękna pogoda.” „Tak, czasem mam lat cztery. A czasem cztery tysiące”.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinskamiloszwkrakowie.com>

Wstąp do Klubu, nie wychodząc z domu



ZAPRASZAMY!

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy** lub **Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

**BIBLIOTEKA KRAKÓW**

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

**więcej informacji:**

[www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka](http://www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka):

Klub Przyjaciół „Krakowa”

email: [redakcja@Biblioteka.Krakow.pl](mailto:redakcja@Biblioteka.Krakow.pl)

„Kraków”  
– ...ma sens w trudnych czasach

zaczynamy się  
w Krakowie  
**KRAKÓW**  
MIĘSIĘCZNIK

